PROTEST PRZECIW MANIPULACJOM JANA GRABOWSKIEGO

Awantura w Centrum Badań nad Zagładą Żydów

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 27/380 29 CZERWCA–5 LIPCA 2020

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Kulisy bezkarności esbeków – prześladowców ks. Blachnickiego

BEN AFFLECK – GOCIEK O „DRODZE POWROTNEJ" AKTORA Z DEPRESJI I ALKOHOLIZMU

Coraz więcej feministek ma dość dyktatury LGBT

LATO Z WOJCIECHEM CEJROWSKIM W „DO RZECZY"

BOSO PRZEZ ŚWIAT

Co tydzień zapiski z podróży do najdalszych zakątków globu

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład: 59 000 egzemplarzy

eprasa.pl/9fafe5dc1

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENAS KONCERTU:

PGNiG ORLEN

PARTNERZY

PPL Porty Lotnicze centrum historii zajezdnia

PARTNER WSPIERAJĄCY:

WARS

eprasa.pl f9fafe5dc1

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Utrata tożsamości

Nie tak dawno pisałem o mechanizmie, który zapewnia szerzenie się rewolucyjnych idei. Co do zasady jest on prosty: w wąskim gronie radykałów, w którym panuje wspólnota emocji, muszą pojawiać się coraz bardziej skrajne pomysły. Przeskakują one z osoby na osobę tak jak ogień z polana na polano – za pośrednictwem żaru. Doskonale widać to teraz na przykładzie kolejnych szaleństw ruchu rzekomych antyrasistów. Działaczom Black Lives Matter nie wystarcza już zrzucanie z cokołów mniej lub bardziej faktycznych zwolenników niewolnictwa. Teraz chodzi o to, by w ogóle zburzyć całą zachodnią cywilizację od podstaw.

„Pomniki przedstawiające Jezusa jako białego Europejczyka są formą białego suprematyzmu i powinny być zniszczone" – to mądrość niejakiego Shauna Kinga, amerykańskiego działacza, zresztą – żeby było zabawniej – protestanckiego pastora. Głupota nie zna granic: „Wszystkie murale i witraże przedstawiające Jezusa jako białego człowieka i Jego europejską Matkę oraz białych przyjaciół. Wszystkie powinny być zniszczone… To rasistowska propaganda" – wzywa na Twitterze pastor. To oczywiście przykład barbarzyństwa. W atmosferze powszechnego podniecenia być może jednak i to wezwanie znajdzie popleczników.

Gdyby chodziło tu o głupią wypowiedź jednego lewackiego aktywisty, można by wzruszyć ramionami. Pełno takich można znaleźć w sieci. Czy nie jest jednak tak, że tego typu hasła są w istocie konsekwencją głębszego i coraz bardziej niepokojącego zjawiska – utraty własnej tożsamości przez Zachód? Od lat na amerykańskich i europejskich uniwersytetach uczy się ludzi kulturowej bezmyślności. Zamiast przekazywać dumę z przeszłości, uczyć szacunku do osiągnięć minionych pokoleń, studentów wychowuje się w pogardzie dla odziedziczonych wzorców, dla chrześcijaństwa, Kościoła, a nawet w ogóle Zachodu, w ich lekceważeniu. W roli złych – co jest efektem politycznego zwycięstwa neomarksistów od lat 50. – występują oczywiście biali mężczyźni. Dokładnie ci biali mężczyźni, którzy stworzyli cywilizację, w której bezkarnie i bezpiecznie mogą protestować i nakręcać się po kolei feministki, genderowcy, antyrasiści itd., itp. Wszystko to, co wielkie i wspaniałe, okazuje się dziełem przemocy, patriarchatu, męskiej dominacji, białej dominacji, heterodominacji.

Sukces i popularność tych grup to skutek bogactwa oraz bezpieczeństwa. Zachodnia cywilizacja białego człowieka wytwarza, i to jest największy paradoks, coraz liczniejsze grupy darmozjadów, leni, nieudaczników, ludzi, którzy nauczyli się tylko jednego – umieją wysuwać roszczenia i występować w roli ofiar. We wcześniejszych epokach, kiedy to dobrobyt i pomyślność społeczeństwa zależały od tego, co rzeczywiste – od faktycznej odwagi, od zdolności uczenia się, od inteligencji, od charakteru, od mądrości – nie było dla nich miejsca. Pojawili się i zrobili karierę wraz z narodzinami opiekuńczego państwa dobrobytu. Nie wiedzą, czym jest życiowa konieczność. Żyją w sztucznym świecie, oderwanym od tego, co realne. Nie potrafią być wdzięczni za to, co im przekazano, są za to przepojeni resentymentem. Nie muszą wykazywać się rozsądkiem. Są wyzwoleni z wcześniejszych ograniczeń – nie muszą zarabiać na życie, dbać o wykształcenie swoich dzieci, zdobywać wyższych wartości i dostosowywać się do wymagań. Mogą nieustannie się radykalizować i być pewni bezkarności.

Co gorsza, ten radykalizm nie spotyka się z odpowiednim oporem. W efekcie prania mózgów pojawia się bowiem, oprócz skupionych w mniejszych społecznościach rewolucjonistów, coraz liczniejsza grupa ludzi wyzbytych godności, wykorzenionych, rozbitych wewnętrznie, którzy nie są już w stanie przeciwstawić się propagandzie rewolucyjnej. To oni, mając zachwianą tożsamość, ciągle biją się w piersi, przepraszają, wyrażają żal i odcinają się od przeszłości. Chorują na wzrastające poczucie winy. Nie są równie skrajni jak aktywiści, ale wychowano ich w duchu podobnych antywartości. Nauczono ich poczucia winy i wstydu. Dlatego zamiast bronić własnej tradycji, własnego dziedzictwa, pierwsi ulegają naciskowi i płaszczą się przed agresywnymi aktywistami, ze szlochem wyznając winy swoje i swoich przodków. Dość to okropne widowisko. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl f9fafe5dc1

TEMAT TYGODNIA

38 JACEK PRZYBYLSKI
Z BOSYM PRZEZ WAKACJE
Lato z Wojciechem Cejrowskim

42 WOJCIECH CEJROWSKI
CHIŃCZYCY TRZYMAJĄ SIĘ MOCNO
Pierwszy odcinek wakacyjnego cyklu

KRAJ

16 ROZMOWA Z WITOLDEM WASZCZYKOWSKIM
POLSKA JEST PAŃSTWEM FRONTOWYM
Efekty wizyty prezydenta Andrzeja Dudy w Białym Domu

18 KAMILA BARANOWSKA
BAŁAGAN NA ZAPLECZU

20 KRYSTIAN KRATIUK
KOŚCIÓŁ W „NOWEJ NORMALNOŚCI"

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ZAIMPORTUJEMY REWOLUCJĘ?

26 ŁUKASZ WARZECHA
LICZBA GRABOWSKIEGO

30 MACIEJ PIECZYŃSKI
CENZURĄ W PRAWICĘ

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
SANEPID DO ZMIANY

34 BLANKA ALEKSOWSKA
DZIECI, KTÓRE ZABIJAJĄ

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
POLSKA NA DWÓCH KÓŁKACH

KULTURA

44 PIOTR GOCIEK
POWRÓT BENA
Premiera na DVD „Drogi powrotnej"

46 ELŻBIETA MORAWIEC
POETA POLSKĄ ZRANIONY

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 PIOTR SEMKA
ZIEMKIEWICZ TRAFNY I NIETRAFNY
Nowa książka Rafała A. Ziemkiewicza

56 ROZMOWA Z BIOCHEMIKIEM MICHAELEM BEHE'EM
ŻYCIE ZOSTAŁO ZAPROJEKTOWANE

HISTORIA

58 GEN. ANDRZEJ KOWALSKI
RZUCIŁ KREMLOWI RĘKAWICĘ W TWARZ
Zbrodnie komunistyczne

62 ŁUKASZ CZARNECKI
TARGOWISKO SENSACJI

ŚWIAT

66 WITOLD REPETOWICZ
ANEKSJA PALESTYNY?
Zły plan Kushnera

68 PIOTR WŁOCZYK
FEMINISTYCZNA SCHIZMA

EKONOMIA

70 JAKUB WOZINSKI
BITWA O E-HANDEL
Czy Amazon zagrozi Allegro?

O ZDROWIU

74 KATARZYNA PINKOSZ
NOWOCZESNE LECZENIE OPÓŹNIA PRZERZUTY
Rak prostaty

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ (7), KOWALCZUK (8), GMYZ, GOCIEK (9), ZYCHOWICZ, KOPER (64), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (72), KOMUDA (78), ZALEWSKI, MAKOWSKI (81), KUCHARCZYK (82)

eprasa.pl f9fafe5dc1

Drodzy Czytelnicy!

Przypominając nasz adres e-mailowy: listy@dorzeczy.pl, zachęcamy do przesyłania korespondencji.

Rasizm

Szanowny Panie Redaktorze!
Dziękuję Panu za właściwe określenie w Pańskim tygodniku fenomenu antyrasizmu, który wkroczył również do Polski. Zachodnie lewicowe media cierpią na jakiś grupowy paraliż umysłowy. Zgodnie z ich punktem widzenia cała HISTORIA człowieka jest tylko wielką serią „rasistowskich" wydarzeń. Politpoprawne media proponują jedynie „wyjaśniać i tłumaczyć" młodym podnieconym ludziom, dlaczego nie należy burzyć starych pomników. Tymczasem, od najdawniejszych czasów, kiedy człowiek żył jeszcze w ciągłym strachu przed pożarciem przez zwierzę, najazdem lub zabójstwem przez sąsiednie plemię, aż do naszych „cywilizowanych" czasów ludzka historia to nic innego jak tylko seria wojen, aneksji terytoriów, kradzieży i zabójstw, niewolnictwa i innych okrucieństw. Zredukowanie tego aspektu natury ludzkiej do zjawiska „rasizmu" jest nieuczciwym uproszczeniem, które ma swoje źródło w wynalazku z XX w., czyli nowej religii zwanej PRAWAMI CZŁOWIEKA. Jeśli te prawa są przeznaczone dla dzisiejszych i przyszłych społeczeństw, to jest nonsensem używanie ich do wszystkiego, co się wydarzyło 100, 200 lub 2000 lat temu. Niemniej jednak to w świetle tego prawa pojawiają się roszczenia potomków uciśnionych. Ta nowa religia jest nadużywana obelżywie, karmiąc anarchistów, antyrasistów-burzycieli pomników, anti-fa i różnych innych przyjaciół chaosu i powrotu do jaskini.

Z poważaniem
Jerzy Kowal, Bruksela

„COVID-owa (d)opłata", Tomasz Cukiernik, „DRz" 26/2020

Szanowny Panie Redaktorze!
Od jakiegoś czasu czytamy w mediach różne opinie na nasz temat. Wydaje nam się, że w większości przypadków jednak krzywdzące. Dentyści nie pochowali się w czasie pandemii, ale często ograniczyli przyjęcia z powodu braku dostępności środków ochrony osobistej, braku informacji, jak najlepiej zapewnić ochronę pacjentom, oraz stosowania się do wytycznych MZ. Warunki w gabinecie są jednak dramatycznie inne niż u wielu innych lekarzy, fizjoterapeutów czy nawet u fryzjera. Nasz pacjent w żadnym wypadku nie może pozostać w maseczce, a dezynfekcja obejmuje całe pomieszczenie ze względu na unoszący się spray wodny (z ust pacjenta). W przypadku podniesienia cen w grę wchodzi jeszcze jeden czynnik, zupełnie nieuwzględniony w artykule – to czas przeznaczany na przyjęcie jednego pacjenta. Dezynfekcja pochłania bardzo dużo czasu i to najbardziej podnosi koszty funkcjonowania gabinetu, bo przyjmujemy mniej pacjentów niż kiedyś.

Z poważaniem
lek. dent. Anna Pawlicka

Od autora

Szanowna Pani,
mój artykuł absolutnie nie miał na celu prezentacji krzywdzących opinii na temat dentystów. Uważam, że napisałem go w sposób obiektywny, przedstawiając racje wszystkich stron, w tym również stomatologów m.in. poprzez wymienienie nowych kosztów, które na nich spadły w związku z COVID-19. Dziękuję natomiast za Pani uwagi, które rozumiem i jak najbardziej są uzupełnieniem mojego tekstu.

Pozdrawiam
Tomasz Cukiernik

Wyjaśnienie

W tekście „Uśmiechnięty chłodek" w poprzednim numerze „Do Rzeczy" zawarta została informacja, że badanie na temat relacji Polaków i Niemców od lat przygotowywały instytucje publiczne przy wsparciu Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich w Darmstadt. Tymczasem od 2000 r. partnerem badań prowadzonych przez wiele instytucji była Fundacja Konrada Adenauera. Niemiecki Instytut Spraw Polskich był partnerem badania po raz pierwszy. Za pomyłkę serdecznie przepraszam.

Piotr Semka

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Sandra Skibniewska**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express").

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Wojciech Cejrowski**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 59 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl f9fafe5dc1

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nie śmiej się, dziadku...

Ściśle rzecz biorąc, niemieckie media nie śmiały się z pełnych przemocy zajść w Ameryce po tragicznej śmierci czarnoskórego George'a Floyda w Minneapolis. Niemieccy dziennikarze opisywali jednak zajścia niemal wyłącznie jako wynik brutalności policji, licznych przypadków rasizmu w USA i wreszcie krachu rządów Donalda Trumpa. Nie minął nawet miesiąc od tragicznego incydentu z Floydem w Minneapolis, gdy 21 czerwca Stuttgart zaszokował atak na policję 500 zadymiarzy – głównie „mit Migrationshintergrund" – z tłem imigracyjnym.

Rozróba zaczęła się od próby wylegitymowania przez policjantów osobnika podejrzanego o handel narkotykami. Doszło do scysji, mężczyzna uciekł, ale w dzielnicach imigranckich szybko rozniesiono informacje o skandalicznym rzekomo ataku glin na „ziomala". I wtedy młodzież szukająca zemsty na policji błyskawicznie się skrzyknęła i w grupach po 10–20 osób dotarła z różnych stron miasta na położony w centrum miasta Schlossplatz. I tu doszło do bijatyki awanturników z policją, a potem do rabowania sklepów. Interweniowało 200 policjantów, a 20 zostało rannych.

Lewicowi i liberalni komentatorzy stanęli wobec nie lada problemu. W landzie Badenia-Wirtembergia, którego stolicą jest Stuttgart, rządzi koalicja zielono-chadecka pod wodzą polityka Zielonych Winfrieda Kretschmanna. Nadburmistrz Stuttgartu Fritz Kuhn też reprezentuje Zielonych. Landowa policja od wielu lat poświęca dużo uwagi walce z rasizmem i wyplenieniu nawyku przemocy wobec legitymowanych imigrantów. Teoretycznie skoro tutejsza policja świeci przykładem w walce z rasizmem, to młodzi imigranci nie powinni mieć powodów do rozróby. A jednak do zajść doszło.

Być może rację mają te anonimowe głosy w sieci, które wskazują, że całą rozróbę mogły zorganizować imigranckie mafie. Wysłać miano w ten sposób sygnał – jeśli w przyszłości ruszycie naszych dilerów, to centrum Stuttgartu w każdej chwili może znów zapłonąć.

Traf chciał, że w tym samym czasie felietonistka lewicowego dziennika „Die Tageszeitung", Hengameh Yaghoobifarah – też o imigranckich, konkretnie irańskich, korzeniach – zadała w swoim felietonie pytanie, gdzie policjanci mogliby znaleźć pracę, gdyby zlikwidowano policję, a kapitalizm trwałby nadal. „Spontanicznie przychodzi mi do głowy tylko jedna opcja: wysypisko śmieci. Nie jako śmieciarze z kluczami do domów ludzi, lecz na hałdzie, gdzie naprawdę byliby otoczeni odpadami. Wśród sobie równych na pewno czuliby się najlepiej" – napisała.

Tego było już za dużo federalnemu ministrowi spraw wewnętrznych, Horstowi Seehoferowi z CSU. Pan minister zapowiedział wniesienie skargi przeciw autorce. I wtedy wybuchła burza medialna. Dziennikarze, krytykując szefa MSW, sięgnęli po najsroższą klątwę i ogłosili, że Seehofer chce „naśladować Orbána i Kaczyńskiego". Seehofera wezwała kanclerz Angela Merkel. Po „dywaniku" w Kanzleramt szef MSW koncyliacyjnie wyjaśnił, że chciał tylko „sprawdzić" taką możliwość.

Ciekawe, czy po całej tej awanturze policjanci stuttgartcy palić się będą do zatrzymywania typków handlujących niemal jawnie białym proszkiem. Myślę, że wątpię. Ale wolność słowa nie ucierpiała. I to jest najważniejsze. ©℗

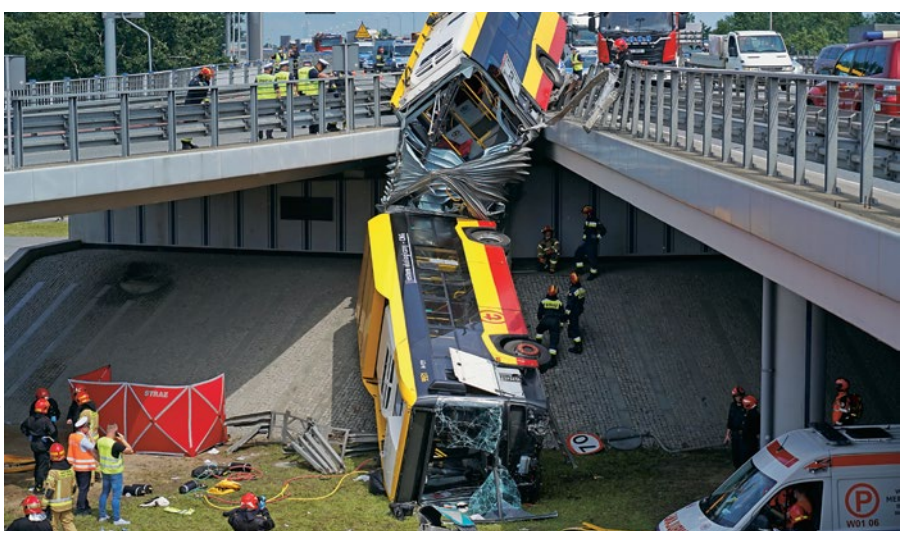

FOT. MATEUSZ WŁODARCZYK/FORUM

TRAGEDIA W STOLICY: AUTOBUS SPADŁ Z WIADUKTU

Z wiaduktu na warszawskim moście Grota-Roweckiego w czwartek po południu spadł autobus komunikacji miejskiej. Przegubowy autobus przełamał się na pół. Jego pierwsza część runęła w dół z wysokości ok. 5 m. Tragedia pochłonęła życie starszej kobiety. Ponad 20 pasażerów zostało rannych, stan kilkorga z nich jest poważny. Wstępnie za najbardziej prawdopodobną tezę dotyczącą przyczyny wypadku uznano zasłabnięcie kierowcy. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl f9fafe5dc1

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Prądem? Biedronia?!

Jedną z ciekawostek prezydenckiej kampanii wyborczej było odkrycie przez działaczy lewicy, że istnieje coś takiego jak przemysł pogardy. Zgodnie z lewicową tradycją trzeba było do tego, żeby pogarda liberalno-lewicowego salonu dotknęła któregoś z nich (zgodnie z tradycją założycielskiego dla owej formacji Marca '68, kiedy to ludzie, którym wcześniej nie przeszkadzały żadne stalinowskie zbrodnie i kłamstwa, nagle dostali od partii kopa jako „syjoniści" i doznali oświecenia, że komunizm uległ „wypaczeniom" i jest zły).

Poseł Śmiszek nie wytrzymał serii ataków na Roberta Biedronia ze strony naczelnego „Newsweeka" i ogłosił, że „to, jak w tej kampanii zachowuje się Tomasz Lis, jest podłością… Podłe, małe, cwaniackie i przede wszystkim turbopropagandowe działania. Wstyd". Żeby nie przecenić wagi Śmiszkowego oburzenia, trzeba dodać, że zaznaczył on wyraźnie, iż chodzi o zachowanie Lisa wobec „każdego demokratycznego kandydata, który nie jest RT" (Rafałem Trzaskowskim – przyp. red.). Logicznie wynika z tego, że zachowania podłe, małe, cwaniackie i propagandowe wobec kandydata „niedemokratycznego" są dla Śmiszka w porządku. Problem więc nie w podłości itd., tylko w tym, że kiedyś Śmiszek był z Lisem zgodny co do tego, kto jest „demokratyczny", a kto nie, i ta właśnie zgoda padła ofiarą wyborczej gorączki.

Biedroniowi oberwało się także od telewizji TVN24, gdzie ponoć ogłoszono, że jest „chory psychicznie", bo nie chce wycofać się z wyborów i poprzeć Trzaskowskiego. Tak przynajmniej twierdzi oburzony tym Adrian Zandberg, który krytykuje za to stację.

Kiedy sugestie choroby psychicznej i w ogóle wszelka propaganda „podła, mała i cwaniacka" kierowane były w liberalnych mediach przeciwko wspólnym wrogom liberałów i lewicy, to było OK. Ale tak, to szok – naszego Biedronia traktować jak pisowca czy konfederata? „Prądem? – nas, bohaterów?".

Inna sprawa, że obrażanie Biedronia przez propagandystów PO nie ma sensu, bo przecież jego elektorat będzie im jeszcze potrzebny. Najwyraźniej popadli w większe nerwy, niż by chcieli przyznać. Ale, spokojnie, coś mi mówi, że szybko się tam pogodzą. ©℗

REKLAMA

eprasa.pl f9fafe5dc1

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Aleksander Wielki

Gdy piszę te słowa, Alex Zanardi walczy o życie w szpitalu w Sienie. Kibicuje mu cała Italia. Nawet premier Conte, dotknięty bardzo agresywną odmianą narcyzmu, przestał na chwilę mówić o swoich osiągnięciach: „Odwaga, siła ducha, bohater, który mierzy się z kolejną przeciwnością losu. Wszyscy jesteśmy z nim". Pierwsza dama włoskiego sportu, pływaczka Federica Pellegrini: „Forza Alex! Wyjdziesz z tego! Teraz musisz znów dać z siebie wszystko".

Balladzista Roberto Vecchioni zadedykował mu piosenkę ze słowami: „Jeśli nie będę mógł biegać i chodzić, nauczę się latać". I skomentował: „To do niego bardzo podobne". Pani w kiosku, podając mi „La Gazzetta dello Sport" z fotografią Zanardiego na pierwszej stronie, miała łzy w oczach: „Nasz kochany, biedny Zanardi".

Ma 54 lata. Był mistrzem świata kierowców w serii CART, ścigał się w Formule 1. We wrześniu 2001 r. na torze Lausitz w Niemczech uległ potwornemu wypadkowi. Utracił obie nogi. Potem wygrał jeszcze kilka wyścigów w specjalnie dostosowanym bmw w Mistrzostwach Świata Samochodów Turystycznych. W 2010 r. przesiadł się na handbike, rower napędzany ręcznie. Na paraolimpiadzie w Londynie (2012), podbijając serca całej Italii, zdobył dwa złote medale indywidualnie i srebro w sztafecie. Cztery lata później w Rio sukcesy powtórzył. W szosowych mistrzostwach świata dla niepełnosprawnych wywalczył 12 tytułów, ostatni w ubiegłym roku.

Stał się jedną z najpopularniejszych i najbardziej lubianych postaci publicznych w Italii. To głównie dzięki niemu sport niepełnosprawnych zdobył we Włoszech prawa obywatelskie, uwagę mediów i szacunek kibiców. W licznych występach w tv i na estradzie potrafił z kamienną twarzą Bustera Keatona żartować ze swojej ułomności: „Drżą mi nogi z emocji", „To, co pan mówi, zbija mnie z nóg", „Kłamstwo ma krótkie nogi" etc. W piątek 19 czerwca podczas przejażdżki w akcji promującej kolarstwo wpadł na jadącego z naprzeciwka tira. Poświęćcie mu, proszę, kilka dobrych, ciepłych myśli. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Zaszczyt, honor i zagadka

Prezydent Duda wrócił na finiszu kampanii z USA. Czy i jak wpłynie ona na wynik wyboru? Pisząc te słowa, tego jeszcze nie wiem, ale nie sposób uronić kilku mądrości, które podczas jej trwania zawitały na Twittera. „PAD powiedział przed chwilą w Gabinecie Owalnym, że »to zaszczyt i honor« być w Białym Domu. To nie są słowa partnera. Prezydent nie powinien tak mówić o spotkaniu z politykiem, który jest mu równy. Trump powiedział, że »ma bardzo dobre osobiste relacje« z PAD" – poinformował np. zaniepokojony Bartosz Węglarczyk. „Podstawy protokołu dyplomatycznego się kłaniają. It's an honor to be here. It's and honor to host you. It's been an honor... etc. Ludzie w świecie dyplomacji są dla siebie z reguły mili i uprzejmi, Panie Redaktorze. Polecam :)" – odpowiedział mu minister Marcin Przydacz.

Z merytoryczną krytyką pospieszyła również posłanka PO. „Konferencja prasowa Prezydentów Trumpa i Dudy to konferencja handlarza broni i, jak powiedziałby Profesor Bartoszewski, »dyplomatołka«" – stwierdziła Izabela Leszczyna. Przynajmniej „Prezydentów" od dużej.

„A teraz wyobraźcie sobie, jak zareagowaliby politycy PiS, gdyby na cztery dni przed wyborami jakiś przywódca amerykański lub europejski powiedział publicznie do prezydenta Komorowskiego, że »wykonuje świetną robotę« w swoim kraju i na pewno osiągnie sukces w wyborach" – zaprosiła nas z kolei do refleksji Dominika Wielowieyska. Przyznam, że próbowałem, ale jakoś nie mogłem sobie Bronisława Komorowskiego w podobnej sytuacji wyobrazić.

A teraz ciekawy przykład formułowania komunikatów prasowych: „W odpowiedzi na pytania dotyczące dzisiejszych publikacji na temat bp. Edwarda Janiaka stanowczo oświadczam, że – jeśli informacje przekazane w mediach się potwierdzą – opisywana sytuacja nigdy nie powinna się wydarzyć" – stwierdził polski episkopat, odnosząc się do informacji o 3,5 promila alkoholu we krwi hierarchy.

Na koniec zagadka. „Co to jest: żarło przez pięć lat, a potem zdechło?" – zapytał Marek Migalski. „Europejska kariera Marka Migalskiego" – odpisał Radosław Fogiel. ©℗

eprasa.pl f9fafe5dc1

dwaj panowie g

Dla wszystkich, którzy twierdzą, że prezydent Andrzej Sebastian przywiózł z Waszyngtonu jedynie mgliste obietnice, mamy konkret. Na pokładzie samolotu udało się zmieścić także sporą grupę zdesperowanych rodaków, którzy utknęli w USA i nie mieli jak wrócić do kraju. Wciąż bowiem z powodu koronawirusa połączeń lotniczych z krajem Wielkiego Dobrego Donalda brak. Szczególnie pozdrawiamy pewnego profesora i jego rodzinę.

Zła wiadomość dla siepaczy Eine Totalopposition węszących aferę – niestety, pasażerowie lotu Andrzeja Sebastiana musieli normalnie zapłacić za bilety. Więc z afery nici. Tymczasem Rafcio Trzaskowski zapowiedział, że jeśli wygra, to powoła przy urzędzie prezydenta specjalną komisję krzywd wyrządzonych przez PiS. Ciekawi nas, czy za krzywdę zostanie uznana pomoc rodakom, czy może wierność zasadom biletowego kapitalizmu.

Domyślamy się, że Rafcio inspirował się słynnym wierszem Broniewskiego „Bagnet na broń", w którym padają słowa: „Są w ojczyźnie rachunki krzywd, obca dłoń ich też nie przekreśli". Ale co zrobić, kiedy obca dłoń na Polskę jest podnoszona dzięki donosom kolegów partyjnych Rafcia do Brukseli?

Apropos partyjnych kolegów Rafcia. Niektórzy zastanawiają się, czy wierzyć Szymonowi Hołowni, kiedy opowiada o umizgach PeŁo, których celem jest jego skaptowanie do partii Budki i Rafcia. Nie rozumiemy, dlaczego mielibyśmy mu nie wierzyć. Przecież wyraźnie powiedział, że umizgi „miały miejsce, ale były niezwykle niezgrabnie robione". To rozstrzyga sprawę.

Jak trwoga, to do Boga, a jeszcze lepiej do biskupa. Znienacka na koncie twitterowym bp. Piotra Libery pojawił się wpis: „Dziękuję serdecznie Pani Profesor Antoninie Śniadeckiej-Kotarskiej, Ambasador RP w Limie, za wspieranie polskich misjonarek i misjonarzy w Amazonii peruwiańskiej w walce z wirusem, który dusi dżunglę". To może wyjaśnimy – pani ambasador jest na wylocie z placówki po tym, jak w MSZ zorientowano się, że szasta pieniędzmi na prawo i lewo powyżej budżetu. No i nie wiadomo, dlaczego pojechała na placówkę za dobrej zmiany, skoro jest fetowaną przez lewaków genderystką. A wy mówicie, że Kościół za gender nie przepada. Kościół może nie, ale najwidoczniej ordynariusz płocki – tak.

Zapytaliśmy przy okazji znajomego misjonarza, czy słyszał o wsparciu polskich misjonarzy ze strony pani ambasador w Limie. Słyszał, ale dopiero od nas.

Skoro już o kwestiach wiary. Zawsze w kampanii najweselej jest, jak ktoś sam się zaora, w dodatku nie mając świadomości, że to robi. Przykład: „Jesteśmy osobami wierzącymi" – oświadczyła Małgorzata Trzaskowska, małżonka Rafcia. „Bardzo cenię papieża Franciszka. Trzymam za niego kciuki". Otóż nie, pani Małgorzato, otóż nie. Osoba wierząca powiedziałaby: „Modlę się za Ojca Świętego".

Wywiady, w których Trzaskowscy przekonują o swej głębokiej wierze, to efekt dylematu obrączki, który niedawno opisywaliśmy: jak nosić, kiedy się dotąd nie nosiło, a może jednak nie nosić, pozostając w duchu Geremka i Spinozy. A elektorat konserwatywny kusi. Wybrano drogę opowieści dziwnej treści.

Z największym zaciekawieniem przyjęliśmy wypowiedzi Rafcia Trzaskowskiego o własnej głębokiej wierze katolickiej akurat na łamach tygodnika „Lisweek". Uwielbiamy, gdy ludożercy przekonują o swym wegetarianizmie na łamach „Głosu Kanibala".

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Ukraińcy przysłali do MSZ pytanie, czy niejaki Paweł Wojtunik jest polskim dyplomatą. Dyplomacja dostała szału, bo okazało się, że Wojtunik, platformerski szef CBA, będący dziś prostym cukiernikiem z Ursynowa, wykorzystuje paszport, który mu został z dawnych czasów, kiedy był przedstawicielem czegoś tam w Mołdawii, by mijać przejścia graniczne i patrole drogówki, podróżując do miejsc, do których zwykły cukiernik nie ma prawa wjechać.

Przy okazji okazało się, że cała masa rozmaitych byłych dyplomatów oraz ich pociotków korzysta nadal z polskich paszportów dyplomatycznych dających liczne przywileje. A tak w ogóle to wychodzi na to, że taki paszport jest cenniejszy niż paszport amerykański. Wie o tym coś Anne Applebaum, która używała go, a może nawet nadal używa, mimo że mąż już dawno żadnym polskim dyplomatą nie jest.

Jak się wydaje, niejaki Wojciech Czuchnowski nie czyta rubryki panów G. Dostał więc szału, kiedy się okazało, że dziennikarz TVN na konferencji Trumpa i Dudy nie zadał pytania o prześladowania LGBT. Gdyby nas czytał, wiedziałby, że trwa zasugerowana przez amerykańskich właścicieli zmiana orientacji stacji. Nie chodzi jednak o tę seksualną, ale ideową. Na razie powymieniano wydawców. Czekamy na więcej.

Zastanawiamy się, czy po ostatniej decyzji sądu można już mówić, że „Platforma to dziś partia złodziei i łapowników". Sąd bowiem uważa, że „pojęcie »dziś« nie może być traktowane dosłownie" i że jeśli ktoś kłamie, twierdząc, że milion ludzi straciło pracę przez koronawirusa, to wypowiedź powinna być „rozumiana jako wypowiedź niejednoznaczna". Jak widzicie, są pewne plusy uwalenia skargi sztabu Andrzeja Sebastiana na kłamstwa Rafcia.

Rafcio ma także inne sukcesy – dwa dni przed ciszą wyborczą udało mu się ogłosić prezydencki program wyborczy! Wow! To spore osiągnięcie, biorąc pod uwagę, że na jego napisanie Eine Totalopposition miała zaledwie pięć lat. Zuch chłopaki! Wyrobili się na ostatnim zakręcie! Zabieramy się do czytania! Czytamy, czytamy, czytamy… chrrrr, ziew… dobranoc, państwu. ©℗

eprasa.pl f9fafe5dc1

Polska od lat jest w gronie liderów rozwoju bankowości elektronicznej. Gwałtowny wzrost popularności płatności elektronicznych oraz błyskawiczna transformacja cyfrowa odmieniają rynek usług finansowych, sprzyjają innowacjom w bankach i powstawaniu tzw. fintechów

Innowacje w bankowości

eprasa.pl f9fafe5dc1

FOT. ADOBE STOCK

Dynamiczny rozwój technologii informatycznych doprowadził do pojawienia się na rynku nowych modeli biznesowych i rozwiązań, które istotnie zmieniają warunki świadczenia usług finansowych w sektorze bankowym – zauważają autorzy „Raportu o stabilności systemu finansowego" NBP z grudnia 2019 r. I rzeczywiście, dzięki rozwojowi aplikacji mobilnych oraz rozwiązań z zakresu cyberbezpieczeństwa obok banków na światowych rynkach pojawiły się także inne firmy oferujące nowoczesne usługi finansowe za pośrednictwem Internetu. Są to tzw. fintechy czy też w potocznej wersji „finteki". Termin ten powstał poprzez połączenie dwóch członów wyrażenia „financial technology", czyli technologie finansowe.

„Do sektora FinTech zalicza się innowacyjne firmy (często start-upy) podejmujące działalność regulowaną (lub częściowo regulowaną) na rynku finansowym, jak również innowacyjne podmioty nadzorowane (np. banki, instytucje płatnicze), wdrażające nowoczesne rozwiązania technologiczne w zakresie oferowanych produktów lub usług finansowych" – jak czytamy w opublikowanym na stronach Komisji Nadzoru Finansowego opracowaniu. „Otwarta bankowość w świetle wymogów dyrektywy PSD2 – wyzwania i perspektywy rozwoju dla polskiego sektora FinTech".

Według Mapy Polskiego Fintechu w 2020 r. w Polsce działa 235 podmiotów niebankowych, które wykorzystują innowacyjne technologie do usprawniania operacji finansowych. Biorąc pod uwagę, że rok wcześniej liczbę tego typu instytucji szacowano na 200, a w roku 2018 na 70, obserwujemy bardzo dynamiczny wzrost liczby fintechów na polskim rynku.

Fintechy umożliwiają klientom m.in. szybki i prosty zakup biletów na pociąg, autobus czy samolot, wnoszenie opłat za parkowanie na ulicach największych miast, kupno biletu do kina, wejściówki do parku narodowego, opłacenie abonamentu w serwisach oferujących VOD etc. Niektóre fintechy umożliwiają także łatwą wymianę walut po kursie zbliżonym do międzybankowego lub zintegrowanie różnych kont bankowych w jednej aplikacji. Według raportu firmy doradczej PwC z grudnia 2016 r. od 23 do 33 proc. rynku usług finansowych może zostać przejęte przez fintechy. Z kolei analitycy Deloitte szacowali w opublikowanej w styczniu 2018 r. informacji prasowej, że jedna czwarta posiadaczy kont w Polsce nie ma problemu z dzieleniem się informacjami o swoim rachunku z innymi instytucjami. Z drugiej strony 43 proc. ankietowanych w przytaczanym przez Deloitte badaniu „PSD2: Voice of the Consumer" stwierdziło, że czułoby się niekomfortowo w sytuacji dzielenia się informacjami o swoim koncie z instytucjami innymi niż ich dotychczasowy bank. 31 proc. do takiej aktywności miałaby zaś stosunek neutralny.

W skład branży określanej mianem fintechów wchodzą też tzw. InsurTechy, czyli podmioty wprowadzające innowacje do sektora ubezpieczeń.

FINTECHY POD NADZOREM

Jak przekonuje we wspomnianym wyżej opracowaniu KNF, z uwagi na dużą innowacyjność polskiego sektora bankowego bariera technologiczna pomiędzy firmami technologicznymi a bankami jest w Polsce nieznacząca. I chociaż fintechom z tego powodu może być trudniej zdobywać rynek niż w innych krajach Europy, to sprzyja im przyjazne nastawienie polskich konsumentów do nowoczesnych usług finansowych.

Instytucje finansowe – zarówno banki, jak i fintechy – aby przetrwać na konkurencyjnym rynku, muszą stawać się coraz bardziej innowacyjne i inwestować w najnowocześniejsze technologie, takie jak sztuczna inteligencja, biometria, uczenie maszynowe czy robotyzacja procesów biznesowych.

Aby zdobyć klientów, wiele fintechów stara się więc upodobnić do nowoczesnych banków (np. umożliwiając wypłaty z bankomatów). Z kolei tradycyjne instytucje finansowe, świadome narastającej konkurencji, poszerzają ofertę produktową i starają się jak najlepiej dostosować ją do potrzeb klientów. Inwestują więc w prace nad kolejnymi innowacjami i wprowadzają wiele nowoczesnych rozwiązań – od przelewów natychmiastowych poczynając, poprzez szybkie doładowania telefonów na kartę czy możliwość opłacania biletów komunikacji miejskiej, na opłatach za przejazd autostradami przy wykorzystaniu bankowych aplikacji mobilnych kończąc.

Banki – podobnie jak fintechy – wprowadzają również do oferty wygodne rozwiązania, np. karty wielowalutowe, które pozwalają na korzystanie z jednej karty płatniczej przy płatnościach z rachunków w różnych walutach bez konieczności przewalutowania, a także rozwiązania umożliwiające wymianę walut z mniejszym spreadem bez konieczności korzystania z usług zewnętrznych dostawców. Nowoczesne serwisy bankowe umożliwiają również elektroniczną komunikację z państwowymi urzędami, a także zawieranie

eprasa.pl f9fafe5dc1

umów bez konieczności wizyty w oddziale czy oczekiwania na kuriera, np. za pomocą selfie.

Tym samym najwięksi gracze w sektorze bankowym upodabniają się do niewielkich, acz innowacyjnych fintechów. Kwitnie również współpraca między bankami a fintechami, przez co granice między tradycyjnymi instytucjami finansowymi a start-upami wyspecjalizowanymi w finansach coraz bardziej się zacierają.

Wśród przykładów takiej współpracy wymienić można m.in. Polski Standard Płatności.

Jest on twórcą i operatorem „Systemu Płatności BLIK". Kody BLIK – umożliwiające płacenie za zakupy w wielu polskich sklepach, wypłatę pieniędzy z bankomatu bez potrzeby użycia karty płatniczej, a także opłacanie transakcji zawartych w Internecie – są zaś generowane w ramach poszczególnych aplikacji bankowych.

Żeby zapewnić możliwość konkurencji oraz ład na rynku finansowym, krajowi oraz unijni regulatorzy stworzyli warunki, które pozwalają na stworzenie nowego porządku w innowacyjnej bankowości.

Od dwóch lat w Polsce obowiązuje przyjęta w 2015 r. przez Parlament Europejski i Radę UE dyrektywa PSD2 (z ang. Payment Services Directive 2). Zestaw unijnych regulacji w sprawie usług płatniczych w ramach rynku wewnętrznego został wprowadzony do polskiego porządku prawnego poprzez nowelizację ustawy o usługach płatniczych, która weszła w życie 20 czerwca 2018 r. Pod tajemniczą nazwą PSD2 kryją się przepisy, które przyniosły bardzo poważne zmiany zarówno dla banków oraz ich klientów, zarówno bankom oraz ich klientom, jak i podmiotom oferującym np. karty sklepowe czy karty paliwowe, operatorom bankomatów czy innym niebankowym dostawcom usług

Do głównych celów wprowadzenia tej dyrektywy – do której dostosowały się wszystkie kraje Europejskiego Obszaru Gospodarczego – należało:

– usprawnienie, a także zwiększenie bezpieczeństwa systemu płatności, a co za tym idzie – ochrona konsumentów przed nadużyciami w obrocie bezgotówkowym;

– wsparcie rozwoju nowych technologii usług płatniczych;

– umożliwienie większej konkurencji na rynku finansowym poprzez otwarcie się na zewnętrznych dostawców usług.

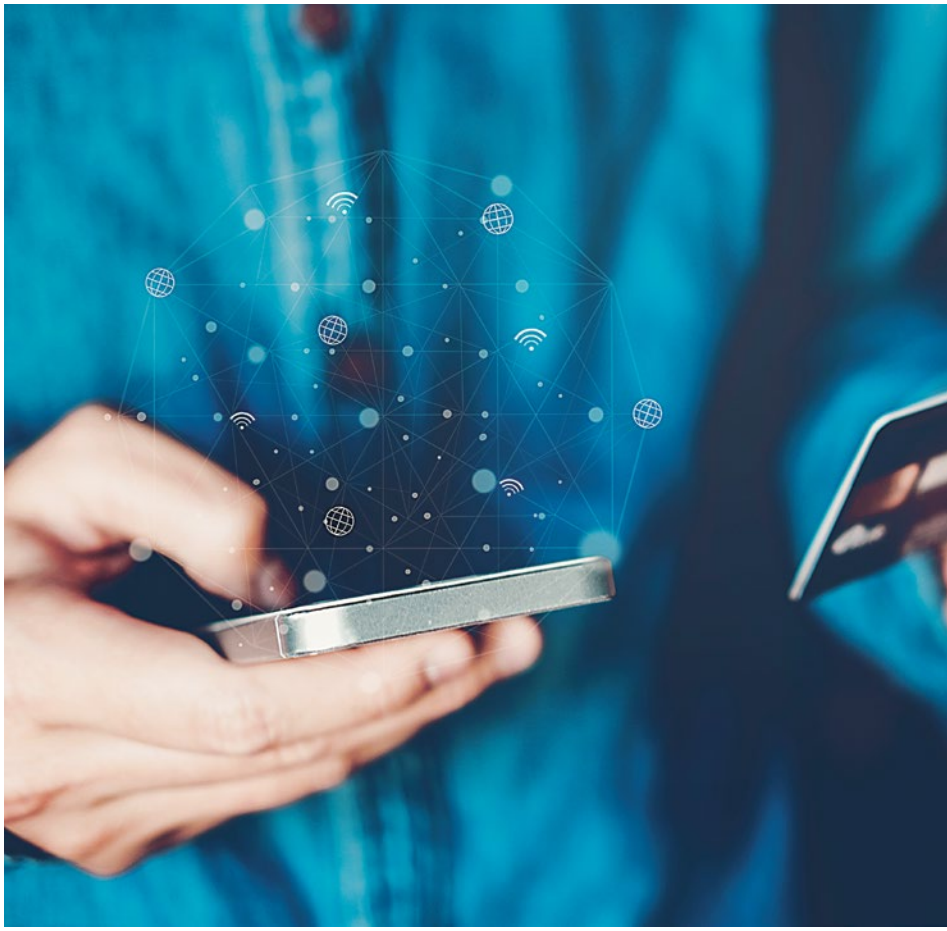

CEL: BEZPIECZNIEJSZE PŁATNOŚCI

Nowe przepisy wprowadziły m.in. wymóg silnego uwierzytelnienia użytkowników bankowości elektronicznej. Oznacza to, że tożsamość konsumenta korzystającego z elektronicznych usług płatniczych musi zostać podwójnie zweryfikowana. Dwuetapowa weryfikacja klienta opiera się na co najmniej dwóch elementach spośród następujących kategorii:

• **wiedza** – czyli informacje znane tylko klientowi, takie jak np. hasło, PIN etc.;

• **posiadanie** – coś, do czego dostęp ma tylko klient, np. smartfon, token czy karta płatnicza;

• **cecha klienta** – np. dane biometryczne, takie jak odcisk palca czy twarz identyfikowana za pomocą technologii Face ID.

Każdy bank wprowadził własne sposoby weryfikacji klientów. W praktyce np. konsument korzystający z bankowości internetowej podczas logowania do konta na komputerze może zostać poproszony m.in. o podanie przesłanego przez bank kodu SMS lub zatwierdzenie logowania w aplikacji mobilnej.

O dodatkową weryfikację podczas logowania bank może poprosić również raz na 90 dni, a także podczas sprawdzania historii transakcji starszych niż 90 dni.

Dla bezpieczeństwa klientów z 10 do 5 minut skrócony został również czas bezczynności podczas danej sesji logowania. Oznacza to, że po pięciu minutach bezczynności konieczne jest ponowne zalogowanie się. Podwójnej weryfikacji bank może żądać również wówczas, gdy klient inicjuje elektroniczną transakcję płatniczą.

Nowe przepisy zwiększają ochronę użytkowników kart płatniczych. W przypadku nieautoryzowanych transakcji płatniczych – do których może dojść np. po kradzieży lub zgubieniu karty albo smartfona umożliwiającego płatności zbliżeniowe – klient ponosi odpowiedzialność maksymalnie do równowartości 50 euro (wcześniej

eprasa.pl f9fafe5dc1

FOT. ADOBE STOCK

kwota ta wynosiła 150 euro). Odpowiedzialność za pokrycie pozostałej kwoty spoczywa na dostawcy usług.

Dyrektywa PSD2 skróciła również z 30 dni kalendarzowych do 15 dni roboczych czas, w którym bank musi udzielić klientom odpowiedzi w sprawie reklamacji dotyczących transakcji płatniczych.

Na podstawie nowych przepisów bank może też poprosić o potwierdzenie kodem PIN nawet tych płatności zbliżeniowych dokonanych kartą płatniczą, których kwota nie przekracza 50 zł.

OTWARTA BANKOWOŚĆ

Dyrektywa PSD2 uregulowała również kwestię przelewów zagranicznych. Zgodnie z nowym prawem koszty realizacji danego przelewu w ramach Europejskiego Obszaru Gospodarczego ponoszą po równo nadawca oraz odbiorca (to tzw. opcja SHA).

Nowe unijne przepisy dopuściły również powstanie tzw. Małej Instytucji Płatniczej (MIP). MIP nie muszą uzyskiwać licencji i mogą działać już po uzyskaniu wpisu do rejestru przez Komisję Nadzoru Finansowego. Wielkość obrotu MIP nie może jednak przekroczyć 1,5 mln euro miesięcznie. Małe Instytucje Płatnicze nie mogą także przechowywać więcej niż równowartość 2 tys. euro od jednego klienta.

Wprowadzenie dyrektywy PSD2 umożliwiło również klientom banków działających na terenie Unii Europejskiej korzystanie z tzw. otwartej bankowości. Termin ten odnosi się do usług płatniczych, które zgodnie z dyrektywą PSD2 mogą świadczyć certyfikowani zewnętrzni dostawcy usług, czyli inne banki oraz instytucje płatnicze (TPP, ang. Third Party Providers).

Za zgodą konsumenta zewnętrzni dostawcy usług mogą zyskać dostęp do informacji o kontach za pomocą trzech rodzajów usług:

- **AIS (Account Information Service)** – czyli dostęp do informacji o rachunku bankowym klienta. Usługa ta umożliwia klientom łatwiejsze zarządzanie prywatnymi finansami. Dzięki otwartej bankowości po zalogowaniu się na konto w banku X, można jednocześnie sprawdzić stan kont w banku Y oraz Z. Usługa ta może być również wykorzystana – za zgodą klienta – przy ocenie zdolności kredytowej danego konsumenta;
- **PIS (Payment Initiation Service)** – czyli inicjowanie płatności. Zewnętrzny dostawca usług (TPP) na wniosek klienta banku będzie mógł zainicjować zlecenie przelewu do określonego odbiorcy w określonej kwocie (w żadnym momencie nie będąc odbiorcą pieniędzy klienta). Klient ma możliwość ustalenia górnego limitu wartości przelewów inicjowanych za pośrednictwem TPP;
- **CAF (Confirmation of the Availability of Funds)** – czyli potwierdzenie dostępności pieniędzy na koncie klienta. Ta usługa umożliwia sprawdzenie, czy na rachunku bankowym znajduje się wystarczająco dużo pieniędzy, aby wykonać daną transakcję kartą płatniczą.

Działalność jako zewnętrzni dostawcy usług mogą prowadzić nowe podmioty na rynku, ale również tradycyjne banki, które otrzymają stosowne zezwolenie od Komisji Nadzoru Finansowego. Aby zapewnić bezpieczeństwo konsumentów, zgodnie z dyrektywą PSD2 zewnętrzni dostawcy usług korzystają ze specjalnego interfejsu dostępowego, dzięki czemu nigdy nie zyskują wglądu do danych logowania klienta. Konsument ma również prawo w dowolnym momencie odebrać zewnętrznemu dostawcy usług (TPP) dostęp do informacji o swoich rachunkach bankowych.

Jak zawsze w świecie finansów warto jednak zachować ostrożność. Zanim wyrazi się zgodę na wybraną usługę świadczoną przez TPP, dobrze jest się upewnić, czy dany podmiot jest certyfikowanym dostawcą usług zarejestrowanym przez Komisję Nadzoru Finansowego.

UWAGA NA OSZUSTÓW

Trzeba też pamiętać, że zewnętrzni dostawcy usług nigdy nie wymagają od klienta podania poufnych informacji (np. danych logowania czy autoryzacji). Jeżeli taka prośba się pojawia, to najprawdopodobniej jest to próba nielegalnego wyłudzenia danych przez przestępców, którzy mogą wykorzystać fakt wejścia w życie nowych przepisy jako pretekstu do przeprowadzania ataków phishingowych. Podanie w takim przypadku danych logowania może prowadzić m.in. do wyczyszczenia konta ze wszystkich pieniędzy lub do kradzieży tożsamości. Dla własnego bezpieczeństwa w przypadku podejrzeń dotyczących wiadomości e-mailowej, SMS czy nawet połączenia telefonicznego przed podaniem jakichkolwiek danych warto skontaktować się z dostawcą usług płatniczych.

Trzeba też pamiętać o tym, że wraz z innowacyjnymi technologiami pojawiają się również nowe sposoby przestępców. Jednym z nich jest tzw. oszustwo na BLIK. Złodzieje np. włamują się na konto wybranej osoby w mediach społecznościowych i za pomocą komunikatora proszą „przyjaciół" o przekazanie pieniędzy poprzez podanie kodu BLIK. Gdy ofiara spełnia ich żądanie i potwierdza płatność w aplikacji bankowej, przestępcy znikają z gotówką. W 2019 r. policja zatrzymała m.in. 20-latka, który w ten sposób ukradł ponad 70 tys. zł. Złodzieje stosujący ten sposób oszustwa wpadli w różnych miastach Polski, ale choć kolejne przypadki były opisywane w mediach, to zwłaszcza w czasach pandemii złodzieje przypuścili wiele tego typu ataków.

eprasa.pl f9fafe5dc1

FOT. PAWEŁ GROMADA

JESZCZE WIĘCEJ AFER

Blogerka modowa i celebrytka Jessica Mercedes skarży się, że afera z jej udziałem kosztowała ją bardzo dużo nerwów. Przypomnijmy, w aferze metkowej chodziło o to, że ubrania, które celebrytka sprzedawała jako luksusowe i produkowane w Polsce, tak naprawdę miały poprzeszywane metki i były zwykłymi, tanimi ubraniami z Chin. Wybuchł niemały skandal, a Jessicę okrzyknięto oszustką. Okazuje się, że ona sama tak bardzo przejęła się sprawą, iż schudła. – Słuchajcie, schudłam z nerwów 6 kilogramów, brzuchol mi wisi – wyznała Jessica. Czyli gdyby nie afera z metkami, to do dziś Jessica męczyłaby się z jakimiś dietami cud. W tej sytuacji gratulujemy i życzymy więcej afer! Dla zdrowotności i urody oczywiście.

STAROŚĆ NIE RADOŚĆ

Kuba Wojewódzki namawia fanów do głosowania w wyborach prezydenckich. „Mam fatalną opinię. Jestem mętnym celebrytą z TVN. Daleko mi do wzorca typowego 50-latka" – zaczął swój wpis. Potem jest dużo patosu i jakiegoś pustosłowia, by na koniec stwierdzić, że „to nie PiS zmienia ten kraj, zmienia go wasza bezczynność". „Na świecie nie ma nic za darmo. Chcecie fajnego kraju, to sobie go zbudujcie. Nie ulegajcie średniactwu. Waszym obowiązkiem jest wieść bogate życie w normalnej ojczyźnie. Możecie zacząć już w najbliższą niedzielę. W ostatnich wyborach prezydenckich różnica wynosiła 518 316 głosów! Pamiętajcie. Młodość to kompetencja. Wykorzystajcie ją!" – zakończył swój apel. Jeśli młodość to kompetencja, to znaczy, że pan Wojewódzki nie powinien już się wypowiadać. Czyż nie?

SŁOWA MIŁOŚCI

Tymczasem eksmodelka Viola Kołakowska nadal prowadzi walkę z całym światem, który uznał, że panuje pandemia koronawirusa. Otóż zdaniem Violi wszystko to nieprawda, a my wszyscy zostaliśmy zmanipulowani. Teraz złość Violi skupiła się na rządzących. „Nie wiem, czy słyszeliście już, że we wrześniu ma się nadal odbywać zdalne nauczanie. Jestem tak wk...iona, że nie wyobrażam sobie, żeby to doszło do skutku. [...] ja się absolutnie na to nie zgadzam, żeby nasze dzieci przeżywały kryzys, żeby wpadały w depresję. [...] te chamy za to zapłacą. Morawiecki, ty nieludzki tchórzu, chamie skończony, jeżeli nie odwołasz, to gwarantuję, że powiesimy za jaja naszego premiera Morawieckiego albo go oskalpujemy. To się bardzo źle skończy, bo my, rodzice, się na to nie zgadzamy, żebyście mordowali nasze dzieci. Co to ma k...a być? Wiem, podpisaliście z Microsoftem umowę – odgraża się Viola. – Jeżeli ktoś by mi chciał zarzucić, że tak się wypowiadam na temat premiera, to chciałabym ogłosić, że to nie jest

FOT. TRICOLORS/EAST NEWS

mój premier, ja go nie wybierałam – stwierdziła. Już nie możemy się doczekać, kiedy pani Viola znów będzie protestować przeciwko mowie nienawiści. Cenimy taką konsekwencję.

ROZŚWIETLIĆ MROK

Ta sama Kołakowska Viola zaapelowała, by 30 czerwca zorganizować globalną medytację, dzięki której udałoby się pozbyć z kraju ministra Szumowskiego, premiera Morawieckiego i wyimaginowanego, jak twierdzi, koronawirusa także. Wystarczą do tego, uwaga, wysokie wibracje. – Utrzymujcie, kochani, wysokie wibracje i proszę was, żebyśmy 30 czerwca zrobili medytację globalną. Bardzo dużo może zależeć od tej energii. Jestem przekonana, że siła energetyczna naszej globalnej modlitwy zdziała cuda, zatrzyma siły militarne i rozświetlimy swoją mocą tę planetę – przekonuje Viola. Najbardziej to przydałoby się rozświetlić mrok w głowie pani Violi. Ale tu już chyba nawet globalna modlitwa nie pomoże. ©℗

eprasa.pl f9fafe5dc1

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, po obejrzeniu teledysku do piosenki disco polo o Rafale Trzaskowskim tak sobie myślimy, iż każdy kandydat w wyborach na prezydenta powinien mieć swoją piosenkę disco polo, iż do każdego da się napisać rym zgrabny niczym „celu – Rafaelu". Na przykład: „mam w tv Rachonia, a wolę Biedronia", „prawda jest taka – głosuj na Bosaka/Kosiniaka", „Duda Duda, to się uda", „będzie nam fajno, jak wygra Tanajno" lub „grill, piwo, wódka, głosuję na Żółtka" albo „tylko Witkowski przegna wasze troski", „wzdycha wzruszona, głosuj na Szymona". Zamiast kampanii można wprowadzić notowania listy przebojów z piosenkami kandydatów, a komentatorzy z popularnych pism społeczno-politycznych poruszeni opowiadaliby, jak nisko upadliśmy, promując disco polo.

Kochani, pisząc ten odcinek naszej rubryki, nie mogliśmy of kors znać wyników wyborów. Byliśmy za to bogatsi o wiedzę, którą wynieśliśmy z przeprowadzonych w naszym korpo prawyborów.

Otósh na reprezentatywnej próbie 10 osób z naszego teamu, po wyłączeniu Nowego z Tarnowa, iż jego opinia jest reprezentatywna dla nikogo, wyszło nam, iż pierwszą turę wyborów przy frekwencji na oko wynoszącej ponad 100 proc., czyli wysokiej, wygrywają wspólnie Robert Biedroń i Rafał Trzaskowski.

W tej sytuacji postanowiliśmy, iż nie będziemy organizować drugiej tury, iż wyniki pierwszej w pełni nas zadowalają, a poza tym nie zawsze należy dążyć za wszelką cenę do wyłaniania zwycięzcy, iż liczy się przede wszystkim udział. Dlatego też jesteśmy zdecydowani na taki duumwirat i w pierwszej turze oficjalnych wyborów zagłosujemy na obu kandydatów.

Rząd ogłosił, iż gmina licząca do 20 tys. mieszkańców w każdym województwie, w której była najwyższa frekwencja w pierwszej turze wyborów, otrzyma nagrodę w postaci wozu strażackiego.

Oczywiście dobitnie pokazuje to, jakie pojęcie o problemach niewielkich ośrodków mają rządzący, i świadczy to również of kors o rządzącym nimi maskulinizmie i kulcie siły.

Tymczasem w małych miejscowościach brakuje przede wszystkim czego? Obycia z kulturą. A więc jakiś grant dla lokalnych aktywistów na wdrażanie januszy i grażyn w sztukę nowoczesną. Może jakieś dofinansowanie na objazdowe progresywne spektakle lub chociaż sfinansowanie odpowiednio sprofilowanych książek dla każdego gospodarstwa domowego? Of kors w postaci elektronicznej, iżby przypadkiem nie posłużyła za podpałkę lub, strach pomyśleć, za coś innego. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Kazimierz

Sławek, musisz mi to wszystko napisać. I mejlem mi wyślij. Ja nie mogę mieć takiej drugiej wpadki.
Dobra, Rafał, ale co ci mam napisać?

No, wszystko. Kiedy byłem posłem, kiedy nie byłem, w jakiej byłem komisji, kiedy byłem ministrem, kiedy wiceministrem i czego. I najlepiej też jakieś ważniejsze głosowania. Przecież mogą mnie znowu na czymś złapać.
Sam nie pamiętasz?

Człowieku, tyle spraw, tylu ludzi, podróży, obowiązków, lektury po angielsku i francusku, i mam pamiętać, kiedy byłem posłem? I może jeszcze, nad czym głosowałem?
Zobacz, tu sobie klikasz, wpisujesz imię i nazwisko...

Czyje?
No przecież nie moje. Swoje. I pokazuje ci się cały twój życiorys. To się Wikipedia nazywa. O rany...

No co tam?
Teraz dopiero wyczytałem. Ty masz na drugie „Kazimierz"?

Tak, no i co?
Kaziu, znaczy? Jakieś takie obciachowe, od razu mi się z Kaziem, tym od Isabel, kojarzy.

Kaziu, Kaziu. A ty co – może Wiesio albo równie zabawnie?
Nie. Tylko Witek. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS-owskie mózgi mają inne okablowanie"

RADOSŁAW SIKORSKI, *europoseł PO, na antenie Polsat News*

eprasa.pl f9fafe5dc1

Prezydent RP Andrzej Duda z prezydentem USA Donaldem Trumpem w Białym Domu

FOT. JAKUB SZYMCZUK/KPRP

Z Witoldem Waszczykowskim, europosłem PiS, byłym ministrem spraw zagranicznych
rozmawia Marcin Makowski

Polska jest państwem frontowym

MARCIN MAKOWSKI: Czy Andrzej Duda wrócił z Waszyngtonu z konkretnymi umowami? A może była to wizyta bardziej wizerunkowa?

WITOLD WASZCZYKOWSKI: Było jedno i drugie. Po to się lata za granicę, żeby umocnić wizerunek swojego kraju oraz siebie jako polityka. To oczywiste. W przypadku spotkania z Donaldem Trumpem nie zabrakło jednak konkretów. Oczywiście tych, które są w spektrum decyzji podejmowanych przez prezydentów. Oni wytyczają pewne kierunki współpracy, natomiast wykonanie zobowiązań spada na rządy obu krajów. W przypadku Trumpa jest to o tyle łatwe, że w systemie prezydenckim USA pełni jednocześnie funkcję szefa rządu, a jego decyzje będą zamieniane na akty wykonawcze kierowane do poszczególnych sekretarzy.

W Polsce nie mamy systemu prezydenckiego.

Jest jednak korzystna sytuacja, w której głowa państwa wywodzi się z tego samego środowiska politycznego co obecny rząd. Dlatego mam pewność, że lecąc do Waszyngtonu, miał jasne deklaracje rządu na temat chęci współpracy i po powrocie będzie ona realizowana.

Wracam do pytania o konkrety – współpraca rządu z prezydentem jest jasna, ale na czym ma ona polegać? Większość zapowiedzi, pomijając szczepionkę na koronawirusa, to powtórzenie deklaracji Duda-Trump z czerwca 2019 r.

Część to ich rozwinięcie, choćby szczegóły odnośnie do relokacji dodatkowych żołnierzy – media już donosiły, jakie to mogą być jednostki, sprzęt, być może dowództwo korpusu przeniesione z USA. Być może teraz trzeba będzie negocjować warunki? Fakt, że w spotkaniu uczestniczył minister obrony Mariusz Błaszczak, pokazuje, że militarny sektor rozmów był istotny.

Cały czas poruszamy się w obszarze ogólników, tymczasem Wirtualna Polska donosi, że do Polski może przyjechać nie tysiąc, ale aż 3 tys. amerykańskich żołnierzy. Być może relokowanych z Niemiec. To dobra decyzja?

Tego jeszcze do końca nie wiemy, Donald Trump ogłosił wycofanie 9,5 tys. członków personelu wojskowego z Niemiec, ale jeszcze nie wiemy, z jakich jednostek i czy mieliby oni zostać płynnie przetransferowani do Polski. Na pewno będą dyskusje na temat finansowania i rozlokowania tych sił – ten proces potrwa parę miesięcy, a może parę lat. Nie ma możliwości, aby prezydenci na krótkim spotkaniu ogłosili tak szczegółowe rozwiązania.

Jak połączyć dyplomatyczny ogień z wodą, czyli wzmocnienie kontyngentu amerykańskiego w Polsce oraz osłabienie go w Niemczech, z tym, aby nie skłócić się z naszym sąsiadem? Andrzej Duda starał się tak argumentować, aby nasz „zysk" nie wynikał ze zredukowania obecności US Army gdzie indziej.

Proszę zauważyć, że prezydent Duda wyraźnie mówił o nieredukowaniu obecności amerykańskiej w Europie, ale nie mówił o Niemczech.

Chyba kontekst jest jasny. Nikt nie chce redukować kontyngentu w Rzymie, tylko w Ramstein.

Powtórzę – Andrzej Duda mówił o powstrzymaniu redukcji sił w Europie, ale nic nie mówił o ich relokacji. Chodzi o to, aby suma wojsk amerykańskich była podobna jak obecnie.

Nawet w optymistycznej wersji przeniesienia do Polski 3 tys. żołnierzy to nadal z perspektywy europejskiej 6,5 tys. mniej.

Dobrze, mogą być przesunięci poza Europę, gdzieś w region, w którym są potrzebni. Odwróćmy jednak to rozumowanie. Dlaczego Niemcy robią wszystko, aby nie zapobiec zapowiedzianemu wycofaniu? Dlaczego od lat nie wykonują zobowiązań NATO-wskich, które sami przyjęli na siebie w 2014 r. na szczycie w Walii? Dlaczego wykonują gesty, które osłabiają spoistość sojuszu, współpracując z Rosjanami w tak lukratywnych dla nich dziedzinach jak handel gazem? Dlaczego my mamy ciągle zabiegać o komfort życia Niemców, którzy robią coś przeciwnego?

Pana zdaniem Berlin w żaden sposób nie wykazuje woli kontrowania decyzji Trumpa?

Nie. Oni wychodzą z założenia, że to im się „należy". Należało się może kiedyś, gdy byli państwem frontowym sojuszu, a żelazna kurtyna była na Łabie i granicy z NRD. Dzisiaj to Polska jest państwem frontowym i mamy prawo domagać się wzmocnienia naszego bezpieczeństwa. Nie zapominajmy, że nawet przy uszczupleniu

eprasa.pl f9fafe5dc1

i tak największy kontyngent amerykański – ponad 20 tys. osób – pozostanie w Niemczech. Równocześnie pozostaną wszystkie instalacje obronne i logistyczne budowane podczas zimnej wojny i zaraz po niej. Warto sobie zadać w takich chwilach pytanie, kiedy Niemcy dokładali się ostatnio do ćwiczeń wojskowych. I tak dalej.

À propos obronności i Niemiec – ten wątek nie wybrzmiał mocno podczas samej wizyty, ale pojawił się w dyskusjach twitterowo-dyplomatycznych. Czy pana zdaniem Polska mogłaby być beneficjentem programu „nuclear sharing", polegającego na przechowywaniu na terytorium danego państwa sojuszniczego amerykańskich głowic jądrowych?

Jeśli taka dyskusja i problem realnie się pojawią…

Już się pojawiły. Ambasadorowie USA i Niemiec w Polsce wymieniali na ten temat opinie w mediach społecznościowych, de facto za plecami naszych władz. Georgette Mosbacher zasugerowała, że jeśli Niemcy nie chcą wywiązywać się z obietnic sojuszniczych, to głowice mogą powędrować do innego kraju. Warto wchodzić w takie debaty?

Broń jądrowa to za poważny temat, aby rozpatrywać go z perspektywy relacji dwustronnych. Jeśli w ogóle trafi on kiedykolwiek na agendę, to musi dotyczyć całego NATO. Prezydenci na ten temat w Waszyngtonie nie rozmawiali, to również o czymś świadczy. Samo składowanie broni to zagadnienie wielowątkowe – musielibyśmy odpowiedzieć sobie na pytanie, jaka korzyść wynika z przechowywania głowic bliżej teoretycznej linii frontu. Czy dzięki temu bylibyśmy związani politycznie jeszcze bliżej z Amerykanami? Jak wyglądałoby dodatkowe wsparcie z Waszyngtonu, w postaci personelu chroniącego głowice?

Zapytam teraz nie byłego dyplomatę i szefa MSZ, ale Witolda Waszczykowskiego – europosła i publicystę. Czy takie rozwiązanie pana zdaniem byłoby korzystne dla Polski?

Ja tutaj niczego nie ukrywam, uważam po prostu, że musielibyśmy dokonać poważnego bilansu korzyści. Gdyby okazało się, że wchodzimy w kolejny krąg zaufania Stanów Zjednoczonych, a za tym idą dodatkowe gwarancje bezpieczeństwa, np. wzmocniona obrona naszego nieba siecią antyrakietową, należałoby taką opcję poważnie rozważyć w kontekście całego NATO, gdzie niestety większość państw nie wykonuje swoich zobowiązań. Jeśli okaże się, że z czasem spoistość sojuszu spada ze względu na braki wojskowe, a są w nim państwa, które uważają, że Ameryka jest większym zagrożeniem niż Rosja, to być może będziemy zmuszeni do wspomnianego bilansu oferty amerykańskiej, jeśli się ona pojawi.

Część komentatorów i opozycji uznała, że pobyt prezydenta Dudy w Waszyngtonie oraz słowa Donalda Trumpa, który wsparł go w prowadzonej kampanii, to bezpośrednia ingerencja w polskie wybory. Zgadza się pan z taką oceną?

Zaraz, zaraz. Czyli jak Angela Merkel przyjeżdżała do Polski i obsypywała Donalda Tuska w czasie kampanii wyborczej medalami, to nie było problemu? Specjalnie dla niej organizowano totalnie nieudane szczyty Partnerstwa Wschodniego – wtedy to nie była ingerencja, tylko „słuszne" poparcie demokracji w Polsce? Ale gdy Trump wypowiedział się pozytywnie o Dudzie, to już ingerencja jest? Być może ze względu na poprawność polityczną nie powinienem tej metafory używać, ale to mentalność Kalego. Niech opozycja przypomni sobie, jak wykorzystywała do celów wyborczych świat i jak dzisiaj zachowuje się w Brukseli, gdzie wykorzystuje komisje europarlamentarne i debaty, aby pluć na Polskę i jej rząd. To jest zachowanie absolutnie niesymetryczne do tego, co zrobili prezydenci Duda i Trump.

Witold Waszczykowski

FOT. KAROLINA SIEMION-BIELSKA/MSZ

Czy krótki pobyt w Białym Domu faktycznie przysłuży się prezydentowi w kampanii? A może bilans wypada na zero, bo zanadto podkręcono oczekiwania, których siłą rzeczy nie dało się zaspokoić?

Sukcesem prezydenta Dudy jest całe pięciolecie. Oczywiście w prerogatywach, które go dotyczą, czyli polityki zagranicznej, polityki bezpieczeństwa i energetyce. Dopełnieniem tej pięciolatki była ostatnia wizyta, która pokazała, że może być jeszcze lepiej, można rozszerzać współpracę energetyczną i wojskową zarówno w obszarze gazowym, jak i nuklearnym. Możemy również rozszerzyć współpracę naukowo-technologiczną z Amerykanami oraz rozwinąć projekt Trójmorza. Prezydent nie dociera z tym przekazem do części komentatorów, którzy rozpoczęli festiwal szydzenia z tej wizyty i wyszukiwania jej negatywnych akcentów.

Rolą dziennikarzy jest również pytać o jej efekty.

Oczywiście, ale trzeba uwzględniać kontekst. Z kim miał w tej chwili rozmawiać Donald Trump? Z Berlinem, który widzi w nim zagrożenie przerastające Putina? Z Paryżem, który marzy o strategicznej autonomii europejskiej, a prezydent Francji chce tworzenia europejskich sił zbrojnych i cybernetycznych? Ma rozmawiać z Hiszpanami, gdy w Madrycie szaleje jakaś odmiana marksizmu, a stolica jest skonfliktowana z Katalonią? Z wielkich państw europejskich zostaje Polska, ze stabilnym rządem i z prezydentem mającym perspektywę drugiej kadencji.

A co, jeśli w Polsce wybory prezydenckie wygra np. Rafał Trzaskowski? Albo w Ameryce Joe Biden? Czy to, co do tej pory zbudowaliśmy, nie przetrwa próby politycznego resetu?

W przypadku pierwszego wariantu, oceniając, jak działają Senat i marszałek Grodzki, mielibyśmy nie „szorstką przyjaźń", ale chaos w państwie i w relacjach z USA. Trzaskowski pokazał przecież na jednej z konferencji swoje zaplecze wojskowo-eksperckie i widzimy, na jakich ludziach się oparł. Gdy tylko je opublikował, natychmiast przyszło zaproszenie z Waszyngtonu. Może tam też się przestraszyli? Natomiast jeśli w Ameryce wygra Biden, to nie będzie tragedii. Współpracowaliśmy transatlantycko przez 30 lat zarówno z prezydentami demokratycznymi, jak i republikańskimi. To przecież za Billa Clintona weszliśmy do NATO, a za Baracka Obamy wrócono w 2016 r. do programu tarczy antyrakietowej, wtedy podjęto również decyzję o wysłaniu ciężkiej brygady US Army na flankę wschodnią. Nasze problemy i węzłowe kwestie bezpieczeństwa się nie zmienią, mogą się zmienić jedynie akcenty.

A w przypadku scenariusza, jeśli i w Polsce, i w Ameryce zmieniają się głowy państw?

To wracamy do punktu wyjścia, bo bez względu na postawę USA mamy chaos polityczny w Polsce, a tak się nie da robić dobrej i dalekosiężnej polityki obronnej. Dlatego tak ważne jest to, aby Andrzej Duda wygrał wybory, najlepiej w pierwszej turze. Bardzo żałuję, że wybory nie odbyły się 10 maja, niestety po części z winy naszego obozu. Dzisiaj bylibyśmy w zupełnie innej sytuacji, gdyby nie ta decyzja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f9fafe5dc1

Bałagan na zapleczu

Kamila Baranowska

Jeśli Andrzej Duda wygra wybory, to głównie dzięki własnemu zaangażowaniu. Pytanie, czy w warunkach, w jakich odbywała się kampania prezydencka, sztab i partia mogły zrobić więcej

To nie była zwyczajna kampania wyborcza, bo trwająca pandemia przewróciła większość politycznych planów do góry nogami. Zmiana terminu wyborów, potem zmiana głównego kontrkandydata Andrzeja Dudy nie ułatwiły sztabowcom pracy.

Wejście do gry Rafała Trzaskowskiego zamiast Małgorzaty Kidawy-Błońskiej całkowicie zmieniło dynamikę trwającej kampanii. Właściwie trzeba ją było zacząć zupełnie od nowa.

Z jednej strony zmobilizowało to rozleniwiony już sztab i samego Andrzeja Dudę, który w ostatnich tygodniach znów, tak jak w 2015 r., zaczął „gryźć trawę" i zaangażował się na 100 proc. Z drugiej jednak pokazało słabość tegoż sztabu, wielości ośrodków decyzyjnych i różnych, często sprzecznych ze sobą koncepcji wobec sprawnie działającego, decyzyjnego i małego sztabu, który powstał przy Rafale Trzaskowskim.

Największym atutem głównego kontrkandydata Andrzeja Dudy była jego świeżość. – Trudno się dziwić, że gdy dołączył do maratonu na 35. kilometrze, to był mniej zużyty niż ci, którzy biegli w nim od samego początku – komentuje polityk prawicy. Dlatego dziś politycy PiS poważnie zastanawiają się, czy dążenie do tego, by zorganizować wybory jak najszybciej, nie było strategicznym błędem. Tydzień przed pierwszą turą w badaniach sztabów widać było już, że Trzaskowski zaczyna tracić ów efekt świeżości, zaczął popełniać błędy, zaliczać wpadki. Gdyby wybory odbywały się np. w sierpniu, to – jak przekonują niektórzy politycy PiS – z kandydatury Trzaskowskiego „nie byłoby co zbierać". – To słaby kandydat, z bardzo progresywnymi i nieakceptowalnymi dla większości Polaków poglądami, ale jego atutem jest to, że ma sprawnie działający i mały sztab, który stworzył jego wizerunek na nowo. Żeby przypomnieć, kim naprawdę jest Trzaskowski i jakie ma poglądy, potrzeba czasu, a konkretnie kilku tygodni – mówi jeden z naszych rozmówców. Sztab prezydenta wytykał więc kandydatowi Koalicji Obywatelskiej jego krytyczne wypowiedzi na temat „500+" czy obniżenia wieku emerytalnego. Wpadka samego Trzaskowskiego, który nie pamiętał, czy i jak głosował w sprawie tego ostatniego, tylko wzmocniła ten przekaz. – Gdyby to była dłuższa bitwa, roznieślibyśmy Trzaskowskiego w pył, ale że mieliśmy blitzkrieg, to łatwiej im było manewrować – obrazuje.

MAKSIMUM?

Nie wiadomo, czy tak by właśnie było. Faktem jest za to, że sztab Andrzeja Dudy nie zawsze działał jak dobrze naoliwiona maszyna. Trudno oczekiwać, by wszystko przebiegało tak gładko jak pięć lat temu, gdy kandydat PiS nie miał żadnych obciążeń, bo siłą rzeczy inaczej wygląda walka o prezydenturę, a inaczej

eprasa.pl f9fafe5dc1

Prezydent Andrzej Duda podczas wizyty na terenach dotkniętych ulewami w województwie małopolskim, 21 czerwca 2020 r. FOT. JAKUB SZYMCZUK/KPRP

o reelekcję. Można jednak było zakładać, że w sytuacji, gdy od wygranej Andrzeja Dudy zależy przyszłość rządów Zjednoczonej Prawicy, w sztabie zapanuje pełna mobilizacja i wszyscy grać będą do jednej bramki. A tak nie było.

– Dla Andrzeja to walka o wszystko, tymczasem w tle toczyła się walka o osłabienie Morawieckiego, o wpływy u prezesa itd. Dla wielu to nie wygrana i nie kampania były najważniejsze, ale to, co da się ugrać przy okazji – opowiada jeden z polityków PiS. – Każda decyzja sztabu, choćby wynikała z najbardziej solidnych badań, i tak była kwestionowana przez część naszych polityków, którzy nadawali do mediów i dziennikarzy, podsycając wrażenie, że wszystko idzie źle – narzeka nasz rozmówca.

Ma na myśli choćby głośny temat LGBT, który do debaty publicznej został wrzucony przez PiS. Zdaniem części polityków PiS niepotrzebnie, bo dziś emocje są gdzie indziej niż w kampanii europejskiej i nie da się dwa razy powtórzyć tego samego manewru. Inni odpowiadają, że z badań wynika, iż żaden inny temat nie mobilizuje wyborców PiS bardziej niż ten. I że trzeba było to zrobić, by nieco obudzić ludzi o tradycyjnych poglądach i by przypomnieć im, że wybory tuż-tuż.

– Poza tym udało nam się tym tematem skłócić Trzaskowskiego z lewicą, a to też coś. Przez cały weekend musiał im się tłumaczyć, dlaczego nie jest tak postępowy, jak wydawało się, że jest, bo nie chciał jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie o małżeństwa homoseksualne – argumentuje jeden ze sztabowców.

Po kilku dniach temat zaczęto jednak wyciszać, a sam prezydent przestał go poruszać w swoich wystąpieniach. Nie wyglądało to zatem na spójną i przemyślaną strategię, a bardziej na jakąś wewnętrzną przepychankę. W samym PiS i w rządzie panuje przekonanie, że w kampanii zrobiono wszystko, co było można, by pomóc wygrać Andrzejowi Dudzie. Słychać nawet pewien żal, że Polacy nie potrafili docenić działań rządu w ramach Tarczy Antykryzysowej i miliardów włożonych w ratowanie gospodarki po pandemii. Do wyobraźni wyborców nie przebijały się także wrzucane do debaty publicznej tematy inwestycji takich jak przekop Mierzei Wiślanej czy budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego. Wbrew oczekiwaniom nie przełożyły się one na wzrost notowań prezydenta Dudy.

MOBILIZACJA I CHĘĆ ZMIANY

Na wszelkie zarzuty o słabość sztabu i kampanijne niedociągnięcie politycy PiS często reagują odpowiedzią: A kto miał lepszą kampanię? Rzeczywiście, pomysły pozostałych sztabów również nie były specjalnie porywające. Pojawiły się próby budowania analogii między dzisiejszym Andrzejem Dudą a Bronisławem Komorowskim sprzed pięciu laty, ale one nie mogły się udać z jednego powodu. Otóż w przeciwieństwie do Komorowskiego w kampanii Andrzeja Dudy najmocniejszym elementem jest sam Andrzej Duda. To jego zaangażowanie i umiejętność bycia z ludźmi pomogły na finiszu kampanii wzbudzić entuzjazm, podobny do tego, który poprowadził go do zwycięstwa w 2015 r. To jest coś, co polityk ma lub nie, trudno się tego nauczyć i tę przewagę prezydenta wykorzystano w kampanii dobrze. – Widać było, jak kolejne wiece budowały na nowo szczery entuzjazm wokół Andrzeja Dudy i jak niosły jego samego, dając mu power do działania. O to chodziło – mówi jeden ze sztabowców. – Wyobraźmy sobie jeden czy dwa nieudane wiece, gdzie ludzie by nie dopisali, gdzie nie byłoby takich emocji, to i zapał Andrzeja szybko by siadł, a wtedy wszystko wzięłoby w łeb. To zupełnie niedoceniana praca sztabowców, a przecież takie wiece nie robią się same. To, jak były zorganizowane, jak dbano o frekwencję, o to, by wszystko przebiegło sprawnie, jest zasługą sztabu, bo uruchomienie lokalnych struktur wcale nie zawsze jest proste i oczywiste – narzeka.

Tym, co przesądzi o zwycięstwie w wyborach – dotyczy to zarówno pierwszej, jak i drugiej tury – będzie mobilizacja swoich wyborców i frekwencja. Ale także gotowość Polaków do wielkiej zmiany. W 2015 r. ta przemożna chęć zmiany zmiotła najpierw Bronisława Komorowskiego, a później Platformę. Pojawienie się Rafała Trzaskowskiego zamiast nieudolnej Kidawy-Błońskiej uruchomiło pewną falę entuzjazmu wśród wyborców antypisowskich, dając im nadzieję i mobilizując ich do głosowania. Pytanie, czy wyborców chcących zmiany jest więcej, czy sprowadzają się oni do twardego antypisowskiego betonu. Inne równie kluczowe pytanie brzmi: Czy PiS przed drugą turą uda się jeszcze mocniej zmobilizować wieś i prowincję? Temu miała służyć obietnica sfinansowania przez MSWiA wozów strażackich dla gmin o najwyższej frekwencji wyborczej. Rzecz kompletnie niedoceniana przez warszawskie media na prowincji stała się tematem numer jeden.

POWTÓRKA Z 2015 R.?

Sztabowcy Andrzeja Dudy są zdania, że wynik pierwszej tury przełoży się na pewien efekt psychologiczny dla tego, kto zrobi wynik powyżej oczekiwań. Wtedy ten wynik niesie polityka w drugiej turze. I na taką powtórkę z 2015 r. liczy Andrzej Duda. Jednak w sztabie są też głosy, że słabszy wynik w pierwszej turze może okazać się błogosławieństwem.

– Wybory europejskie pokazały, że nasi wyborcy mobilizują się w sytuacji zagrożenia. Wtedy, gdy zawiązała się wielka koalicja przeciwko PiS, nasi wyborcy ruszyli do urn. Jeśli prezydent Duda wypadnie w pierwszej turze nieco słabiej i różnica między nim i kandydatem Platformy nie będzie duża, to nasi wyborcy mogą zareagować tak samo – prognozuje.

Mogą, ale nie muszą. I o to, by zmobilizowali się tak samo jak wtedy, będzie toczył się bój przez najbliższe dwa tygodnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f9fafe5dc1

Kościół w „nowej normalności”

Krystian Kratiuk

Gdyby zapytać przeciętnego komentatora życia publicznego o to, jakie główne wyzwania stoją dziś przed Kościołem w Polsce, bez wahania odpowiedziałby zapewne: rozwiązanie w końcu problemu nadużyć seksualnych. Tak, to wielki, okropny problem. Ale wyzwań przed Kościołem jest dziś znacznie więcej – i to zupełnie różnej natury

Od kilku tygodni znów za jedyny wręcz problem Kościoła w Polsce uważa się obrzydliwy skandal wykorzystywania seksualnego. Zanim jeszcze decyzję w jednostkowej sprawie kaliskiej podjął papież Franciszek (ogłaszając abp. Rysia administratorem diecezji kaliskiej), hierarchowie ogłosili podjęcie pewnych działań w podobnych do tej sprawach, które dziennikarze mediów ateistycznych wykorzystują, by uderzyć w całą wspólnotę. Problem w tym, że Kościół w Polsce zbyt często rozwiązanie swych (rzeczywistych i nierzadko wstrząsających) kłopotów postrzega w tych samych kategoriach co owi lewicowi dziennikarze – a więc w kontekście „dobrego wizerunku w opinii publicznej”.

To tak naprawdę główna przyczyna blokująca rozwiązanie sytuacji haniebnych nadużyć. Wciąż bowiem boimy się nazwać rzeczy po imieniu. Chociaż – jak wynika ze statystyk – przeważająca większość nadużyć seksualnych wynika z homoseksualnych ciągot dopuszczających się obrzydliwych czynów kapłanów (tak było i w opisywanej w ostatnich tygodniach sprawie kaliskiej), to wciąż mało kto w Kościele chce ten problem nazwać głośno i wyciągnąć z niego odpowiednie wnioski. Nadal udajemy, że pomoże wyłącznie

eprasa.pl f9fafe5dc1

FOT. KRZYSZTOF MYSTKOWSKI/KFP/REPORTER

wprowadzenie jakichś nowych procedur, jakbyśmy nie doczekali się odpowiednich procedur już wcześniej – chodzi choćby o zignorowaną instrukcję Benedykta XVI, zabraniającą przyjmowania do seminarium homoseksualistów. Mamy też Dekalog i tradycyjną moralność katolicką – ale o traktowaniu ich jako instrukcji czy procedur mało kto dziś myśli.

WIELE WYZWAŃ

Kościół wciąż (nie tylko zresztą w Polsce) tak bardzo lęka się wytoczyć wojny homoseksualistom w swoich szeregach, że nie zauważa, iż zaczęli robić to nawet… do bólu politpoprawni bracia Sekielscy, związani wszak z mediami Kościołowi wrogimi. Otóż niektórzy występujący w ich ostatnim filmie eksperci wprost powiedzieli o połączonych siecią wzajemnych powiązań homolobby. Co oczywiście owo homolobby (akurat część spoza Kościoła) solidnie oburzyło. Interweniujący w tej sprawie Franciszek również jak ognia unika tematu homoseksualizmu niektórych spośród (pozostającej w radykalnej mniejszości, ale mającej olbrzymi wpływ na „publiczny obraz Kościoła") zdeprawowanej części kleru.

Dlaczego więc polscy biskupi en masse mieliby nie powiedzieć głośno tego samego, co mówił choćby cytowany w filmie bp Milewski? Nasuwają się różne odpowiedzi – wśród nich jest jednak również zbytnia troska o… reakcję środowisk wrogich Kościołowi.

Jednak przed Kościołem stoją dziś również zupełnie inne wyzwania – o innym ciężarze gatunkowym, wynikające jednak również ze zbytniej troski o własny wizerunek. Tak było również z ogłoszeniem obostrzeń wynikających z tzw. pandemii koronawirusa. – Ale po co Kościół miałby odpowiadać na ogłoszenie pandemii? – żachnie się ktoś! – Pandemia to pandemia, a Kościół to Kościół – dopowie ktoś inny.

Otóż nic bardziej mylnego – w dobie kryzysu ekonomicznego, o którym mówią wszyscy od prawa do lewa, niemal nikogo nie interesuje toczący nas dziś również kryzys ducha, który może okazać się dla Kościoła (a więc i dla polskiego społeczeństwa) nieporównywalnie bardziej dramatyczny niż kryzys gospodarczy dla niejednej firmy.

Oto bowiem na naszych oczach doszło do rzeczy niespotykanej – przecież doświadczyliśmy zamknięcia świątyń niemalże w całym zachodnim świecie i… niemal nikt nie zareagował. O ile, jeśli chodzi o gospodarkę, do jakiejś reakcji doszło (wszak w wielu miejscach na świecie przedsiębiorcy ruszyli protestować przeciw ograniczeniom), o ile w świecie popkultury zdenerwowani utratą możliwości zarobkowania niektórzy celebryci zdecydowali się powiedzieć, co sądzą o obostrzeniach, o ile nawet część lekarzy w różnych miejscach na świecie zdecydowała się odważnie wypowiedzieć przeciwko drakońskim ograniczeniom, o tyle wydaje się, że Kościół zaakceptował „nową normalność" bez żadnej refleksji. Pojedynczy list kilku hierarchów z abp. Vigano na czele nie ośmielił niestety kolejnych biskupów.

A przecież owa „nowa normalność" po pandemii (czy też „nowy światowy porządek" – by przytoczyć frazę używaną przez premiera Morawieckiego) stawia przed Kościołem nowe, potężne wyzwania. I to w momencie, gdy wyzwań tych przecież Kościołowi nie brakowało.

Do dziś nikt nie odważył się wystawić jakiegokolwiek rachunku moralnego osobom, które zdecydowały o nakazie ograniczenia liczby uczestników we mszy świętej. Nikt też nie podjął się polemiki z prymasem Polakiem, który z mocą ogłosił tuż przed Wielkanocą, że chodzenie do kościoła w czasie pandemii to… „grzech przeciwko piątemu przykazaniu". W ilu katolickich sercach słowa te wciąż odbijają się echem i powstrzymują choćby przed przystąpieniem do komunii świętej?

Wraz z poluzowaniem rządowych obostrzeń biskupi ogłosili koniec ogólnej dyspensy od obowiązku uczestnictwa w niedzielnej mszy. Jednak w większości zachowali pewien wyjątek, który może okazać się brzemienny w skutki – otóż w licznych diecezjach dyspensa nadal obowiązuje tych, którzy… „boją się zarażenia wirusem". Jak to podziała na świeckich?

Pytań nasuwa się więcej.

Ilu wiernych powróciło do kościołów w ostatnich tygodniach, a ilu wciąż korzysta z nadzwyczajnej dyspensy? Jak wyglądałoby procentowe porównanie dominicantes i communicantes „nowej normalności" ze starą normalnością? Czy ktoś prowadzi takie statystyki?

Podjęcie tego tematu, próba ponownego „policzenia się", stanowi jedno z najważniejszych wyzwań stojących dziś przed Kościołem – który mógł przecież spodziewać się kolejnej fali laicyzacji, ale przecież nie przewidywał zapewne, że z pomocą zawodowym laicyzatorom przyjść może nie tylko wirus, lecz także prawicowy rząd ogłaszający drakońskie obostrzenia sanitarne.

REDEFINICJA POBOŻNOŚCI I JEJ SPOŁECZNE SKUTKI

Tymczasem niezauważenie dla obserwatorów zewnętrznych w polskim Kościele – nie tym instytucjonalnym, ale rozumianym jako wspólnota wiernych – dochodzi do rewolucji. I to rewolucji związanej właśnie z pandemią.

Otóż coraz więcej polskich katolików (spośród tych, którzy chodzą do kościoła w czasach „nowej normalności") przyjmuje komunię świętą do ręki, a nie tak, jak zwykli to czynić jeszcze w marcu, a więc na klęczkach i do ust. W myśl promotorów owej praktyki ma to mieć związek z nowymi „standardami sanitarnymi".

eprasa.pl f9fafe5dc1

Rewolucja ta odbywa się jednocześnie oddolnie i odgórnie. Odgórnie – ponieważ do przyjmowania komunii w ten sposób zachęcali biskupi w komunikatach episkopatu (wyjątek stanowił tu abp Andrzej Dzięga, metropolita szczecińsko-kamieński, któremu zresztą podziękowało za to prawie 20 tys. osób, podpisując się pod petycją zorganizowaną przez Stowarzyszenie Księdza Piotra Skargi). Oddolnie – gdyż wielu katolików, szczególnie z grona nazywającego siebie „Kościołem otwartym", ochoczo taką praktykę promuje, starając się pokazać wszystkie – jak najbardziej naturalistyczne – argumenty mające ją uzasadniać oraz wymóc jej powszechność. I niejeden ksiądz do komunii na rękę wiernych… zmusza.

A dzieje się tak, mimo że we wspomnianych wcześniej komunikatach episkopatu biskupi wyraźnie zaznaczyli, że nikt nie ma prawa zmusić wiernych, by przyjęli komunię świętą do ręki. Hierarchowie postąpili tak, zdając sobie sprawę, że w Polsce pobożność eucharystyczna i szacunek do Najświętszego Sakramentu wciąż pozostają na nieporównywalnie większym poziomie niż na Zachodzie, gdzie praktyka przyjmowania komunii na rękę stała się powszechna.

Dlaczego jednak sprawa tak wewnętrzna dla Kościoła jak sposób przyjmowania sakramentu miałaby mieć wpływ na jego społeczną pozycję i oddziaływanie? Otóż – dla nas, wierzących – sprawa jest bardzo prosta: oto wraz z upadkiem pobożności eucharystycznej (zanikiem wiary w realną obecność Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie) upada też tradycyjna moralność. To fakt sprawdzalny empirycznie – wystarczy tylko spojrzeć na kraje, w których jeszcze 50, 30 czy 15 lat temu Kościół był potęgą, a jego członkowie chcieli walczyć o zachowanie podstawowych wolności i wartości moralnych. Tam, gdzie praktyka komunii na rękę się rozprzestrzeniła, tam radykalnie malała liczba osób przychodzących na msze, a przy okazji padały też definicje małżeństwa, nienaruszalności ludzkiego życia na jego początku i u jego końca itd.

Dlatego też kwestia komunii świętej i wynikającej z niej pobożności, a co za tym idzie – mniej lub bardziej tradycyjnej moralności (której zmienianie stanowi przecież oczywisty czynnik przemian społecznych), choć na pierwszy rzut oka wydaje się jedynie wewnętrzną sprawą Kościoła, w rzeczywistości może wpłynąć na kondycję całego polskiego społeczeństwa.

Aby to jednak zauważyć, należy w pierwszej kolejności zdać sobie na powrót sprawę z tego, czym w rzeczywistości jest Najświętszy Sakrament i co o jego istocie zechciał powiedzieć katolikom sam Chrystus, poprzez cuda eucharystyczne z ostatnich kilku lat objawione na dwóch przeciwległych krańcach polski – a więc w Legnicy i w Sokółce.

To kolejne wielkie wyzwanie do polskiego Kościoła.

RELACJE KOŚCIÓŁ–PAŃSTWO CZY KOŚCIÓŁ–ŚWIAT?

Jeśli przyjrzymy się ostatnim trzem miesiącom, to narzuca się jeszcze jedno wyzwanie, które przy okazji tzw. pandemii powróciło po raz wtóry. Chodzi o stosunki państwo–Kościół. Nie chodzi jednak oczywiście o rozważenie przez przywódców Kościoła składania hołdu bożkowi lewicy, a więc zgody na wycofanie się z przestrzeni publicznej i utorowania drogi do budowy całkowicie „świeckiego państwa". Chodzi o przemyślenie relacji z politykami na zupełnie innej płaszczyźnie – otóż coraz wyraźniej widać, że politycy wykorzystują Kościół do swoich celów, nie dając nic w zamian. Spektakularne wyrazy poparcia dla władzy, dokonywane przez niektórych ludzi Kościoła, mogłyby mieć bowiem uzasadnienie, gdyby owa władza spełniała katolickie postulaty.

Jakie? Chociażby zmiana ustawy dotyczącej aborcji, o co w czasach rządów PiS formalnie apelowały setki tysięcy polskich katolików. Przypomnijmy, że część hierarchów już w roku 2016 (gdy odrzucano projekt Ordo Iuris) wydała się uwiedziona obietnicami rządu Beaty Szydło o budowie programu „Za życiem", mającego stanowić pewne zadośćuczynienie za niespełnienie podstawowego postulatu ludzi cywilizowanych – a więc zakazu mordowania nienarodzonych. Uwierzono też, że projekt bez opcji „karania kobiet" byłby bardziej do przyjęcia – tyle że taki projekt trafił do Sejmu i do dziś nie uzyskał akceptacji większości. A dzieci wciąż giną.

Podobnie jest choćby z wypowiedzeniem konwencji stambulskiej, krytykowanej przez biskupów jeszcze za rządów PO – przez PiS też nie została wypowiedziana, a przywódcy Kościoła jakby się z tym pogodzili, w imię jakichś innych, szerzej nieznanych celów. Tego typu przykładów można by wymieniać zresztą więcej, ale konkluzja jest jedna: Jarosław Kaczyński zdaje się więc zgrabnie rozgrywać swoją grę z duchownymi, a część z nich daje się mu wodzić za nos (nie)święcie wierząc, że tylko nienaruszenie status quo daje możliwość rządów „partii wyznającej wartości chrześcijańskie".

Wydaje się zatem, że również zdecydowanie zbyt pokorna katolicka reakcja na rządowe obostrzenia związane z pandemią (na pewnych etapach niezwykle niesprawiedliwe, gdy do marketu budowlanego mogły wejść setki osób, a do kościoła pięć) może być nieplanowanym efektem owego niepisanego sojuszu. Chociaż w tej akurat sprawie państwowym zakazom poddali się bez słowa sprzeciwu nie tylko katoliccy biskupi w Polsce, lecz także kapłani na całym niemal świecie. A to niech uświadomi nam, że kryzys Kościoła jest – tak jak i on sam – powszechny.

A czyż polski Kościół nie mógł stać się liderem katolickiego oporu względem obostrzeń wobec swobody wyznawania religii? Świecić przykładem w Kościele uniwersalnym? Mógł i – na miarę dzisiejszych czasów, w których masy katolików wystraszyły się niedobrej nowiny o wirusie – nawet się stał. Wszak dopiero po tym, jak abp Gądecki napisał dość enigmatycznie już po Świętach Wielkanocnych, że nie wyobraża sobie, by „nowa normalność" była rzeczywistością bez mszy świętych, podobne głosy hierarchów zaczęły odzywać się w krajach Europy Zachodniej…

A co mogło się stać, gdyby takie polskie głosy wybrzmiały wcześniej i mocniej?

Udzielenie sobie odpowiedzi na to pytanie może stać się głównym wyzwaniem dla polskiego Kościoła – stanowiącego wszak nadal bardzo ważną część Kościoła powszechnego. Oto bowiem to, co w Polsce postrzegać możemy jako szkodliwy dla ołtarza, zbyt daleko idący sojusz z pozoru tylko chrześcijańskim tronem, w kontekście uniwersalnym widzimy jako daleko posunięte otwarcie na światowość. Skutkuje ono tym, że w momencie ewidentnego dziejowego przełomu, jakim okazał się społeczny eksperyment pod kryptonimem Pandemia, Kościół powszechny po prostu milcząco uległ obostrzeniom – dokładnie tak jak sklepikarze, masażyści, fryzjerzy czy restauratorzy.

A przecież Kościół stanowi byt bez porównania donioślejszy niż jakakolwiek gałąź gospodarki, pracownicy urzędów czy organizacji pozarządowych. Ponowne uświadomienie sobie tego pozostaje wyzwaniem dla nas wszystkich. Jednak po koronawirusie staje się wyzwaniem znacznie trudniejszym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl f9fafe5dc1

Tarcza chroni miejsca pracy

Dzięki 100 mld zł na ochronę 5 mln miejsc pracy i zainicjowanemu przez prezydenta RP dodatkowi solidarnościowemu polskie rodziny w jak najmniejszym stopniu odczują skutki kryzysu

Czas pandemii koronawirusa i związany z nim kryzys gospodarczy wystawiły na szwank dobrostan niejednej polskiej rodziny. Z myślą o przedsiębiorcach, pracownikach i ich rodzinach rząd Zjednoczonej Prawicy przygotował Tarczę Antykryzysową, w której znalazły się również opracowane przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej narzędzia wsparcia do walki z negatywnymi skutkami epidemii i powrotu na ścieżkę wzrostu po odmrożeniu gospodarki.

SKUTECZNA POMOC DLA PRZEDSIĘBIORCÓW I PRACOWNIKÓW

Rząd stworzył wiele instrumentów pomocowych, z których dziś korzystają miliony Polaków. Jednym z nich jest dofinansowanie wynagrodzeń z Funduszu Gwarantowanych Świadczeń Pracowniczych. Pracodawcy składający wnioski w ramach tego narzędzia mogą to zrobić dwoma ścieżkami: objąć pracownika tzw. przestojem ekonomicznym lub obniżając mu wymiar czasu pracy. Kolejnym narzędziem, które cieszy się dużym zainteresowaniem, są umarzalne pożyczki dla mikroprzedsiębiorców (do 5 tys. zł) na pokrycie bieżących kosztów prowadzenia działalności. Tarcza Antykryzysowa to także świadczenie postojowe, które ma zrekompensować utratę przychodów osobom wykonującym umowy cywilnoprawne lub samozatrudnionym. Nie sposób nie wspomnieć o trzymiesięcznym zwolnieniu ze składek ZUS, które pozwoliło wielu przedsiębiorcom przetrwać trudny czas kwarantanny społecznej.

PROGRAMY POMOCOWE W WIELU POSTACIACH

Z myślą o specyficznych potrzebach przedsiębiorców w czasie kryzysu powstał też program Banku Gospodarstwa Krajowego, na który składa się aż 10 programów pomocowych dla firm każdej wielkości oraz podmiotów ekonomii społecznej (PES). Wśród rozwiązań znalazły się m.in. zmiany w warunkach gwarancji de minimis, Fundusz Gwarancji Płynnościowych, dopłaty do odsetek od kredytów obrotowych. Trzeba tu także powiedzieć o wsparciu ze środków Europejskiego Funduszu Społecznego oraz o finansowej tarczy Polskiego Funduszu Rozwoju. Ta ostatnia to aż 100 mld zł dla ok. 670 tys. polskich przedsiębiorców.

WSPARCIE DLA BEZROBOTNYCH

Dla tych Polaków, którzy w następstwie epidemii koronawirusa po 15 marca stracili pracę w wyniku rozwiązania z nimi umowy lub jeśli ich umowa wygasła z uwagi na upłynięcie terminu, z inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy utworzono dodatek solidarnościowy. Przysługuje on od 1 czerwca, maksymalnie przez trzy miesiące, w kwocie 1,4 tys. zł miesięcznie. Wniosek o dodatek solidarnościowy składać można w formie elektronicznej do 31 sierpnia 2020 r. za pośrednictwem ZUS. To nie wszystko, bo rząd zdecydował się także na podniesienie zasiłku dla bezrobotnych do 1,2 tys. zł w okresie pierwszych 90 dni posiadania prawa do zasiłku, a po tym okresie – do kwoty 942,30 zł. Zasiłek ma wzrosnąć od 1 września br. i otrzymają go wszyscy bezrobotni. Więcej informacji o wsparciu dla przedsiębiorców i pracowników znaleźć można na stronie Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej.

Marlena Maląg,
minister rodziny, pracy i polityki społecznej

Sto dni walki z epidemią koronawirusa to 100 mld zł na ochronę ok. 5 mln miejsc pracy. Liczby te najlepiej pokazują, że sprawne działanie rządu Zjednoczonej Prawicy, uruchomione i wdrożone Tarcze Antykryzysowe działają i stanowią prawdziwy mur ochronny dla przedsiębiorców, pracowników i ich rodzin.

Na spotkaniach z przedsiębiorcami rozmawiamy o trudnościach, z którymi przyszło zmierzyć się firmom w dobie pandemii. Widzimy, jak są zdeterminowani, by utrzymać płynność finansową firmy i przede wszystkim, by zachować miejsca pracy, nie redukować zatrudnienia. Tarcza powstała z myślą o takich firmach, bardzo często rodzinnych przedsiębiorstwach, które budowały swoją pozycję rynkową przez lata. Firmy po trudnym okresie chcą szybko wrócić na ścieżkę wzrostu, a Tarcza ma im w tym pomóc. I tak właśnie jest.

Instrumenty Tarczy stanowią realne wsparcie dla przedsiębiorców i pracowników. Myślimy o wszystkich, których dotknąć mogą negatywne skutki pandemii. Dodatek solidarnościowy, który wszedł w życie z inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy, to tego najlepszy dowód.

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej

Tarcza Antykryzysowa

eprasa.pl f9fafe5dc1

Zaimportujemy

Rafał A. Ziemkiewicz

Polacy, patrząc ze zgrozą na plądrowane sklepy, palone samochody, obalane pomniki i zdemolowane miasta USA, myślą: nam to nie grozi. Bardzo by się chciało, żeby mieli rację – ale czy na pewno?

Nasze poczucie bezpieczeństwa budujemy na powszechnym przekonaniu, że w USA i zachodniej Europie mamy do czynienia ze skutkami napięć rasowych. A my przecież jesteśmy od tego problemu wolni – nie mieliśmy kolonii, nie sprowadzaliśmy z Afryki niewolników, nie mamy imigranckich przedmieść ani „no-go zones".

Rzecz w tym, że fala ruchawek przewalająca się przez Ameryką i Europę nie jest wcale skutkiem napięć rasowych. One są tylko pretekstem. Istotną, choć niedostrzeganą wskazówką jest to, że zamieszki te wybuchają i przybierają największe rozmiary wcale nie tam, gdzie problemów z „rasizmem" kazałaby oczekiwać polityczna poprawność. Nie na „zacofanym" Południu, nie w konserwatywnych stanach tzw. Midwestu, ale w wielkomiejskich „lemingradach", od lat rządzonych przez lewicę, starającą się kolorowym na wszelkie sposoby przychylić nieba. Minneapolis, gdzie cała sprawa się zaczęła, to jeden z głównych bastionów amerykańskiej skrajnej lewicy, rządzony przez demokratów bez chwili przerwy od ponad 40 lat. Podobnie Seattle, gdzie rewolucjonistom udało się wyrwać spod zwierzchności państwa swoistą „komunę", na wzór tej przed 150 laty w Paryżu. O Nowym Jorku już nie wspominając.

Po części można to tłumaczyć faktem, że lokalne lewicowe władze podeszły w takich miejscach do demolowania miast z wielką wyrozumiałością, a nic tak nie zachęca radykałów jak ustępliwość. Ważną przyczyną zamieszek jest jednak moim zdaniem co innego: głębokie podziały, do których latami swych rządów doprowadziła deklarująca walkę z nimi lewica.

ODWRÓCONA DYSKRYMINACJA

Ćwierć wieku temu, przebywając w USA jako stypendysta nieistniejącej już National Forum Foundation, bardzo się interesowałem problemem czarnych, „socjalnych gett" w wielkich miastach – przypominały mi one problemy, jakie miała świeżo poddana „transformacji" Polska z obszarami popegeerowskimi. Już wtedy podnosiły się w Ameryce głosy, bardzo niestety tłumione i spychane do niszowych mediów, że polityka „odwróconej dyskryminacji" motywowanej „historyczną sprawiedliwością" jest przeciwskuteczna, a obfite fundusze przeznaczane na poprawianie losu kolorowej mniejszości w efekcie izolują ją od białych, zamiast z nimi integrować.

Nawet w ugłaskanych wspomnieniach Michelle Obamy można znaleźć passus, że kiedy przyszła pierwsza dama postanowiła iść na studia, wszystkie przyjaciółki, niestety, zerwały z nią kontakty. W czasie swoich prywatnych studiów nad „welfare sides", „socjalnymi" dzielnicami w USA, czytałem o tym wielokrotnie. Nie przesadzę, że w owym czasie, w latach 90., każdy Murzyn, który tylko wyraził wolę wyjścia z getta, kształcenia się, był dosłownie obsypywany stypendiami, wszelkimi możliwymi programami pomocowymi. Problem polegał na tym, że mało kto chciał, bo próba podniesienia społecznego statusu czyniła z takiego ambitnego osobnika zdrajcę rasy, co mogło się skończyć w najgorszy sposób – statystyki, które zapamiętałem, mówiły wtedy, że czarny nastolatek wychodzący w takiej dzielnicy na ulicę ryzykował życie bardziej niż przeciętny amerykański żołnierz w Wietnamie.

Nie jest to zresztą żadna amerykańska czy murzyńska specyfika – przypomnijmy sobie naszego Stanisława Grzesiuka, jego „Boso, ale w ostrogach", gdzie opisuje, jak koledzy z Powiśla, przed wojną dzielnicy nędzy, próbowali go zbiorowym pobiciem oduczyć „wywyższania się", gdy zapisał się na przyfabryczny kurs dla radiotechników.

W każdym razie, odrzucenie postulowanej przez Martina Luthera Kinga idei „społeczeństwa ślepego na kolory" na rzecz filozofii „akcji afirmatywnej" i „odwróconej dyskryminacji" niewątpliwie leży u podstaw dzisiejszych kłopotów Ameryki: przywileje budują mur odgradzający mniejszość od społeczeństwa równie skutecznie jak dyskryminacja.

Z wielu źródeł, od reportaży do opracowań naukowych, można wnosić, że wbrew stereotypowi największym socjalnym problemem Ameryki nie są dziś wcale kolorowi, lecz ubożejący biali. To oni, zwani pogardliwie białymi śmieciami, są główną ofiarą prowadzonej przez wiele lat, szczególnie zresztą przez nominalnie lewicowych demokratów, polityki neofeudalnej, niesłusznie zwanej „neoliberalną" – polityki wolnego rynku połączonego z systemową gwarancją nierówności szans, prywatyzowania zysków i uspołeczniania strat. Są spychani w ubóstwo (wbrew „antyrasistowskiej" propagandzie białych żyjących w ubóstwie jest niemal dwa razy tyle co

eprasa.pl f9fafe5dc1

Demonstranci tańczący wokół przewróconego pomnika Kolumba w Saint Paul w USA

FOT. CHRIS JUHN / ZUMA PRESS / FORUM

rewolucję?

kolorowych) i popychani do przestępczości (dwukrotnie częściej od kolorowych padają oni ofiarami brutalności policji) i w przeciwieństwie do „mniejszości" nikogo nie interesują, nie mogą liczyć na niczyją pomoc ani wyrazy solidarności. Są „white trashes", „białymi śmieciami", oskarżanymi o całe prawdziwe i urojone zło z przeszłości, znieważanymi, a ostatnio zmuszanymi do klękania przed rozzuchwalonymi przez liberalne media i salony kolorowymi.

To właśnie owe „białe śmiecie" dały wyborcze zwycięstwo Trumpowi, widząc w nim polityka, który jedyny odnosi się do nich i ich wartości z szacunkiem (analogia do Polski i „zwykłych ludzi" dowartościowanych przez PiS wydaje mi się oczywista). W oczach liberalnych, wielkomiejskich elit jest to oczywiście pierworodny niewybaczalny grzech Trumpa. Stąd irredenta, do której użyły one czarnych.

Oczywiście, nic by z tej irredenty nie wyszło, gdyby nie epidemia, niewyobrażalny w Europie skok bezrobocia (USA praktycznie nie znają „prawa pracy", co sprzyja gospodarce, ale potęguje społeczne skutki kryzysów). Na czele „antyrasistowskich" protestów nie widzimy jednak wcale kolorowych przywódców. Czarni z gett korzystają z okazji, by plądrować sklepy i wyżywać się w niszczeniu, ale politycznie ich głosem są politycy i dziennikarze lewicowi, przeważnie biali; przywódczą rolę w zamieszkach też odgrywają biali bojówkarze z Antify, dla której kryzys wywołany koronawirusem wydaje się tym, czym dla latami czekającego na swą chwilę Hitlera i jego Sturmabteilung był wielki kryzys. Bez wątpienia łączy ich z wychowankami „socjalnych" gett jedno: totalne odrzucenie amerykańskiej cywilizacji, zanegowanie jej świętości. Białe liberalne elity czynią to pod wpływem ideologii, kolorowe „masy" wskutek lat szkolnej i popkulturowej edukacji w duchu „pedagogiki wstydu", przedstawiającej całą historię cywilizacji białych heteroseksualnych mężczyzn jako jedno pasmo zła, ale efekt jest ten sam, widoczny we wspólnym niszczeniu pomników „rasistów", nawet takich jak Kościuszko czy Gandhi.

Zasada tzw. brzytwy Ockhama (szukać zawsze wyjaśnień najprostszych) każe uznać prowadzenie przez wiele lat polityki „odwróconej dyskryminacji", która dała tak fatalne dla Ameryki skutki, za efekt ideologicznego zaślepienia, połączenia dobrych chęci ze zwykłą głupotą, do czego postępowe elity mają od zawsze skłonność. W świetle dzisiejszych wydarzeń trudno jednak nie rozważać możliwości, że było w tym i wyrachowanie dyrygentów „postępu", wychowanych za Sorosowe pieniądze w różnych jego szkołach czerwonych i tęczowych janczarów.

Ktokolwiek studiował dzieje dawnych rewolucji – a ludzie owładnięci obłędem „ruszania z posad bryły świata" i zaprowadzania nowego porządku zwykle to czynią – ten dostrzeże może w tej polityce próbę celowego wydzielenia z amerykańskiego społeczeństwa grupy odrzucającej wartości je konstytuujące, by w odpowiedniej chwili użyć jej, pod kierownictwem przygotowanych równolegle „antyfaszystowskich" kadr, jako nowego proletariatu, młota na stare porządki i narzędzia sprowadzenia na cywilizację białych heteroseksualnych mężczyzn otwierającego drogę rewolucji chaosu.

ZAMIERZONY PODZIAŁ

W ostatnich latach przetoczył się przez zachodni świat bunt przeciwko – że użyję swego neologizmu – „liberalistokracji", warstwie zarządzającej systemem liberalnej demokracji. Przez pewien czas odrzuceni „oświeceni" zdawali się wierzyć, że triumf „populistów" to tylko przypadek, chwilowe zawahanie na drodze nieuchronnego postępu, jaki reprezentują. Odrzucenie nabrało jednak cech trwałych i wraz z tym odrzucone elity stały się skłonne do uznania, że lepszym rozwiązaniem niż czekanie, aż wyborcy „zmądrzeją", jest przemoc. Rewolucyjna przemoc. Żeby uratować demokrację, trzeba ją na jakiś czas odrzucić. Przeciwko rewolucji dokonanej przy urnach przez białą biedotę wywołano uliczną kontrrewolucję Antify i czarnych gangów. Na której się zapewne nie skończy, bo upokarzanych białych spoza wielkich miast wciąż jest więcej, są uzbrojeni, a rządy Trumpa przywróciły im dumę.

Nie żyjemy na wyspie. Polskie uniwersytety, świat kultury i popkultury zainfekowane są tą samą lewicowo-liberalną zgnilizną, która przeżarła Zachód, tak samo dzieli ona Polaków i tak samo wychowuje u nas część społeczeństwa w duchu nienawiści do polskich świętości, pomników – przy bezczynności rządzących, przypominającej bezradność brytyjskich torysów, pod „konserwatywnymi" rządami których lewica zdołała całkowicie sfaszyzować państwo i zniszczyć publiczną moralność.

Nie trzeba do tego kolorowych mniejszości, kompleksu niewolnictwa i poczucia winy wobec wsadzanych do niedawna do więzienia homoseksualistów. Pretekstem może być cokolwiek. A kryzys, niosący społeczne frustracje wraz z przyzwoleniem na przemoc i radykalizm, zawsze może się zdarzyć. Radzę Polakom, żeby patrząc na płonące amerykańskie miasta, nie ulegali złudnemu przekonaniu, że nas to nie dotyczy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f9fafe5dc1

Liczba Grabowskiego

Łukasz Warzecha

Profesor Jan Grabowski, jeden z najbardziej znanych badaczy Zagłady, związany z Uniwersytetem w Ottawie, współzałożyciel PAN-owskiego Centrum Badań nad Zagładą Żydów, wrócił do swojej tezy sprzed kilku lat o 200 tys. żydowskich ofiar Polaków w czasie okupacji. Jego wystąpienia wzbudzają opór nawet wśród jego współpracowników. Żeby pojąć dlaczego, trzeba przypomnieć historię „liczby Grabowskiego"

W lipcowo-wrześniowym numerze „Biuletynu Żydowskiego Instytutu Historycznego" z roku 1970 zmarły w 1989 r. żydowski badacz Szymon Datner opublikował artykuł opowiadający o losie Żydów, którzy albo uciekli z gett na terenie okupowanej Polski, albo ukrywali się, żeby nigdy do nich nie trafić. Kilkunastostronicowy tekst pełen jest wstrząsających relacji i szczegółów o polowaniach na Żydów i o tym, jak ich zabijano – bez wyjątku: mężczyzn, kobiety, dzieci. Datner wspomina wielokrotnie o tym, że Żydów ukrywali Polacy, choć również o tym, że ich czasem wydawali. Pisze o tym, jakich zachęt używał niemiecki okupant, żeby nakłonić do informowania o Żydach przebywających w ukryciu. Sam Datner (urodzony w 1902 r.) przetrwał wojnę w lasach wschodniej Polski.

Historyk kończył swój tekst następującym passusem:

„Chodziło tu o Żydów, którzy albo w ogóle do gett nie poszli i ukrywali się po stronie aryjskiej, albo o takich, którzy zaznawszy udręki gett, starali się z nich wyrwać, albo wreszcie o takich, którzy usiłowali zbiec przed zagładą w momencie morderczej akcji lub z transportów śmierci. **Łączna ich liczba nie była mała. W jednej z prac liczbę ocalałych Żydów oszacowałem, głównie dzięki pomocy ludności polskiej, na ok. 100 000 osób. Równie orientacyjnie oceniamy, że co najmniej drugie tyle ofiar zostało wychwytanych przez organa okupacyjne i padło ofiarą zbrodni** [podkreślenie – Ł.W.]**".**

PYTANIA O HISTORYCZNĄ RZETELNOŚĆ

Wiele lat później, około roku 2017, prof. Grabowski wykorzysta artykuł Datnera jako podstawę do tezy o tym, że Polacy są winni lub współwinni śmierci ok. 200 tys. Żydów, którzy przetrwali proces likwidacji gett. W owym roku izraelski dziennik „Haaretz" opublikował tekst, oparty na tezach Grabowskiego, o krzyczącym tytule: „Mordercza orgia. Polacy, którzy polowali na Żydów i wydawali ich nazistom" (tak właśnie: nazistom, nie Niemcom). W podtytule znajdujemy powołanie się na tezy Grabowskiego: „Ponad 200 tys. Żydów zostało zabitych, bezpośrednio lub pośrednio, przez Polaków podczas drugiej wojny światowej – twierdzi historyk Jan Grabowski, który badał brutalne prześladowania. Jego konkluzja:

eprasa.pl f9fafe5dc1

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

w czasie holocaustu nikt nie stał z boku". Opowieść o 200 tys. ofiar Polaków powtórzyła prasa w wielu krajach.

Tekst w „Haaretz" przedstawiał Grabowskiego jako ofiarę prawicowej nagonki, mówił o jego wygranej w sądzie z właścicielem portalu Fronda.pl oraz cytował samego naukowca: „Jako polski historyk sądzę, że próby przykrywania mniej świetnych aspektów naszej narodowej przeszłości – co robi się dziś w Polsce z wielkim entuzjazmem – to przestępstwo wobec naszej profesji". Pytanie brzmi, czy sam Grabowski trzyma się zawsze zasad historycznej rzetelności?

W roku 2018 ukazała się budząca do teraz wielkie kontrowersje i mocno krytykowana przez część historyków – w tym związanych z IPN – książka pod redakcją Grabowskiego i Barbary Engelking „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski". Badacze przeanalizowali sytuację w 10 powiatach. Przedwojenna Polska miała ich 264.

Książkę na stronach CBnZŻ reklamuje m.in. taki passus: „Wymowa liczb jest nieubłagana: dwóch spośród każdych trzech Żydów poszukujących ratunku – zginęło. Zamieszczone w tomach opracowania dostarczają dowodów wskazujących na znaczną – i większą, aniżeli się to dotychczas wydawało – skalę uczestnictwa Polaków w wyniszczeniu żydowskich współobywateli". Wszystko to na podstawie analizy sytuacji w niecałych 3,5 proc. liczby przedwojennych powiatów RP.

Na Grabowskim skoncentrowała się emocjonalna debata nad losami Żydów w okupowanej Polsce. Stało się to w dodatku w momencie największego od lat kryzysu w stosunkach polsko-izraelskich. Zrozumienie tego kontekstu jest ważne, aby pojąć znaczenie rzucanego przez prof. Grabowskiego oskarżenia.

Zbladła, jak się zdaje, gwiazda Jana Tomasza Grossa, którego bardziej publicystycznych niż naukowych rewelacji nie byli w stanie bronić nawet najprzychylniejsi mu publicyści. Jan Grabowski zajął w jakimś stopniu jego miejsce jako naczelny oskarżyciel Polaków o winy wobec Żydów. Przy czym teraz mamy do czynienia ze sporem już nie o pojedyncze zdarzenia, jak w przypadku Jedwabnego, ale o duży obraz. A jest to już spór znacznie poważniejszy, bo duży obraz determinuje całą historyczną narrację. Próba udowodnienia, że Polacy mają na sumieniu kilkaset tysięcy żydowskich żyć, miałaby prowadzić do zakwestionowania tezy, iż podczas wojny jako naród zachowaliśmy się przyzwoicie. Polacy mają najwięcej na świecie tytułów Sprawiedliwego wśród Narodów Świata – ok. 7 tys. I to w sytuacji, gdy – inaczej niż na zachodzie Europy – pomoc Żydom oznaczała śmierć pomagającego i wszystkich jego najbliższych, bez względu na wiek. Najsłynniejszy przykład rodziny Ulmów jest jednym z tysięcy.

Linia prezentowana przez historyków z kręgu Grabowskiego kazałaby poczynania takie jak Ulmów, Rady Pomocy Żydom „Żegota" czy Grupy Berneńskiej, fałszującej paszporty krajów południowoamerykańskich umieścić w bardzo niekorzystnym kontekście. Z jednej strony, owszem, 7 tys. Polaków uhonorowanych za ratowanie Żydów i zapewne kilka tysięcy innych, którzy z różnych powodów tytułu nie otrzymali, ale pomagali. Z drugiej jednak 200 tys. Żydów zabitych przy udziale Polaków.

SZACUNKI BARDZO DOWOLNE

Jest akcja, jest reakcja. Zaczęły ze sobą rywalizować dwie skrajne narracje. Ta o pozbawionych ciemnych stron polskich heroizmie i szlachetności oraz ta o Żydach ukrywających się nie tylko przed Niemcami, lecz także przed z radością patrzącymi na Holokaust Polakami, gotowymi każdego dostrzeżonego poza gettem Żyda zaciągnąć za kołnierz na najbliższy posterunek żandarmerii lub nawet zabić samemu. Taka niestety ekstremistyczna narracja wyłania się z opowieści prof. Grabowskiego. W wywiadzie w „Gazecie Wyborczej" w marcu 2018 r. naukowiec wyjaśniał: „Nigdy nie mówiłem o 200 tys. Żydów zamordowanych własnoręcznie przez Polaków. […] Mówiłem, że według moich szacunków Polacy mogą być odpowiedzialni lub współodpowiedzialni za śmierć większości tych ludzi – a to ważne rozróżnienie. Bo część Żydów niewątpliwie zginęła bezpośrednio z polskiej ręki, a część zabili Niemcy, lecz na skutek polskich donosów bądź też po tym, jak Polacy doprowadzili i oddali żydowskie ofiary w ręce niemieckiej policji".

Dalej Grabowski przywołuje Datnera: „Gdy wiosną 1942 r. Niemcy przystąpili do likwidacji gett w Generalnej Guberni oraz na ziemiach polskich wcielonych do Rzeszy, żyło w nich ok. 2,5 mln Żydów. Z tym szacunkiem historycy nie mają problemu i nie wzbudza on większych kontrowersji. W wyniku likwidacji gett większość Żydów przetransportowano do obozów zagłady i tam zamordowano. Ale część uciekła podczas akcji likwidacyjnych. Nie wiemy dokładnie ilu. Szymon Datner, często cytowany polski historyk żydowskiego pochodzenia, mówił o 200–250 tys. Żydów, którzy schronili się po aryjskiej stronie". Warto te słowa porównać z cytowanym na początku fragmentem tekstu Datnera.

Następnie Grabowski przywołuje wówczas jeszcze będącą przed premierą książkę „Dalej jest noc", powołuje się na przeprowadzane na jej potrzeby badania i tłumaczy, że dokonał ekstrapolacji ich wyników na całą żydowską społeczność:

„Z tych nowych ustaleń w sposób niebudzący wątpliwości wynika, że na tych obszarach podczas likwidacji gett uciekło średnio ok. 10 proc. mieszkańców – choć, rzecz jasna, są ogromne różnice między poszczególnymi powiatami i miasteczkami. Wyszło nam też, że przeżyło tam ok. 1,8 proc. Żydów, którzy znajdowali się na terenie danego powiatu przed likwidacją gett. A zatem to także wskazywałoby na to, że wcześniejsze szacunki – liczba 50 tys. ocalałych – są w miarę wiarygodne.

eprasa.pl f9fafe5dc1

A więc także, że ok. 200 tys. Żydów zostało zamordowanych, gdy się ukrywali po aryjskiej stronie?

Tak, i na podstawie szczegółowej analizy tego, w jakich okolicznościach ginęli, sformułowałem hipotezę badawczą, że większość – choć nie jestem na tym etapie badań w stanie powiedzieć, czy było to 60, czy 90 proc. – straciła życie z rąk Polaków albo przy ich współudziale".

Grabowski zastrzega też, że te poglądy są wyłącznie jego, nie należy ich utożsamiać z naukowcami CBnZŻ. „Inni mogą sądzić, że dziesięć przebadanych powiatów to zbyt mało, aby ważyć się na jakiekolwiek uogólnienia" – stwierdza samokrytycznie i, trzeba dodać, całkowicie słusznie. Przypomnijmy: to 10 z 264 przedwojennych powiatów.

Wywiad w „GW" był formą obrony Grabowskiego, który zaczynał mieć problemy z utrzymaniem swoich tez o 200 tys. żydowskich ofiar Polaków oraz o 50 tys. ocalałych. Do analizowania twierdzeń Grabowskiego zabrał się jakiś czas wcześniej ówczesny ambasador Rzeczypospolitej w Szwajcarii (dziś w Turcji) Jakub Kumoch. Kumoch nie tylko zakwestionował liczbę 200 tys. zabitych przy udziale Polaków, wskazując, że praca Datnera nie daje podstaw do takich stwierdzeń. Zakwestionował również podawaną przez Grabowskiego liczbę 50 tys. ocalonych z Holokaustu. 28 lutego 2018 r. Kumoch, niestrudzenie wywołując do tablicy prof. Grabowskiego za pośrednictwem Facebooka, wskazywał, że owe 50 tys. wzięło się naukowcowi z łańcuszka cytatów i przypisów, na którego końcu leży szacunek całkowicie niemiarodajny: praca Antony'ego Polonsky'ego (Nowy Jork 2004), przywołująca rejestracje Centralnego Komitetu Żydów w Polsce z… czerwca 1945 r. Kumoch konkludował:

„1. Źródłem pierwotnym dla liczby 40.000 [powiększone przez Grabowskiego do 50 tys.] jest jedno zdanie z artykułu Antony'ego Polonsky'ego – reszta to wyłącznie cytaty z niego;

2. Artykuł Polonsky'ego bardzo jasno wyznacza cezurę czasową rejestracji (czerwiec 1945), co następnie w jego cytowaniach przez Friedländera i Grabowskiego nie jest uwzględniane;

3. Widać poważny problem badawczy, jakiego dostarcza cenzus CKŻP – jest niewiarygodny. Jedni się zarejestrowali, inni nie. Jaki odsetek się zarejestrował? Nie wiemy".

Okazuje się zatem, że owe 200 tys. rzekomych żydowskich ofiar Polaków to szacunki, by rzec delikatnie, bardzo dowolne.

PRZECIWKO MANIPULACJI

Przez kilkanaście miesięcy wydawało się, że prof. Grabowski zrezygnował z rozpowszechniania swojej tezy. Do niedawna. Oto bowiem „Haaretz" zajął się promocją najnowszej książki Grabowskiego, która opowiada o roli granatowej policji w Holokauście („Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów", Czarne 2020). Grabowski oznajmia, odnosząc się do głoszonej przez siebie liczby 200 tys. żydowskich ofiar Polaków: „Muszę powiedzieć, że w ciągu ostatnich trzech, czterech lat mojej pracy podwyższam tę liczbę. Moje poprzednie założenie o 200 tys. [zabitych przy udziale Polaków] Żydów było bardzo, bardzo, bardzo, bardzo ostrożne". Autor tekstu w „Haaretzu", Ofer Aderet, przyjmuje tę deklarację bezkrytycznie, tak jakby nie odbyły się dyskusje, w których wykazano Grabowskiemu chwiejność jego założeń.

Okazuje się jednak, że lansowanie marnie uzasadnionych, ale chwytliwych tez wywołuje sprzeciw nawet w naukowym otoczeniu Grabowskiego. 9 marca tego roku naukowiec wysłał e-mail adresowany do „uczestników grantu o świadkowaniu". Pisze w nim:

„Na skutek niedawnej próby podważenia mojej wiarygodności naukowej przedsięwziętej przez członków Centrum BnZŻ wobec szeregu zaprzyjaźnionych historyków, oraz w obliczu odmowy przeprosin z ich strony, nie pozostaje mi nic innego jak wycofać się z naszego grantu. Przykro mi, ale nie jestem w stanie pracować z ludźmi, którzy stawiają mnie w jednym szeregu z fałszerzami historii Zagłady".

Skąd tak ostra, emocjonalna reakcja na krytykę z własnego kręgu naukowego? W e-mailu czytamy, że poszło o, jak pisze Grabowski, „donos", zatytułowany „Komentarz do szacunków Jana Grabowskiego". Trudno uznać, że chodzi o szacunki inne niż te dotyczące – jak ją nazywał ambasador Kumoch – „liczby Grabowskiego". Grabowski cytuje zdanie z owego „komentarza": „Zarzucamy apologetom, że skrajnie naciągają i zawyżają liczby pomagających. Nie powinniśmy robić tego samego w stosunku do zamordowanych". Z cytatu wynika, że autorzy „komentarza" oskarżyli prof. Grabowskiego, iż „skrajnie naciąga i zawyża" liczbę Żydów zamordowanych przy udziale Polaków.

„Jakby wyjęte z jednego z oświadczeń »Reduty« [Dobrego Imienia] skierowanych przeciwko mnie. Gratuluję!" – kończy wzburzony Grabowski.

Wnioskować można, że nawet w żydowskim środowisku naukowym szacunki prof. Grabowskiego są uznawane za, najdelikatniej mówiąc, problematyczne. Kłopot w tym, że polsko-kanadyjski naukowiec bardzo skutecznie pozuje na prześladowanego za ujawnianie „niewygodnej" prawdy, w samym zaś Izraelu jest uważany za historyka wybitnego, a jednocześnie tępionego przez polską prawicę. Taką opinię ma m.in. w Centrum Badań nad Holokaustem w Polsce w Yad Vashem.

Wyjaśnianiem, że twierdzenie o 200 tys. ofiar nie ma podstaw, zajmuje się w swoim spokojnym stylu ambasador RP w Izraelu Marek Magierowski, rozmawiając z prasą mniej zaciętą niż „Haaretz". Ponad rok temu Magierowski wskazywał na bezpodstawność szacunków Grabowskiego w rozmowach z Severem Plockerem z „Yediot Ahronot" czy Yaakovem Katzem z „Jerusalem Post". Dwa dni po tym spotkaniu Katz opublikował tekst o stanie stosunków między Polską a Izraelem. Mówił tam o sytuacji ze szczytem bliskowschodnim w Warszawie i wyjaśniał, że Polacy poczuli się zawiedzeni, gdy w izraelskiej prasie zaczęły się pojawiać nieprzychylne dla nas teksty. Pisał Katz: „Jeden z nich [tekstów] w »Haaretzu« cytował badanie szanowanego polsko-żydowskiego historyka Szymona Datnera, stwierdzając, że uznał on, iż 200 tys. Żydów zostało zamordowanych przez Polaków. Problem w tym, że badanie, opublikowano w 1970 r., oceniało tę liczbę na 100 tys. oraz stwierdzało, że kolejne 100 tys. zostało prawdopodobnie ocalone przez Polaków".

Pokazywane przez Grabowskiego poszczególne przypadki wydawania Żydów przez Polaków Niemcom czy popełnianych przez samych Polaków zbrodni nie są zmyślone. To się niestety działo. Pytanie jest o skalę i kontekst. I tu jest problem z Grabowskim, który sprawia wrażenie, jakby toczył teraz już samotną krucjatę, korzystając niestety z gościnności „Haaretz". Takie postawy w pojednaniu polsko-żydowskim nie pomagają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f9fafe5dc1

Modernizacja śluz odrzańskich na Kanale Gliwickim

Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie

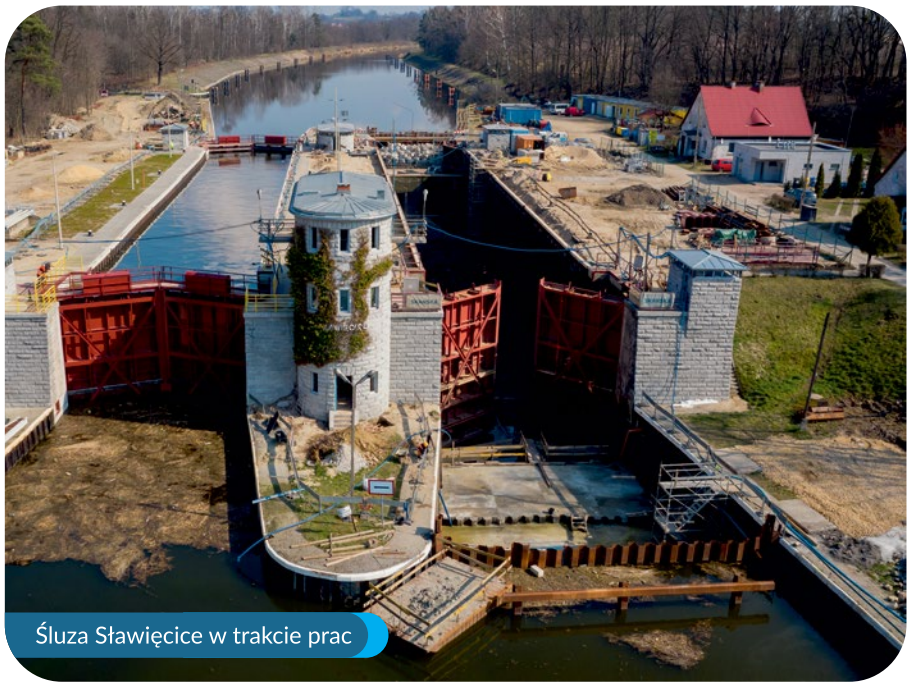

Śluza Sławięcice w trakcie prac

Trwają prace nad realizacją projektu pn. „Modernizacja śluz odrzańskich na Kanale Gliwickim, na odcinku w zarządzie RZGW Gliwice - przystosowanie do III klasy drogi wodnej - etap II", obejmującego modernizację śluz Nowa Wieś i Sławięcice, zlokalizowanych na Kanale Gliwickim w województwie opolskim w gminie Kędzierzyn-Koźle. W jego ramach Wody Polskie w Gliwicach sukcesywnie prowadzą prace remontowe, mające na celu dostosowanie Kanału Gliwickiego do III klasy drogi wodnej. Za sprawą projektu poprawi się stan techniczny oraz bezpieczeństwo budowli i urządzeń elektromechanicznych.

Nadwyrężone zębem czasu śluzy na drodze wodnej, liczącej ponad 80 lat nie dawały administratorowi – Państwowemu Gospodarstwo Wodnemu Wody Polskie Regionalnemu Zarządowi Gospodarki Wodnej w Gliwicach pewności co do bezpieczeństwa użytkowania. Nie spełniały też współczesnych standardów pracy. Stąd konieczność generalnej modernizacji tej sztucznej drogi wodnej – jedynego takiego kanału w kraju o funkcji transportowej. Każda z 6-ciu śluz Kanału Gliwickiego składa się z dwóch bliźniaczych komór, które umożliwiają jednostkom pływającym pokonanie różnicy poziomów wody między rzeką Odrą w Kędzierzynie-Koźlu a Gliwicami.

W toku prowadzonych prac na śluzach Sławięcice i Nowa Wieś wykonano w ostatnim czasie m.in. piaskowanie ścian stalowych komór południowych śluz, reprofilację betonów awanportów dolnych śluz oraz betonów głowy górnej i dolnej komór południowych obu śluz. Ponadto, zdemontowano również wrota komór południowych śluz, które zostaną zastąpione nowymi. Zrealizowano remont budynków sterowni głównej, w tym renowację granitowej elewacji. Na śluzach wymieniono stolarkę okienną. Nowe są także drzwi. Doprowadzono do końcowej fazy budowę kanałów obiegowych śluz oraz przywrócono historyczny charakter pompowni na śluzie Sławięcice. Obecnie trwające na placach budów roboty skupiają się w komorach południowych. Prace o tym samym zakresie zakończyły się w ubiegłym roku w komorach północnych obu śluz.

Realizowany projekt został wybrany do dofinansowania w trybie pozakonkursowym w III osi priorytetowej Programu Infrastruktura i Środowisko 2014-2020 "Rozwój sieci drogowej TEN-T i transportu multimodalnego". W dniu 20.12.2016 r. Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie Regionalny Zarząd Gospodarki Wodnej w Gliwicach podpisał z Centrum Unijnych Projektów Transportowych – Instytucją Pośredniczącą umowę o nr POIS.03.02.00-00-0003/16-00 na dofinansowanie projektu „Modernizacja śluz odrzańskich na Kanale Gliwickim, na odcinku w zarządzie RZGW Gliwice - przystosowanie do III klasy drogi wodnej - etap II".

Inwestycji zostało przyznane dofinansowanie w kwocie: 59 276 177,27 PLN ze środków Unii Europejskiej (Fundusz Spójności w ramach POIiŚ 2014-2020). Wartość projektu wynosi 69 736 679,15 PLN.

Spodziewanym efektem prac prowadzonych w ramach realizowanej inwestycji będzie uzyskanie niezawodności i dobrego stanu technicznego śluz, bezpiecznego i oszczędnego gospodarowania wodą w trakcie śluzowań, a także zwiększenie przepustowości Kanału Gliwickiego.

Mimo sytuacji, jaka zaistniała w związku z pandemią COVID-19, Wykonawca nie napotkał większych trudności i prowadzone prace odbywają się z zachowaniem ustalonego harmonogramu. Planowany termin zakończenia projektu rozpoczętego w 2017 r. przypada na I kwartał 2021 r.

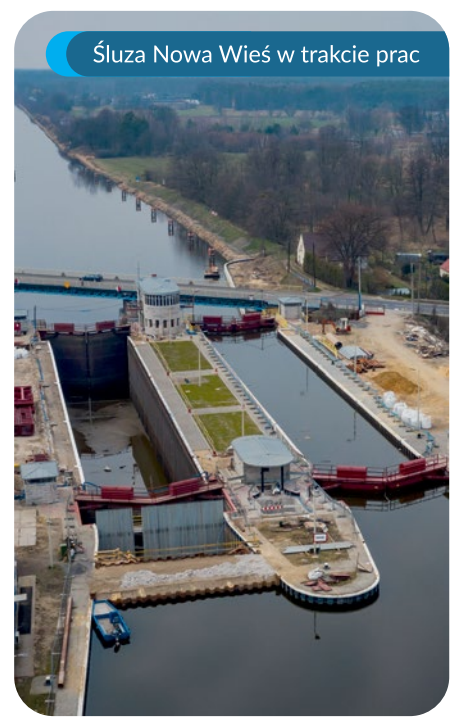

Śluza Nowa Wieś w trakcie prac

Krajowy Zarząd Gospodarki Wodnej
ul. Grzybowska 80/82, 00-844 Warszawa

RZGW w Gliwicach
ul. Sienkiewicza 2, 44-100 Gliwice

Fundusze Europejskie Infrastruktura i Środowisko
Rzeczpospolita Polska
Unia Europejska Fundusz Spójności

eprasa.pl f9fafe5dc1

FOT. ADOBE STOCK

Cenzurą w prawicę

Maciej Pieczyński

Lewicowe organizacje kneblują usta konserwatystom i sięgają po totalitarne metody

Stowarzyszenie to powstało w 1996 r. jako organizacja „wyspecjalizowana w monitorowaniu przejawów rasizmu". Na jego stronie można przeczytać: „Jednym z pierwszych sympatyków i przyjaciół naszego Stowarzyszenia był Jacek Kuroń. Wsparcia w różnej formie udzielali nam też między innymi Jan Karski, Szymon Wiesenthal i Jerzy Giedroyc. Uznanie dla »NIGDY WIĘCEJ« wyraził też osobiście prezydent USA Barack Obama podczas wizyty w Polsce w 2011 r.". W latach 2002–2006 stowarzyszenie przyznawało tytuł Antyfaszysty Roku. Wśród laureatów, obok Jerzego Owsiaka czy Krzysztofa Skiby, znalazł się Simon Mol, działacz Stowarzyszenia Uchodźców. Kilka lat później został oskarżony o celowe zarażanie kobiet wirusem HIV (zmarł w trakcie procesu).

„BRUNATNA KSIĘGA"

Remigiusz Okraska już w 2000 r., na łamach „Frondy Lux", przekonywał, że sposób myślenia, zasady przedstawiania faktów, metody i ostateczne cele działalności antyfaszystów niewiele się różnią od podobnych aspektów praktyki faszystowskiej. Zdaniem socjologa NW stosuje prostą zasadę w sporach z przeciwnikami: „Nie trzeba polemizować z żadnymi zarzutami, lecz wystarczy tych, którzy je stawiają, uznać za faszystów". Zwraca też uwagę na to, że celem ataków antyfaszystów często jest nie tyle ideologia faszystowska, ile sami ludzie, którzy ich zdaniem mają cokolwiek z tą ideologią wspólnego. „Jesteśmy zdania, że wobec pewnych rzeczy, pewnych idei, pewnych ludzi, i ich dorobku powinno funkcjonować tabu" – pisał nieżyjący już Marcin Kornak, założyciel NW.

Okraska zauważa również, że NW często stosuje słownictwo, które w ustach innych środowisk najpewniej samo uznałoby za wykluczające, faszystowskie. Przytacza przykłady: „chora psychika niektórych społeczeństw", „neofaszysta, próbujący zawłaszczyć nasze polskie tradycje", „paranoiczna ideologia", „chore poglądy", „wyciągnięta z niebytu kolejna kreatura", „wioskowy głupek".

Faszyzm, dostrzegany i definiowany przez NW, uaktywnił się szczególnie w czasie pandemii. Symptomatyczną lekturę stanowi opublikowany w maju rozdział „Brunatnej księgi" pod wszystko mówiącym tytułem „Wirus nienawiści", autorstwa Rafała Pankowskiego, Anny Tatar i Jacka Dzięgielewskiego. „Zobaczymy, na ile ta epidemia przedostanie się poza granice Chin, dlatego że jak dotychczas to okazuje się, że przede wszystkim Chińczycy są bardziej podatni niż przedstawiciele rasy białej" – tę tezę Jerzego Targalskiego antyfaszyści z NW ocenili jako „kuriozalne stwierdzenie, zabarwione rasizmem". Targalski podpadł

eprasa.pl f9fafe5dc1

antyfaszystom nie tylko swoimi dywagacjami na temat różnic w odporności poszczególnych ras czy narodów. W jednym z wywiadów na pytanie, czy wywołanie epidemii mogło być wynikiem walk frakcyjnych w Chinach, politolog odpowiedział: „Każdy, kto zna komunizm, wie, że nie ma takiej zbrodni, której komunista by nie popełnił, żeby zdobyć lub utrzymać władzę". Również ta wypowiedź Targalskiego znalazła się w raporcie NW. Jak widać, również postawa jednoznacznie antykomunistyczna uważana jest za „brunatną".

NW prowadzi „Brunatną księgę", w której od 1996 r. dokumentuje przestępstwa popełnione przez neofaszystów i skrajną prawicę oraz incydenty na tle rasistowskim, ksenofobicznym i akty dyskryminacji na terenie Polski. O tym, jak obszerne są ramy interpretacyjne „brunatnych" zachowań w rozumieniu NW, świadczy fakt, że do księgi ma trafić Monika Jaruzelska za… przeprowadzenie wywiadu z Grzegorzem Brauem. W „Brunatnej księdze" znalazł się nawet główny inspektor sanitarny. Pod koniec stycznia dziennikarz Marcin Zaborski dopytywał Jarosława Pinkasa, czy ma powody do obaw, jeśli ma objawy koronawirusa, ale nie był w Chinach. W odpowiedzi usłyszał: „Nie powinien pan podnosić alarmu. Proszę przeanalizować, gdzie pan był i czy rzeczywiście w pana otoczeniu nie było osoby z Chin […]. Czy nie rozmawiał pan z Chinką czy z obywatelem Chin, który jeszcze przed dwoma tygodniami był w Chinach. Jeżeli nie ma pan tego w swojej świadomości, to jest pan absolutnie bezpieczny".

KNEBLOWANIE

Także Stowarzyszenie przeciw Antysemityzmowi i Ksenofobii „Otwarta Rzeczpospolita" próbowało kneblować wolność wypowiedzi. Jego przedstawiciele złożyli zawiadomienie do prokuratury o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez Rafała A. Ziemkiewicza w nowej książce „Cham niezbuntowany". Sugerując „antysemityzm" i „negację Holokaustu", organizacje zaapelowały do dystrybutorów książki i sprzedawców o jej „niepromowanie, a jeśli to możliwe – wycofanie jej ze sprzedaży".

Stowarzyszenie powstało w 1999 r. „z potrzeby przeciwdziałania ksenofobicznym i antysemickim uprzedzeniom odżywającym w polskim życiu publicznym". Oficjalnie podstawowe cele organizacji to „krzewienie postawy otwartości i szacunku dla osób i grup o odmiennej identyfikacji etnicznej, narodowej, religijnej, kulturowej lub społecznej oraz przeciwdziałanie wszelkim formom rasizmu, antysemityzmu, ksenofobii i innym postawom godzącym w godność człowieka". Po głośnej wypowiedzi Jacka Żalka na temat LGBT OR złożyła skargę do Komisji Etyki Poselskiej. Zarzut, sformułowany w treści skargi, nie dotyczył jedynie słów. Czytamy tam też: „Jego wypowiedzi towarzyszył cyniczny, pełen pogardy śmiech".

Bardzo aktywna jest również znana lewicowa organizacja Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych. „Nasz ośrodek skutecznie staje na drodze brunatnej fali zalewającej Polskę. Doprowadzamy do procesów liderów i ideologów neofaszystowskich bojówek. Codziennie opracowujemy nowe zgłoszenia o popełnieniu przestępstw z nienawiści. Pomagamy ofiarom prześladowań i raportujemy o aktualnej sytuacji w Polsce" – czytamy na facebookowej stronie OMZRiK. Jak większość tego typu organizacji ośrodek czasem nagłaśnia sprawy rzeczywiście skandaliczne, które – nawet jeśli są niszowe i jednostkowe – zasługują na uwagę. Jednak poza tym doszukują się „neofaszyzmu" tam, gdzie w istocie mamy do czynienia z emanacją konserwatywnych poglądów. „Andrzej Duda posłusznie podpisał prawo zaostrzające kary za aborcję!" – informuje alarmującym tonem ośrodek. Chodzi o część przepisów Tarczy 4.0.

Do „Brunatnej księgi" stowarzyszenie Nigdy Więcej wpisało Monikę Jaruzelską za to, że przeprowadziła wywiad z Grzegorzem Braunem

Ośrodek uaktywnił się w ostatnich tygodniach, gdy tematem kampanii wyborczej stała się kwestia LGBT. „Możecie sobie wierzyć, ale musicie się z tym obnosić?" – mem o takiej treści, ilustrujący udział polityków PiS w procesji Bożego Ciała, został opublikowany na fanpage'u OMZRiK.

– Trudno znaleźć jednoznaczną odpowiedź na pytanie, dlaczego ulegamy presji lewackiej cenzury. Podobnie trudno zrozumieć, dlaczego w latach 30. ubiegłego wieku niemieckie społeczeństwo, tak wykształcone, racjonalne, o tak wysokim poziomie kultury i cywilizacji, uległo propagandzie hitlerowskiej – komentuje dr hab. Ewa Budzyńska, socjolog. Sama, z powodu poglądów konserwatywnych, padła ofiarą nagonki ze strony środowisk lewicowych. Rzecznik dyscyplinarny Uniwersytetu Śląskiego, na którym była zatrudniona na stanowisku profesora, skierował wniosek o jej ukaranie za „narzucanie studentom" własnego światopoglądu. Chodziło m.in. o „promowanie poglądów narodowo-katolickich", w tym m.in. o nazywanie człowieka w fazie prenatalnej ciąży dzieckiem. Profesor Budzyńską w obronę wziął minister Gowin, w jej obronę zaangażował się także instytut Ordo Iuris. Ostatecznie socjolog w geście protestu zrezygnowała z pracy na uczelni. W atakach na prof. Budzyńską udział brał Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych. – Okazuje się, że można manipulować przekazem i zastraszać zarazem swoich przeciwników ideowych. Działalność cenzorską niektórych organizacji lewicowych można określić mianem pełzającego totalitaryzmu. Na naszych oczach polityczna poprawność kostnieje w formie wręcz „religijnych" dogmatów. Kto ich nie podziela, ten jest heretykiem. Podobnie jak w systemie komunistycznym, kto odważył się skrytykować lewicowe poglądy i nie złożył samokrytyki, temu grożą poważne konsekwencje, włącznie z publicznym ostracyzmem i wyrzuceniem z pracy – ocenia profesor.

– Lewica często odwołuje się do przepisów, które tak naprawdę mają na celu ograniczenie wolności wypowiedzi. Głosząc ideały rzekomo liberalne, wykorzystuje narzędzia prawne, pozwalające na kneblowanie ust przeciwnikom – mówi dr Bartosz Lewandowski, dyrektor Centrum Interwencji Procesowej Ordo Iuris. – Krytycy radykalnych postulatów lewicowych mogą w odpowiedzi odwoływać się np. do tzw. ustawy równościowej z 2010 r. Właśnie na jej przepisy powołuję się jako pełnomocnik dr. Tomasza Terlikowskiego w sprawie o odszkodowanie przeciwko Warszawskiemu Uniwersytetowi Medycznemu. Uczelnia odmówiła mojemu klientowi podpisania umowy na prowadzenie zajęć z etyki z uwagi na gwałtowną presję ze strony środowisk lewicowych – dodaje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f9fafe5dc1

Sanepid do

Łukasz Zboralski

Sanepid w Polsce od dawna nie działał najlepiej, ale dopiero pandemia obnażyła prawdę o tej instytucji. Silna wobec przedsiębiorców okazała się teraz bezradna i niekompetentna

Czym jest powiatowa stacja sanitarno-epidemiologiczna, przekonał się w Polsce każdy, kto próbował otworzyć mały sklep spożywczy czy bar. Pracownik sanepidu staje się wówczas człowiekiem, który decyduje o „być albo nie być" małego biznesu. Co gorsza, często stawianie konkretnych wymagań zależy od jego widzimisię. Przykład? Do dziś teoretycznie, zgodnie z wymogami prawa, otwierając lokal, w którym podajemy jedzenie i picie, powinniśmy zapewnić toaletę. I w jednym mieście bez tego sanepid nie dopuści do otwarcia takiego biznesu, ale już w innym miejscu w kraju bez problemu funkcjonuje wyszynk bez toalety, bo lokalny inspektor uznał, że w pobliżu jest toaleta publiczna i wszystko się zgadza.

Przyznawał to zresztą szef Głównej Inspekcji Sanitarnej, który w grudniu 2019 r. uzasadniał na sejmowej Komisji Zdrowia potrzebę nowelizacji prawa zaproponowaną przez partię rządzącą. – Są bardzo różne wymogi w całym kraju. Daje to nam jedną szansę na to, żeby przede wszystkim przedsiębiorcy w całej Polsce znali różne wymogi sanitarno-higieniczne. Żeby otwarcie zakładu fryzjerskiego i jego odbiór w jednym powiecie był dokładnie taki sam jak w innym powiecie czy województwie – to jest chyba niezwykle racjonalna i mądra centralizacja – mówił Jarosław Pinkas.

POKAZY NIEKOMPETENCJI

To, jak marna pod względem kompetencji jest ta służba, wszyscy w Polsce na własne oczy zobaczyli podczas słynnego już występu na początku pandemii w Słubicach. Tamtejsza szefowa sanepidu (z litości nie wymieję już jej nazwiska) publicznie występowała z przekazem na poziomie plotki podczas rodzinnego spotkania na grillu. Dawała takie porady jak: „Nie całujcie się z nikim, kto wykazuje objawy infekcyjne i nie jest mężem. A nawet może i z mężem też nie, bo po co chłop ma się zarazić". Na koniec śpiewała fragment piosenki: „Kochanie, jak się masz...". Najgorszy był jednak ten fragment jej wypowiedzi, w którym opowiedziała o jednym przypadku pacjenta ze zdiagnozowanym koronawirusem z podległego jej terenu. Przedstawiała jego zawiłą sytuację osobistą – że mieszka w jednym lokalu z żoną, z którą już nie jest itd.

Pani ta przestała być szefową lokalnego sanepidu, ale w skali kraju problemy i niekompetencja tej instytucji dopiero zaczęły okazywać się w całej krasie. I to w dużo poważniejszych sprawach niż brak poszanowania dla czyjejś prywatności. Przykładów mieliśmy w mediach aż nadto.

Pod koniec kwietnia w piśmie do RPO śląski wojewoda opisał, jak wyglądały działania po informacji o zakażeniu SARS-CoV-2 w Śląskim Centrum Rehabilitacji „Ad Finem" w Czernichowie. Najszybszym działaniem powinno być pobranie wymazów od osób, które miały kontakt z zakażonym. Listę takich ludzi przygotowuje inspekcja sanitarna. Ta nie potrafiła nawet tego zrobić właściwie.

„[...] pierwsza lista, jaką otrzymał Wydział Powiadamiania Ratunkowego ze strony żywieckiej inspekcji sanitarnej, zawierała 279 nazwisk. Podkreślenia wymaga to, że wykaz był niepełny – w odniesieniu do większości osób brak było informacji o dacie ostatniego kontaktu z osobą zakażoną. Z punktu widzenia zasad wykonywania wymazów brak tej zmiennej jest szalenie istotny – nie pozwala on bowiem ustalić, czy upłynęło już minimum siedem dni od kontaktu z pacjentem z wynikiem dodatnim (tym samym wyniki kolejnych osób mogą być niemiarodajne). W jednym przypadku brakowało jakichkolwiek danych adresowych oraz kontaktowych, umożliwiających dokonanie ustaleń w tym zakresie" – opisywał wojewoda śląski.

Potem na liście wykryto kolejne błędy. Dziesięć osób na niej zamieszkiwało poza województwem śląskim i powinni się nimi zająć inni inspektorzy. Żywiecki sanepid nie podał jednocześnie, czy inne służby zostały o tym poinformowane.

Potem „eksperci" z Żywca przekazali kolejną listę. Według niej wymaz do badań powinno się jednak pobrać jedynie od... siedmiu osób. Ale była i następna lista. Zgodnie z nią służby medyczne powinny pobrać wymazy od 50 osób, w tym od części, której nie było na pierwotnej liście z prawie 300 nazwiskami. Ostatecznie sztab kryzysowy wojewody zdecydował się przebadać 279 osób oraz nowe, wskazane na trzeciej liście.

BARDZO GŁUCHY TELEFON

Inny wątek, wielokrotnie pojawiający się w relacjach ludzi, którzy zaniepokojeni możliwością kontaktu z osobą zarażoną próbowali zasięgnąć informacji, dotyczy prób dodzwonienia się do sanepidów powiatowych w całym kraju.

eprasa.pl f9fafe5dc1

zmiany

FOT. JAKUB MORKOWSKI / FORUM

Z informacji tych wynika, że w wielu przypadkach połączenie telefoniczne wymaga niezwykłej wytrwałości albo cudu. A są to przecież poważnie zaniepokojeni ludzie, którzy chcieliby choćby dowiedzieć się, co mają zrobić, lub oczekują jak najszybszego przebadania.

Ostatnio najdotkliwiej odczuły to osoby z województwa śląskiego, gdzie notowano najwyższe liczby zakażeń, głównie przez rozprzestrzenianie się koronawirusa w kopalniach. O historii swojej rodziny opowiedziała m.in. Aleksandra Kuczera z Rybnika, publikując film w serwisie YouTube. Opowiedziała w nim o „tysiącu" próbach telefonicznego kontaktu z lokalnym sanepidem. Bezskutecznych. Nie udało się to też drogą e-mailową. Gdy jej brat, podczas badań, dopytywał o rodzinę, pracownica sanepidu miała wyrazić zdumienie i twierdzić, że nawet nie ma ich na liście wskazanych do przeprowadzenia badań. Rodzina przechodziła trzy (!) kwarantanny po kolei, bo ludzie nie mogli wrócić do pracy bez pokazania ujemnego wyniku badania na koronawirusa, a nikt ich nie przebadał.

Frustracja ludzi niedziałającym systemem była tak olbrzymia, że – jak przyznawał szef Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Gliwicach – dochodziło do dantejskich scen. Pod budynek stacji przychodzili ludzie lżący jej pracowników. Jeden z mężczyzn siłą wtargnął do budynku. Jak się potem okazało, był zakażony COVID-19.

Czy dziś udało się poprawić działania inspekcji? Niestety nie. – Mam koleżankę, która właśnie odbywa kwarantannę, bo jej znajoma z pracy była na imprezie, na której był ktoś zakażony koronawirusem – relacjonuje pani Aneta z Olsztyna. – Po tygodniu miała termin pobrania wymazu do badania. Zadzwoniła do niej pani z sanepidu i pytała, kiedy przyjedzie. Koleżanka była zdumiona. Opuszczanie kwarantanny jest przecież po pierwsze zakazane, zagrożone karami, a po drugie – czy osoba możliwe, że chora, powinna jechać do inspekcji? Może jeszcze autobusem? Odmówiła i zażądała przyjazdu pracowników. Pani z sanepidu nie była zachwycona. Mówiła, że będą musieli przyjechać żołnierze w kombinezonach – tak jakby chciała wywrzeć presję – opowiada.

Takich relacji w Internecie są setki, jeśli nie tysiące. Informacje o nieprawidłowościach notuje m.in. Główny Inspektorat Sanitarny. – Do dnia dzisiejszego do GIS wpłynęło 660 informacji w sprawie powiatowych stacji sanitarno-epidemiologicznych – informuje „Do Rzeczy" Elżbieta Otwinowska z departamentu komunikacji społecznej i promocji zdrowia GIS.

POLITYCZNE PRZEPYCHANKI

Jeszcze zanim wybuchła pandemia, pod koniec 2019 r. partia rządząca przygotowała zmiany, które bardziej podporządkowują powiatowe inspekcje centralnej służbie, dzięki czemu można było lepiej skoordynować działania.

To oczywiście wzbudziło od razu opór parlamentarnej opozycji. Mówiono o rzekomej szkodliwej centralizacji i odbieraniu kompetencji samorządom (to starostowie odpowiadają za powiatowe stacje). Chociaż także opozycja widziała problemy w koordynacji. – Sytuacja dotychczas była dość dziwna, trzeba być sprawiedliwym – państwo finansowało powiatowych inspektorów sanitarnych, a kadrowo podlegali pod starostę, już schodząc na poziom samorządów – przyznawał na sejmowej Komisji Zdrowia w grudniu ubiegłego roku poseł Zdzisław Wolski z Lewicy.

Zmianom przeciwstawił się też zdominowany przez opozycję Senat. Chociaż zrobił to już w czasie, gdy także Polska borykała się z pandemią i problem koordynowania decyzji na szczeblu państwowym powinien być już dobrze widoczny.

Te zmiany w Sejmie odrzucono. Znów przeciw była opozycja. – Konfederacja, tak jak podczas poprzednich czytań w całej procedurze, po prostu opowiada się przeciwko centralizacji z obawy o zamordyzm – nie bójmy się tego słowa – ponieważ już lokalne, zdecentralizowane sanepidy dały się we znaki ludziom, którzy zabiegają o zachowanie wolności wyboru procedur medycznych stosowanych np. wobec ich nowo narodzonych dzieci – twierdził w marcu w Sejmie Grzegorz Braun, poseł Konfederacji. – Lękamy się, że scentralizowany sanepid będzie występował w podwójnej roli: tego, kto rejestruje niepożądane odczyny poszczepienne, i tego, kto ma rejestrować osoby, które dopominają się o wolność. Lękamy się, że jako taki centralny policjant w tej dziedzinie będzie działał na szkodę, przeciwko wolności i zdrowiu Polaków.

Zmiany zaplanowane przez rządzącą większość weszły w życie w kwietniu. I o ile pozwolą koordynować pracę inspekcji sanitarnych centralnie, o tyle jest wątpliwe, czy umożliwią rozwiązanie problemów braków kadrowych tej instytucji, braku kompetencji jej pracowników (co wiąże się oczywiście także z relatywnie niskimi płacami). Tutaj Polacy, którzy mieli do czynienia z „pomocą" sanepidu, powinni zrozumieć lepiej wagę swojego głosu w wyborach samorządowych na poziomie powiatu. Czy jednak zrozumieją?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f9fafe5dc1

FOT. ADOBE STOCK

Dzieci, które zabijają

Blanka Aleksowska

Brutalne morderstwo 16-letniej Kornelii zszokowało całą Polskę. Co popycha nastolatków do okrucieństwa? I dlaczego system resocjalizacji w Polsce nie działa?

Zabójcy Kornelii wszystko zaplanowali. Morderstwo przypominało bezwzględną egzekucję. Dziewczyna zaginęła wieczorem 11 lutego. Wyszła z domu zwabiona przez koleżankę, 16-letnią Martynę Sz. Poszły na parking w Konstancinie-Jeziornie, gdzie czekał na nie 25-letni Patryk B., chłopak Martyny.

Chłopak strzelił kilka razy w głowę Kornelii z broni pneumatycznej. Gdy karabin zawiódł, B. wraz z Martyną zaczęli dusić ofiarę. Chwilę później Martyna miała sama chwycić broń i jeszcze raz postrzelić koleżankę.

W położonym nieopodal lesie na Kornelię czekał już wcześniej wykopany dół, jednak nie był to koniec jej męki. Wciąż widać było oznaki życia, więc Patryk B. uderzył ją jeszcze kilka razy łopatą. Po wszystkim zabójcy zakopali ofiarę, przysypując ją ziemią i liśćmi.

Rodzina miesiącami szukała nastolatki. Jej zwłoki odnaleziono pod koniec kwietnia. – Martyna po jej zniknięciu okłamywała policję. Udawała, że też jest zmartwiona i zaniepokojona – mówi „Do Rzeczy" Anna Stefańska, przyjaciółka matki zamordowanej dziewczyny. Zdaniem bliskich Kornelii to właśnie 16-letnia Martyna zaplanowała zabójstwo i namówiła do tego chłopaka. – Żaliła się nieraz na Patryka, że nie jest taki zły jak ona. Że nie chce zabijać. Ona często mówiła, że ma ochotę kogoś zabić. Najlepiej Kornelię – wspomina Monika (imię zmienione), koleżanka obu dziewczyn. Ona także była ofiarą Martyny, która jakiś czas temu prysnęła jej w twarz gazem. Czuła się bezkarna.

Śledczy wskazują, że przyczyny morderstwa nie są oczywiste. – Motyw był bardzo błahy, właściwie można mówić o zbrodni bez wyraźnego powodu – przyznaje rzecznik warszawskiej prokuratury okręgowej, Mirosława Chyr.

Brutalność Martyny Sz. przeraża, ale to w końcu jeden z wielu przypadków skrajnej agresji wśród nastolatków. W ostatnich dniach śląska policja zatrzymała 13- i 15-latka, którzy w okrutny sposób nękali i bili dwóch niepełnosprawnych umysłowo mężczyzn. Jeden z mężczyzn został nawet zmuszony do wykopania sobie grobu. Przeważnie chłopcy chcieli pieniędzy, ale czasem bili bez powodu. Z kolei rok temu w szkole w warszawskim Wawrze 15-letni Emil B., na oczach uczniów i nauczycieli, zabił nożem swojego kolegę, 16-letniego Kubę. Miał być

eprasa.pl f9fafe5dc1

do tego podżegany przez dwóch kolegów. Emil B. za swój czyn odpowiada jak osoba dorosła, jego proces jest w toku.

SCHEMATY Z DOMU

Eksperci są zgodni, że przypadki skrajnej agresji czy przestępstw popełnianych przez nastolatków są dziś bardziej nagłaśniane i poświęca się im o wiele więcej uwagi niż kilkanaście czy kilkadziesiąt lat temu. Ewoluowała też forma takich zjawisk: przemoc w dużym stopniu przeniosła się do Internetu, stąd głośny i powszechnie znany dziś termin „cyberprzemoc". To m.in. formy przemocy psychicznej, takie jak ośmieszanie czy zastraszanie, ale także nękanie drastycznymi treściami. W ostatnich latach do sieci często trafiały też wstrząsające nagrania z bójek między nastolatkami czy napaści. – Młodzi ludzie nie reagują często na przemoc rówieśniczą, której są świadkiem, z obawy o własne bezpieczeństwo. W młodym wieku bardzo ważne jest poczucie przynależności i akceptacji. Jeśli sprzeciwiam się grupie, to wówczas mnie ta przemoc może dotknąć – tłumaczy w rozmowie z „Do Rzeczy" Małgorzata Kulka, psycholog ze stowarzyszenia Niebieska Linia.

Dlaczego młodzi stają się agresywni i wyrachowani? Przyczyn jest wiele. Psychiatra dr Stanisław M. Teleśnicki w rozmowie z „Do Rzeczy" tłumaczy, że dzieci często są okrutne i bezwzględne, bo nie rozumieją, że w społeczeństwie obowiązują pewne normy. – Dla młodych osób w okresie dojrzewania często najważniejsze jest zaspokojenie własnych potrzeb, bez liczenia się z dobrem innych. Dziecko czy nastolatek nie rozumie tego, że świat nie jest „wynaleziony" dla niego, że drugi człowiek też ma swoje prawa i wartości – ocenia.

Specjaliści są zgodni: dzieci i nastolatki stosują te same metody, które zaobserwowały w swoim środowisku. – Młodzi coraz częściej sądzą, że wszystko im wolno, nie boją się konsekwencji. Dziecku trzeba wpoić, co jest dobre, a co złe. Zło jest zawsze atrakcyjne i łatwiejsze, jest w zasięgu ręki. Dobro jest trudniejsze do osiągnięcia, trzeba je wypracować – zwraca uwagę prof. Brunon Hołyst, kryminolog. Jak dodaje, bardzo ważną rolę może tu odgrywać też szkoła czy Kościół. Tymczasem, jak mówi z kolei dr Teleśnicki, często w rodzinach funkcjonują dziś dwa skrajne systemy wychowania, w których dziecko nie uczy się samodzielnego etycznego postępowania. W jednym z nich nie obowiązują żadne zasady, a w drugim – wygórowane oczekiwania i liczne rygory.

– Często młodzi ludzie sięgają po przemoc, bo w toku socjalizacji nie nauczyli się innych sposobów rozwiązywania sytuacji konfliktowych i zaspokajania potrzeb. Znaczna część tej młodzieży sama doświadcza bezpośrednio lub pośrednio przemocy w domu rodzinnym. Uczy się wówczas, że świat i relacje są czarno-białe: albo jesteś silniejszy, albo możesz stać się ofiarą – zaznacza Małgorzata Kulka.

Fantazje i myśli młodzieży o zabijaniu czy krzywdzie mogą mieć też źródło w zbyt łatwym dostępie młodych ludzi do drastycznych treści, przykładowo portali poświęconych seryjnym mordercom czy filmów ociekających przemocą. – Nastolatki uczestniczą w różnego rodzaju grupach i forach, przez co mogą się wzajemnie inspirować, podżegać do określonych działań. Przez taką komunikację nastolatek, który być może miewa myśli o wyrządzeniu komuś krzywdy, nie czuje już, że jest to złe i niewłaściwe. W Internecie spotyka inne osoby, które podzielają jego przekonania – zauważa Jan Gołębiowski, psycholog kryminalny i założyciel Centrum Psychologii Kryminalnej. Tego typu treści mogą zniszczyć wrażliwość młodych ludzi, zwłaszcza jeśli dochodzą do tego płytkie i słabe więzi rodzinne. Bez pogłębionych relacji między dziećmi a opiekunami czy rodzicam nie jest możliwe rozróżnienie „buntu" typowego dla młodego wieku od myśli i zachowań, które naprawdę powinny budzić nasz niepokój i reakcję.

INSTYTUCJE NIEWYDOLNE

Aby przeciwdziałać demoralizacji i przemocy wśród nastolatków, stworzono określone przepisy prawa i specjalne instytucje. Jak podkreślają eksperci, problem leży w tym, że są one najczęściej niewydolne i nie spełniają swoich funkcji, mimo zaangażowania i pracy zatrudnionych w nich osób. Podobnie jest z instytucjami i przepisami dotyczącymi resocjalizacji nieletnich.

Osoby pracujące z trudną młodzieżą wskazują, że dorośli często reagują na przejawy demoralizacji za późno, dopiero w sytuacjach ekstremalnych. Tymczasem w polskim prawie dotyczącym postępowania ws. nieletnich jasno wymienione są zachowania nastolatków i dzieci, które zobowiązują opiekunów, rodziców czy nauczycieli do natychmiastowej reakcji. To m.in. wandalizm, stosowanie używek, wagarowanie czy ucieczki z domu. Jednak interweniowanie w sytuacji zagrożenia nieletniego lub jego demoralizacji to również rola kuratorów czy tzw. asystentów rodziny. Zdaniem ks. dr. Grzegorza Kudlaka, psychologa i psychoterapeuty z Uniwersytetu Warszawskiego, instytucje te nie spełniają swojej funkcji, ponieważ na jednego takiego urzędnika przypada zbyt wiele rodzin. Pracownicy ci przeważnie odwiedzają swoich podopiecznych także z uprzedzeniem, co może zafałszować realny obraz sytuacji nieletniego i jego warunków rodzinnych. To sprawia, że profilaktyka staje się fikcją.

Problemy dotyczą także instytucji, w których nastoletni przestępcy już odbywają kary i mają być resocjalizowani. Jak ocenia ks. dr Kudlak, najgroźniejsi i najbardziej zdemoralizowani nieletni nie powinni przebywać w tych samych zakładach poprawczych co nastolatki umieszczane tam za wybryki mniejszego znaczenia. – Oni są zagrożeniem dla innych dzieci, które znajdują się tam po dużo mniejszych przewinieniach, demoralizują je, stosują wobec nich przemoc – wyjaśnia ekspert. Jednakże osoby te nie powinny być też kierowane do zakładów karnych dla dorosłych, bo tam czeka je dalsze zepsucie. – Takim wyjątkowo agresywnym nieletnim, po popełnieniu groźnych przestępstw, trzeba stworzyć specjalistyczne ośrodki, w których będzie prowadzona bardzo intensywna terapia – uważa ks. dr Kudlak.

Choć resocjalizacja nieletniego nie jest łatwa, to specjaliści podkreślają, że może się to okazać i tak łatwiejsze niż w przypadku dorosłego recydywisty. – Możemy mieć wrażenie, że jeżeli 15-letnia osoba dokonuje morderstwa, to taki nastolatek jest już „stracony" i jego resocjalizacja będzie bardzo trudna. Tymczasem paradoks polega na tym, że nawet w takiej ekstremalnej sytuacji taki 15-latek jako dziecko nadal jest bardziej podatny na resocjalizację niż starszy, dorosły przestępca – mówi „Do Rzeczy" prawnik z Niebieskiej Linii, mec. Aneta Mikołajczyk. I dodaje: – Prędzej czy później ten nastolatek, może już jako osoba dorosła, wróci do społeczeństwa i musi jakoś w nim funkcjonować. Nie możemy traktować nawet nastoletnich zabójców czy przestępców jako osoby stracone i skazane na wieczne odseparowanie od społeczeństwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f9fafe5dc1

Polska na dwóch

Agnieszka Niewińska

W obawie przed wirusem unikamy komunikacji miejskiej czy siłowni. Za to wybieramy rowery. Sprzedawcy mówią o boomie. Te wakacje będą należeć do rowerzystów

Rowery to nowy papier toaletowy" – powiedział w kwietniu brytyjskiemu dziennikowi „The Guardian" menedżer salonu rowerowego w Sydney, Grant Kaplan. Jego chwytliwe porównanie błyskawicznie obiegło światowe media. W związku z pandemią koronawirusa Australijczycy zaczęli masowo wykupować rowery. „Nie jesteśmy w stanie nadążyć z realizacją zamówień. Telefon dzwoni bez przerwy" – opowiadał Kaplan.

JEDNOŚLAD NA ZAMÓWIENIE

Zjawisko szalonego popytu na rowery można było zaobserwować nie tylko w Australii. Wielu Polaków także zapragnęło sprawić sobie nowy jednoślad. Na przełomie kwietnia i maja, kiedy rząd złagodził obostrzenia związane z pandemią, całe rodziny ruszyły do sklepów sportowych. Sprzedawcy nie kryli, że mają do czynienia z rowerowym boomem, a sklepy zaczęły świecić pustkami. – Okazało się, że kupienie roweru to nie jest taka prosta sprawa – opowiada pan Krzysztof, rowerzysta z Warszawy, który w kwietniu szukał dla siebie odpowiedniego jednośladu. – Zakup od ręki był prawie niemożliwy. W wielu miejscach proponowano mi, by wpłacić zaliczkę i czekać na realizację zamówienie. Sprzedawcy nie chcieli nawet podać przybliżonego terminu odbioru ze względu na to, że producenci mają problem z dostawami części z zagranicy. Po długich poszukiwaniach udało mi się kupić odpowiedni rower z kolekcji z 2019 r. – opowiada.

Jak informowało Polskie Stowarzyszenie Rowerowe – organizacja branży rowerowej – dopiero pod koniec kwietnia w biznesie rowerowym zaczął się ruch, a już w maju sprzedaż biła rekordy. Wzrost w porównaniu z majem poprzedniego roku oscylował wokół 20 proc.

Grzegorz Grzyb, wiceprezes zarządu firmy Arkus & Romet Group produkującej rowery Romet, podkreśla, że zainteresowanie rowerami jest w tej chwili ogromne. – Takiego nie obserwowaliśmy w branży od lat. Trudno powiedzieć, czy ta sytuacja zwiększonej sprzedaży w całej branży rowerowej wynika z faktu, że przez pewien czas z uwagi na epidemię koronawirusa i zamknięte sklepy nie można było kupić roweru i tym samym sezon zakupowy przesunął się w czasie, kumulując zapotrzebowanie na zakup w maju, czy jednak wynika ze zmiany mentalności. Rower zaczął powszechnie dominować jako bezpieczny, bo indywidualny środek transportu na dojazdy do pracy i wszędzie tam, gdzie dotrzeć można tylko rowerem, ale też i częściej niż dotychczas jest wybierany rekreacyjnie. To niewątpliwie drugi powód wyższej sprzedaży, ponieważ w tym czasie, gdy siłownie były zamknięte, jazda na rowerze stała się przez wiele osób doceniona jako sposób na utrzymanie zdrowia i dobrej kondycji fizycznej – mówi Grzegorz Grzyb. Dodaje, że firma nie miała problemu z zaspokojeniem rowerowych potrzeb klientów, bo produkcji nie wstrzymano nawet na jeden dzień w nadziei, że po trudnym marcu sytuacja branży się zmieni.

Wiele wskazuje na to, że na rowerowych szlakach może być w te wakacje znacznie więcej jednośladów. – Zaważyliśmy, że w związku z pandemią znacznie wzrosło zainteresowanie wypadami w plener. Wiele zapytań dotyczących miejsc, które warto odwiedzić, oraz tras rowerowych mieliśmy już przy okazji długiego czerwcowego weekendu – mówi Anna Kowalska z Regionalnego Centrum Informacji Turystycznej w Kielcach. – Nasze biuro informacji jest już otwarte i przy zachowaniu zasad bezpieczeństwa można zasięgnąć informacji osobiście oraz pobrać przydatne materiały. Część turystów zasięga u nas informacji jeszcze przed wyprawą, na etapie jej planowania, ale są także osoby, które przyjeżdżają do nas na rowerach, z naszą pomocą wybierają odpowiadającą im trasę i od razu ruszają na rowerowy szlak. Wiele zapytań wpływa do nas także e-mailowo i za pośrednictwem Messengera – dodaje.

W POSZUKIWANIU SZLAKÓW

Przez województwo świętokrzyskie i Kielce przebiega Wschodni Szlak Rowerowy Green Velo. Liczy niemal 2 tys. km, prowadzi przez pięć województw wschodniej Polski (są to obok świętokrzyskiego województwa lubelskie, podlaskie, podkarpackie i warmińsko-mazurskie) oraz cztery parki narodowe (Wigierski, Biebrzański, Narwiański, Białowieski i Roztoczański

eprasa.pl f9fafe5dc1

kółkach

FOT. MATERIAŁY PRASOWE GREEN VELO

Park Narodowy). Odcinki, które wymagają większego wysiłku ze strony rowerzystów, biegną przez Podkarpacie. Pozostała część szlaku przebiega przeważnie przez tereny, które nawet mniej doświadczonym rowerzystom nie powinny sprawić większych problemów.

– Szlak Green Velo cieszy się coraz większym zainteresowaniem. Ostatnio wpływa do nas wiele zapytań i próśb o przesłanie dotyczących go pakietów informacyjnych. Rozesłaliśmy ich w tym sezonie bardzo wiele. Trafiły nawet do tak odległych od Kielc miast jak Gdańsk czy Szczecin – mówi Anna Kowalska. Zwraca uwagę, że dzięki systemowi Miejsc Przyjaznych Rowerzystom (MPR) na trasie Green Velo można zaplanować nawet wielodniową wyprawę rowerową. – Miejsca Przyjazne Rowerzystom to m.in. obiekty noclegowe dostosowane do potrzeb rowerzystów, oferujące noclegi na jedną noc, przyjazne podróżującym na dwóch kółkach lokale gastronomiczne czy atrakcje turystyczne, które zapewniają przechowanie roweru, miejsca, gdzie można zostawić bagaż na czas zwiedzania. Wzdłuż szlaku jest kilkaset MPR, w samym województwie świętokrzyskim ponad 100 i wciąż przybywają kolejne.

Piotr Łuczyński, prezes stowarzyszenia Zdrowy Rower, zwraca uwagę, że o ile w poprzednich latach rowerzyści chętnie decydowali się na zagraniczne wyprawy rowerowe, o tyle w tym roku wielu z nich będzie przemierzać Polskę. – W kraju też mamy wiele ciekawych rowerowo szlaków. Obok Green Velo, który prowadzi przez bardzo atrakcyjne przyrodniczo regiony, można wybrać np. biegnące przez Polskę dwie trasy EuroVelo. Wiślana Trasa Rowerowa jest dopiero w budowie, ale można już korzystać z niektórych odcinków. Zielona Siódemka to trasa opracowana przez nasze stowarzyszenie. Prowadzi z Warszawy do Gdańska przez małe miejscowości, drogami o małym natężeniu ruchu. Jej przebieg można znaleźć na stronie zielona7.pl – mówi Łuczyński.

Zwraca uwagę, że polska sieć dróg sprzyja turystyce rowerowej. – Mamy bardzo wiele dróg gminnych i powiatowych. W Niemczech takie drogi prowadzą do autostrad, po których rowerzyści nie mogą się poruszać. W Polsce możemy bez problemu zaplanować przejazd przez małe miejscowości. W ostatnich latach poprawia się także stan nawierzchni na lokalnych drogach. Zieloną Siódemką jeżdżę już ponad 10 lat. Na początku na drogach była dziura na dziurze. Dzisiaj jakość asfaltu znacznie się poprawiła – opowiada prezes stowarzyszenia Zdrowy Rower. Radzi jednak, by do każdej wyprawy dobrze się przygotować. – Warto zabrać mapę czy chociażby sprawdzić, po jakiej nawierzchni będziemy się poruszać. Na Green Velo na przykład są odcinki, na których nie ma asfaltowej ścieżki rowerowej, tylko droga gruntowa. Kiedy pada deszcz, musimy liczyć się z jazdą po błocie. Jedni uważają to za wadę, ale słyszałem też opinie niemieckich rowerzystów przyzwyczajonych do idealnych szutrowych ścieżek. Byli zachwyceni tym, że szlak jest tak blisko natury.

FORTY PODKARPACIA, POMORSKIE JEZIORA

Warto zainteresować się Kaszubską Marszrutą w Borach Tucholskich, na Pomorzu Zachodnim rowerzyści mogą skorzystać z odcinków Velo Baltica, Blue Velo czy Trasy Pojezierzy Zachodnich. Przez Podkarpacie prowadzi Forteczna Trasa Rowerowa – to dwie pętle wokół Przemyśla, łącznie 87 km. Po drodze do zobaczenia jest kilkanaście fortów sprzed 150 lat. Małopolska oferuje rowerzystom obfitujący w piękne widoki szlak Velo Dunajec. Z kolei Szlak Wokół Tatr to polsko-słowacki projekt – częściowo będący jeszcze w budowie.

Ci, którzy nie są zaprawieni w jeździe na rowerze i chcą spróbować krótszych wycieczek, nie muszą od razu ruszać na wielki szlak na drugim końcu kraju. Odpowiednich tras można szukać nie tylko w obrębie województwa, lecz także wokół własnego miasta. Anna Kowalska z Regionalnego Centrum Informacji Turystycznej w Kielcach zaznacza, że lokalne szlaki rowerowe – zarówno te wokół Kielc, jak i poprowadzone przez inne miejscowości regionu – cieszą się dużym zainteresowaniem turystów na dwóch kółkach. – Mamy przewodnik po tych trasach od Urzędu Miasta Kielc i rowerzyści chętnie z niego korzystają – dodaje.

Piotr Łuczyński przewiduje, że wiele osób w tym roku zrezygnuje z wyjazdów na festiwale, do aquaparków, na wczasy all-inclusive. – Alternatywą są właśnie wakacje na rowerze. Prowadzę sklep rowerowy i widzę w tym roku skokowy przyrost zainteresowania turystyką rowerową. Klienci szukają sprzętu, kupują sakwy na dłuższe wyprawy. Myślę, że wiele osób w tym roku połknie rowerowego bakcyla. Przyda nam się zmiana w sposobie spędzania wakacji. Wyjdzie nam na zdrowie, jeśli zamiast leżenia na plaży wybierzemy aktywny wypoczynek – podkreśla prezes stowarzyszenia Zdrowy Rower.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f9fafe5dc1

FOT. WOJCIECH CEJROWSKI

eprasa.pl f9fafe5dc1

Z Bosym przez wakacje

Jacek Przybylski

Antykomunista, publicysta, gawędziarz, satyryk, przedsiębiorca, niepoprawny politycznie katolik i znany podróżnik, który podbił serca milionów widzów i sprzedał ponad milion książek

W tym wydaniu „Do Rzeczy" publikujemy pierwszy z serii odcinków Wojciecha Cejrowskiego, które przygotował specjalnie dla czytelników tygodnika. Słynny podróżnik w wakacyjnym cyklu przybliży m.in. życie w Panamie i Kostaryce. Opowie też o rybnym pokerze, życiu dzikich plemion, o tym, jak w charakterze nadzorcy przemytnika dostał się z Wenezueli do Gujany, a także – na co należy uważać na prerii w Arizonie.

„Podróżnik, poszukiwacz ginących plemion Amazonii, osobowość telewizyjna, popularny dziennikarz radiowy, artysta kabaretowy (sam o sobie mówi: jestem komediant), pisarz i publicysta satyryk – gorący krytyk biurokracji i socjalizmu, krytyk muzyczny (wc: jestem po prostu osłuchany), fotografik a... z zawodu cieśla" – tak na swojej stronie przedstawia się Wojciech Cejrowski. To jednak człowiek, którego przedstawiać nie trzeba. Przez ostatnie trzy dekady konsekwentnie tworzył bowiem jedną z najbardziej rozpoznawalnych marek w polskim życiu publicznym: podróżnika, showmana, przedsiębiorcy i patrioty, którego wyróżniają barwny, dowcipny i często cięty język, a także bezkompromisowe konserwatywne poglądy, których w żadnym stopniu nie ogranicza współczesna poprawność polityczna.

POLSKA TO MATKA, A ŻONA TO...

Podróżnik znany głównie z takich programów telewizyjnych jak „WC Kwadrans", „Boso przez świat", „Piękny i Bestia" czy „Podróże z żartem", studiował w warszawskiej Szkole Teatralnej, na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, Uniwersytecie Warszawskim oraz na kalifornijskim Santa Clara University. Liczne wyjazdy nie ułatwiały mu zdobywania dyplomów. W końcu został jednak magistrem socjologii. Z powodzeniem próbował też sił jako satyryk – jego stand-upy cieszą się sporą popularnością – a także jako krytyk muzyczny. Organizował również koncerty muzyki country. Najbardziej znany jest jednak z programów telewizyjnych i książek podróżniczych. Znają je miliony Polaków, a o biografii i podróżach Wojciecha Cejrowskiego uczą się studenci turystyki i rekreacji, podobnie jak o wojażach Jacka Pałkiewicza, Arkadego Fiedlera czy Tony'ego Halika i Elżbiety Dzikowskiej.

Jego programy podróżnicze i umiejętność zachowania przed kamerą zostały docenione nie tylko w Polsce, lecz także za granicą.

56-letni podróżnik władający biegle polskim, hiszpańskim, angielskim – a także dogadujący się po portugalsku i po rosyjsku – chwali się, że „potrafi imitować lokalne akcenty w sposób na tyle doskonały, żeby w Kolumbii uchodzić np. za Meksykanina lub Argentyńczyka, a w Nowym Jorku za przedstawiciela mniejszości włoskiej, polskiego Żyda lub kowboja z Teksasu". Językowe umiejętności z pewnością ułatwiają mu egzotyczne podróże. Swoje bose stopy stawiał w ponad 60 krajach świata na sześciu kontynentach, w tym m.in. w Kolumbii, Panamie, Gujanie, Kostaryce, Gwatemali, Wenezueli, Peru, Australii, Tunezji czy Trynidadzie i Tobago. Najczęściej ciągnęło go jednak do Meksyku, którego stolicę zna jak własną kieszeń. „Polska to moja Matka, a Meksyk to moja żona. Miłość mojego życia" – tłumaczy. Pierwszy raz do najchętniej odwiedzanego państwa Ameryki Łacińskiej poleciał jako tłumacz ekipy speleologicznej w 1985 r. Jako 21-latek eksplorował wówczas jaskinie w Meksyku.

Rok później prowadził już dokumentację stanowisk archeologicznych kultury Tolteków. A w latach 1986–1988 podróżował śladami Majów oraz Azteków.

W 2003 r. za „Gringo wśród dzikich plemion" zdobył Bursztynowego Motyla – Nagrodę im. Arkadego Fiedlera dla najlepszej książki podróżniczej roku. Rok później został trzecim w historii Polakiem przyjętym w poczet prestiżowego grona brytyjskiego The Royal Geographical Society (Królewskiego Towarzystwa Geograficznego), w którego szeregach znaleźli się m.in. szkocki podróżnik David Livingstone (odkrywca m.in. Wodospadów Wiktorii), Brytyjczyk sir Francis Edward Younghusband (który zasłynął swymi podróżami do centralnej i wschodniej Azji) czy nowozelandzki himalaista i polarnik Edmund Hillary. W tym samym roku był przewodnikiem po Ziemi Świętej polsatowskiego programu „Co się święci w mej pamięci". Trzy lata później na antenie TVP2 zaczął się ukazywać program podróżniczy „Wojciech Cejrowski – Boso przez świat" W 2008 r. zdobył on złoty medal w konkursie programów telewizyjnych New York Festivals. Program podróżniczy „Wojciech Cejrowski. Boso" był też emitowany na antenie TVN Style, TV Puls oraz Puls 2.

eprasa.pl f9fafe5dc1

Dużo czyta i sam sporo pisze, co zajmuje mu nawet kilka, kilkanaście godzin dziennie. Ma na koncie wiele bestsellerów. „Gringo wśród dzikich plemion" sprzedała się w ponad 500 tys. egzemplarzy. Za najbardziej niedocenioną uważa pełną humoru opowieść z najgłębszej dżungli zatytułowaną „Rio Anaconda. Gringo i ostatni szaman plemienia Carapana", która choć sprzedała się w 350 tys. egzemplarzy, to sprawia, że podróżnik i tak czuje niedosyt. Bestsellerem był też „Podróżnik WC", którego pierwsze wydanie ukazało się w 1997 r. Sam Wojciech Cejrowski najbardziej lubi zaś „Wyspę na prerii".

NIEPOPRAWNY ANTYKOMUNISTA

„Bohater prawej części prawicy, wcielony diabeł dla wszystkich postępowców. Radykalny antykomunista i równie nieprzejednany krytyk demokracji" – tak w wydanej w 2010 r. biografii pisał o nim Grzegorz Brzozowicz.

Przeciwko komunistom działał już jako uczeń elitarnego XVII LO im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego w Warszawie. Nosił bibułę, brał też udział w demonstracjach po bestialskim skatowaniu przez milicjantów 19-letniego Grzegorza Przemyka. 23 maja 1983 r., wkrótce po zabójstwie Przemyka i dzień przed ustną maturą z polskiego, Cejrowskiego zatrzymało dwóch ubeków. Bandyci wciągnęli go do wozu i porwali, po czym – aby zastraszyć innych licealistów – wyłamali mu wszystkie palce u rąk i poranionego wyrzucili z auta przed przychodnią lekarską. Maturę ustną musiał więc zdawać z zabandażowanymi dłońmi i ręką na temblaku. Oczywiście mimo zgłoszenia milicja winnych nie znalazła, a z młodego antykomunisty nieudolnie drwił wówczas wirtuoz PRL-owskich niegodziwości Jerzy Urban.

Z komunistami Wojciech Cejrowski walczył również za wolnej Polski. Już w latach 90. sąd wymierzył mu karę grzywny za stwierdzenie, że Aleksander Kwaśniewski „swoim tłustym dupskiem bezcześci urząd prezydenta". Podczas procesu zażądał okazania dowodu, czyli „dupska" Kwaśniewskiego. – Bo jeśli okaże się, że jest ono tłuste, to znaczy, że powiedziałem prawdę" – przekonywał w sądzie. Kwaśniewskiego nazywał też „komunistycznym aparatczykiem", „drugim Jelcynem, który upija się za publiczne pieniądze", oraz „prymitywnym bawidamkiem i pijakiem". Już po przegranej przez Cejrowskiego sprawie Kwaśniewski znów zdradzał objawy „choroby filipińskiej", chwiejąc się nad grobami pomordowanych przez NKWD w Charkowie.

O walce z komunistami nie zapomniał również w XXI w. „Zanim mnie wywalili z radiowej Trójki, zawsze kiedy wchodziłem na audycję, a w holu wywiadów udzielał Kalisz lub inny komuch, wrzeszczałem za jego plecami: Precz z komuną! Nie wolno rezygnować z oporu" – mówił w wywiadzie dla „Naszego Dziennika".

„Wolisz, żeby był twoim entuzjastą niż przeciwnikiem" – nadal ostrzega na swej stronie Wojciech Cejrowski. Przekonali się o tym nie tylko Bronisław Komorowski czy Donald Tusk. Publicysta na swoim kanale w serwisie YouTube często komentuje kulisy politycznych targów, nie waha się też w konkretnych sprawach krytykować PiS. W nieopublikowanym wywiadzie dla „Newsweeka" na prośbę o zdefiniowanie swoich wrogów

W 2008 r. „Wojciech Cejrowski – boso przez świat" zdobył złoty medal w konkursie programów telewizyjnych New York Festivals

Wojciech Cejrowski odpowiedział tak: „Wrogami mojej Ojczyzny, czyli moimi osobistymi również, są Niemcy, Rosja i Unia Europejska. Dużo łatwiej byłoby nam współpracować z Unią lub Niemcami, zawierać z nimi roztropne sojusze, gdybyśmy stawiali tę sprawę jasno". Jego zajadli krytycy, np. przedstawiciele obozu LGBT, zarzucają mu m.in. wiele „homofobicznych, islamofobicznych i mizoginicznych" wypowiedzi. W zeszłym roku, powołując się właśnie na wyrażane przez Cejrowskiego poglądy, próbowali uniemożliwić mu spotkanie z jego sympatykami w Dublinie. W 2018 r. Cejrowskiego pod pręgierzem postawiło zaś ponad 170 podróżników, dziennikarzy i blogerów „zmęczonych obrażaniem i wyśmiewaniem ludzi za ich inność i odmienność", którzy do słynnego podróżnika napisali list otwarty.

Wojciech Cejrowski nie boi się jednak kontrowersji i konsekwentnie jasno broni swoich przekonań i wartości. Już w połowie lat 90., gdy prowadził program „WC Kwadrans", promował termin „ciemnogród" w znaczeniu przywiązania do tradycyjnych wartości konserwatywno-chrześcijańskich. „Jeśli chodzi o poglądy polityczne czy ekonomiczne, czy filozoficzne, to jestem antykomunistą, antysocjalistą, prymitywnym dziewiętnastowiecznym kapitalistą nienawidzącym państwa socjalnego, i przedsoborowym katolikiem. Faszyzm odrzucam, bo to ideologia socjalistyczna. A tolerancja… No cóż – nie jestem tolerancyjny i już. Nie toleruję spóźnialskich, partaczy, naciągaczy, niepłacących za faktury, niesolidności, pornografii i wielu innych rzeczy, które uważam za złe. A ponieważ katolik powinien nie tylko sam dobrze żyć, lecz także czynić świat dookoła siebie lepszym, to staram się zwalczać zło. Walka ze złem wyklucza jego tolerowanie. Kiedy spojrzysz na sprawy w ten sposób, czyli trochę szerzej, niżby chciała »Gazeta Wyborcza«, to być może sam uznasz, że tolerancja nie zawsze jest dobra" – mówił w rozmowie z Lechem Makowieckim.

Cejrowski bronił więc krzyża na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, a wcześniej także wizerunku papieża Polaka – gdy w roku 2000 w warszawskiej Zachęcie znalazła się rzeźba Cattelana, przedstawiająca papieża Jana Pawła II przygniecionego przez meteoryt, Cejrowski próbował nakryć ją białym prześcieradłem. Podróżnik i publicysta ostro krytykował także Nergala. „Darcie Pisma Świętego w miejscu publicznym i mówienie: »Żryjcie to gówno« to satanizm w czystej formie. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Że sąd go uniewinnił? To nie pierwszy sąd, który uniewinnia przestępcę. Nergal to praktykujący satanista, który powinien siedzieć w zamknięciu. Osoby opętane izoluje się dla ich dobra, wyleczenia oraz dla dobra innych" – pisał w 2011 r. na łamach tygodnika „Wprost".

A gdy nagrywa korespondencje z Ameryki, publikowane na jego kanale na YouTube, nie zapomina o ważnych dla widzów symbolach. Za jego plecami wisi m.in. wizerunek Matki Bożej Częstochowskiej. Nie ukrywa, że jest wierzącym katolikiem (w Polsce modli się za wstawiennictwem Matki Bożej Częstochowskiej, Królowej Polski, w Ameryce modli się za wstawiennictwem Matki Bożej z Guadalupe, Królowej Meksyku i Imperatorowej obu Ameryk).

W swym gabinecie na ranczu w Arizonie ma również fotografie amerykań-

eprasa.pl f9fafe5dc1

skich prezydentów: Donalda Trumpa oraz Ronalda Reagana, a także dwie flagi: polską i amerykańską.

UCIECZKA PRZED ZIMĄ

Co roku – od połowy lat 80. XX w. – ucieka przed śniegiem i mrozem. „Postanowiłem odlatywać do ciepłych krajów jak ptactwo. Bocian nie przestaje być bardziej polski, bo pół roku spędza w Afryce. Ja tak mam z krajami Ameryki Południowej. Jestem tam jako ten polski bocian" – mówił w rozmowie z „Galą".

W Polsce ma gospodarstwo rolne na Pomorzu. Ma też dom w ukochanym Meksyku, a także ranczo w Arizonie. W rozmowach z dziennikarzami oraz na swojej stronie internetowej podkreśla, że Amerykanie mają przecież po dwa, trzy domy. I że przed drugą wojną wiele polskich rodów miało po kilka rezydencji. „Przed wojną na lato zajeżdżało się do majątku ziemskiego, bo wtedy to miało sens, gdy buchała wegetacja. Na zimę cała rodzina przenosiła się do innego domu, mieszkania czy pałacu, gdy w majątku ziemskim wegetacja zamierała, a puste pola pokrywał śnieg. Wówczas zjeżdżano na przykład do siedziby w Krakowie i zamiast po zamarzniętych polach, chodziło się do teatrów, zażywając kultury. Ja żyję podobnie – na dwa domy, a nawet na trzy (Meksyk) i dobrze mi z tym. Na lato mam gospodarstwo rolne w Polsce, a na zimę mam moje rancho w Arizonie" – tłumaczy na swojej stronie podróżnik, który w wywiadach przekonuje, że jak u siebie w domu czuje się też w czółnie na amazońskiej rzecze czy w hamaku w indiańskim szałasie.

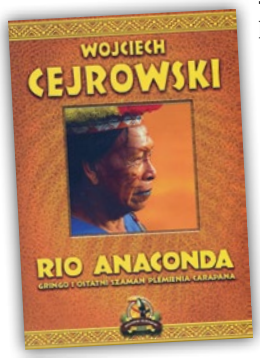

To, jak wygląda życie na amerykańskim ranczo, opisał szczegółowo w wydanej w 2014 r. książce „Wyspa na prerii". Zawarł w niej wiele praktycznych informacji, od tego, jak wypędzić z auta dzikie pszczoły, do ABC nicnierobienia. Dlaczego wybrał prerię w Arizonie? „Zakochałem się. W ziemi, w nieograniczonym, nieskończonym pejzażu prerii, w klimacie zimy, gdzie normalna temperatura w grudniu to 20 st. Celsjusza. Ale przede wszystkim kocham wolność osobistą. Bóg nas stworzył wolnymi, człowiek powinien być wolny, ma być wolny, ma szukać wolności, ma wybierać, a nie być przymuszanym. W Europie stale jestem do czegoś przymuszany przez państwo polskie, przez Unię Europejską – przymus szczepień, przymus szkolny, obowiązek meldunkowy – a w USA jestem człowiekiem wolnym, który wybiera, czy chce się szczepić, chce chodzić do szkoły czy woli uczyć się w domu. Pan Bóg pozwala nam wybierać, nawet gdy wybieramy źle. Pan Bóg traktuje nas jako osoby z wolną wolą, a nie jako obiekty, którymi się zarządza" – tłumaczył w wywiadzie dla „Niedzieli", dodając, że „dla Polaka moje życie w Arizonie jest równie egzotyczne jak opisywane w innych moich książkach życie Indian w Amazonii. Z tą różnicą, że... życie w Polsce nie może być takie jak w Amazonii, ale mogłoby być takie jak w Arizonie. Jesteśmy stworzeni do wolności, więc – moim zdaniem – Bóg chce, byśmy się wolności domagali".

HACIENDERO BEZ DOTACJI

Wojciech Cejrowski od małego ma również smykałkę do biznesu. „Nigdy nie zdobywałem pieniędzy na wyprawy, każda moja wyprawa to był zawsze przy okazji doskonały interes. One wszystkie przynoszą zyski i to niemałe. Ale przede wszystkim zarabiam, robiąc interesy, mam nieruchomości, wynajmuję powierzchnie biurowe, prowadzę firmy... Pieniądze zarabiam od dziecka, bo uważałem, że jak się ma swoje, to nie trzeba prosić rodziców o pozwolenie na zakup kontrowersyjnego roweru czy stereo. Moje to moje, więc zbierałem szkło, handlowałem dolarami (nielegalnie), na Boże Narodzenie wiązałem ludziom choinki sznurkiem na bazarze, pracowałem na czarno za granicą, szmuglowałem bawełniane gacie z Meksyku w czasach, kiedy w Polsce to był towar trudno dostępny... No, pracowało się tu i tam. Przed maturą filmowałem wesela i komunie... Organizowałem dyskoteki…" – wspominał w wywiadzie dla miesięcznika „Własny Biznes Franchising". W latach 80. pracował też jako cieśla w Szwecji.

Jako doświadczony przedsiębiorca również dziś sprawnie dywersyfikuje źródła przychodów. Sprzedaje nie tylko swoje książki (często sam stercząc w tym celu godzinami na straganach), DVD z odcinkami „Boso przez świat" czy grę planszową „Boso przez świat". W swoim sklepie kolonialnym ma w ofercie również m.in. mapy, koszule egzotyczne, koszulki wakacyjne, portfele, torby, kosmetyki naturalne (np. mydło z yerba mate czy tropikalny żel do stóp), kawy i herbaty świata, a także mąkę z żyta Wojciecha Cejrowskiego uprawianego „3XBEZ = bez nawozów, bez oprysków i bez dotacji".

Pracę przy internetowym sklepie kolonialnym znalazło kilkanaście osób. „Zapewniłem zbyt kilku polskim rzemieślnikom, których zakłady pewnie by upadły bez mojej dystrybucji. To jest moja frajda z prowadzenia biznesu. Wie pan, ja się bawię w takiego meksykańskiego haciendero, czyli właściciela hacjendy, który dawał pracę swoim chłopom, budował szkoły, cegielnie, cukrownie i dawał kolejne miejsca pracy, a przy okazji jego hacjenda rozrastała się i rosła w siłę. Na osobistą konsumpcję wydaję umiarkowanie i roztropnie – zakupy najczęściej robię w Biedronce, ubieram się tanio, meble mam używane, ale jeśli mi się zachce zimą na Karaiby, to rzucam robotę i jadę – na cztery miesiące nicnierobienia" – wyznał Cejrowski w wywiadzie dla portalu my3miasto.pl.

Umiejętność zarabiania pieniędzy pozwala mu prowadzić wymarzone życie wolnego człowieka i planować kolejne wyjazdy. „Początkiem każdej mojej wyprawy jest koniec jakiejś drogi na mapie, koniec rzeki, koniec państwa, koniec cywilizacji… Koniec to świetny początek czegoś interesującego" – zauważa Wojciech Cejrowski, który nie zważając na opór innych polskich globtroterów, wyrobił sobie opinię podróżnika potrafiącego dotrzeć w najbardziej niedostępne rejony globu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f9fafe5dc1

FOT. WOJCIECH CEJROWSKI

Wojciech Cejrowski

Kanał Panamski. Kiedy Stany Zjednoczone za czasów prezydenta J. Cartera podpisywały traktat o przekazaniu kanału pod zarząd Panamy, cały naród tego niewielkiego kraju wiwatował

Chińczycy trzymają się mocno

Kiedy w połowie lat 90. Amerykanie opuszczali kolejne budynki portowe i oddawali klucze do śluz, większość Panamczyków ze smutkiem kręciła głowami. Wiedzieli już, co się dzieje – pozbawione opieki i ochrony amerykańskiego wojska budynki obsługujące kanał były w ciągu jednej nocy rozbierane na części. Hordy biednej ludności zabierały okna i drzwi, poszycie dachów, zdejmowały gniazdka elektryczne, wyrywały kable ze ścian. Infrastruktura kanału szła w ruinę. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że Panamczycy nie będą w stanie utrzymać kanału ani nim sprawnie zarządzać. Ale w Panamie mieszkają nie tylko Panamczycy – jest też sporo Chińczyków i to oni trzymają w swoich rękach handel i biznes. Oni też ostatecznie przejęli Kanał Panamski – jeden z najbardziej strategicznych, a przy okazji rentownych obiektów na świecie.

MADE IN CHINA

Skąd Chińczycy w Ameryce Łacińskiej? Sprowadzano ich tam masowo jako tanią siłę roboczą zaraz potem, gdy zdelegalizowano niewolnictwo. Uwolnieni Murzyni nie chcieli już pracować u swoich dawnych właścicieli – woleli niezależne życie nawet w biedzie, ale na swoim. Plantacje cukru i bawełny, kopalnie i ogólnie cała gospodarka nagle pozbawiona siły roboczej zaczęła kuleć. Biali przedsiębiorcy stanęli przed wizją bankructwa. W tej sytuacji zaczęto masowo sprowadzać biedną i chętną do pracy ludność z Indii oraz Chin. Wielkie przedsięwzięcia cywilizacyjne tamtego okresu – linie kolejowe w poprzek Ameryki, drogi przez Andy, Kanał Panamski itd. – są dziełem białych inżynierów i chińskich rąk.

A co potem? Co po zakończeniu budowy? Potem pracowici Chińczycy z oszczędnie uciułanym groszem szukali sobie własnego zajęcia – najchętniej w handlu. I dzisiaj to oni są najbogatszymi ludźmi w Ameryce Łacińskiej, choć starają się tego nie pokazywać. W Panamie, Surinamie, Gujanie i nad całą Amazonką pełno jest chińskich sklepów z chińskim towarem. Jeśli chcesz kupić coś taniego, to idziesz do Chińczyka. Jeśli szukasz czegoś, co trudno dostać, znajdziesz to u Chińczyka. A nawet jeśli nie będzie tego miał, to nigdy nie odeśle cię z kwitkiem, lecz każe minutkę zaczekać i sam poleci do któregoś ze swoich kuzynów – w ten sposób prędzej czy później dostaniesz to, czego szukałeś. Oczywiście pod warunkiem, że tę rzecz wytwarza się w Chinach. A jeśli się nie wytwarza, to możesz być pewien, że to tylko kwestia czasu. Twój Chińczyk zaczepi cię na ulicy za kilka miesięcy, wciągnie do swojego sklepu i wyjmie najnowszą chińską produkcję: –Tego u mnie szukałeś jakiś czas temu. Już mam! I od dzisiaj będę miał stale w sprzedaży.

MERCADO W SAN JOSE

Bazar w stolicy Kostaryki. Większość sprzedawców to Metysi. A większość towarów... chińska. Ale to już nie dziwi nikogo, bo przecież w Europie, czy USA, jest tak samo – większość wszelkich towarów gdziekolwiek na kuli ziemskiej jest teraz chińska.

Chińskie latarki, garnki, termosy. Chińskie trampki, najki i adidasy (nawet te markowe i oficjalnie niemieckie też są zaopatrzone w metkę „Made in China"). I kowbojska kurtka, którą kupiłem na ro-

eprasa.pl f9fafe5dc1

FOT. WOJCIECH CEJROWSKI

deo w Arizonie, także, niestety, przy którymś czyszczeniu ujawniła metkę „Made in China" wszytą głęboko w rękawie.

W pierwszej chwili reagujemy na to tak: „Tani szmelc".

W drugiej chwili reagujemy tak: „Może i szmelc, ale za to tani".

***

Co jeszcze może być „Made in China"?

Poszedłem na bazar w Kostaryce i zamurowało mnie na widok czosnku „Made in China". CZOSNEK?!!! A owszem – czosnek. Pakowany w siateczki po cztery główki i o połowę tańszy od miejscowego sprzedawanego luzem.

Jak to możliwe, że chiński jest tańszy, mimo że przyleciał samolotem z drugiego końca świata? Jak to możliwe, że jest tańszy od miejscowego czosnku, który rośnie 20 kilometrów od Mercado w San Jose? Tańszy, mimo że zapakowany w siateczkę i uzbrojony w kolorową metkę z opisem w 6 językach – po angielsku, hiszpańsku, portugalsku, francusku, niemiecku i włosku. Po chińsku nie ma ani słowa! O kraju pochodzenia świadczy tylko to angielskie „Made in China" lub, coraz częściej, skrót PRC (People's Republic of China), który ma za zadanie ukryć nieprzyjemny kraj pochodzenia.

Rozumiem, że ten czosnek może być tańszy od lokalnego wyrobu w Europie, bo w Europie przez pół roku nic nie rośnie z powodów klimatycznych, a ponadto produkcja rolna jest droga; dużo droższa niż w Chinach. Ale jak to możliwe, żeby chiński czosnek był tańszy w Kostaryce, gdzie rolnik ma 3–4 zbiory rocznie, wegetacja nigdy nie ustaje i ogólnie jest tanio, bo mówimy o kraju Trzeciego Świata?

Rzut oka na te 6 języków z metki i od razu widać, że chiński czosnek ma zawojować pół świata. Właśnie! On dopiero MA zawojować i dlatego jest o połowę tańszy. Byłby tańszy o każdą połowę, w każdym miejscu świata bez względu na cenę miejscowego czosnku – tak się zdobywa rynki.

SANDAŁY

Na Mercado w San Jose są nie tylko tanie towary, ale także tanie usługi.

Poszedłem do szewców. Dwoje – on i ona – połączeni w jednym fachu. Na zapleczu tego fachu hałasuje gromadka dzieci.

Zrobili mi remont sandałów (w dużych miastach zakładam z powodu petów tlących się na trotuarach). Remont KAPITALNY – zarówno jeśli idzie o skalę remontu, jak i o jego jakość. Pracowali prawie dwie godziny i z zażenowaniem poprosili potem o trzy i pół dolara zapłaty. Byli przy tym zaniepokojeni, że może to jednak zbyt wiele.

Dla wyjaśnienia dodam, że te moje sandały były stare i nic niewarte. Powinienem je już dawno wyrzucić, ale stanowią coś w rodzaju pamiętnika z podróży. Kiedy patrzę na nie, widzę na samym wierzchu nową podeszwę naklejoną w Panamie, a pod spodem resztki starej podeszwy, która przypomina mi wyprawę do Surinamu. Głębsze warstwy pochodzą z Peru, sprzączki z Brazylii, jeden z pasków przyszywał mi uliczny szewc w Ekwadorze, a te kawałki skóry pod pięty wklejał arabski staruszek w Maroku w sylwestra roku 2000. Sandały wspomnień. W trakcie każdej wyprawy coś w nich naprawiam.

Kupiłem je na Florydzie w roku 1991. Były oznaczone metką „Proudly Made in the USA" – wykonano w USA, autentyczny produkt amerykański i jesteśmy z tego dumni. Ta metka to znak patriotycznej kampanii na rzecz amerykańskiego przemysłu. Chodziło o to, by kupować produkty wykonane w USA, a nie chińskie. Dzisiaj – po wielu latach i wielu naprawach – moje sandały są już niestety raczej chińskie, gdyż wszystkie części zamienne, kleje, szydła, dratwy, skóra i sprzączki, czyli wszystko, czego używają współcześni szewcy, pochodzi z Chin (lub... PRC).

ŻEBRAK Z MEGAFONEM

Na moich nowych podeszwach ruszyłem dalej, wąskimi uliczkami w stronę centrum miasta. Na rogu przed katedrą widzę żebraka. Jest ich tu wielu – proszą o drobne lub coś do jedzenia. Chłopina nie ma jednej nogi i jednego ucha – dawniej dumny drwal w tropikalnym lesie, ale pewnego dnia coś poszło nie tak z ręczną piłą, łańcuch zabrał ucho, drzewo zmiażdżyło nogę. Odziany w dziurawą koszulę, wyraźnie marznie na górskim wietrze. Pod pupę podłożył sobie kawałek tekturowego pudła, a między kolana wstawił plastikową miseczkę, na dnie której leży kilka moniaków – zanęta. Wszystko się zgadza, klasyczny żebrak, ale coś go wyróżnia z żebraczego pospólstwa: to jest żebrak wyposażony w duży przenośny megafon ze wzmacniaczem na baterie. Wykrzykuje swoje prośby do mikrofonu i słychać go na kilkaset metrów dookoła. Żebrak z megafonem.

– Nie dam ci nic – mówię mu poirytowany, kiedy mnie zaczyna szarpać za piętę. – Gdybyś ty był naprawdę głodny, tobyś najpierw sprzedał ten megafon. Albo przynajmniej baterie. Więc nic ci nie dam, bo z ciebie cwaniak i naciągacz.

– Co ty, gringo, megafon nie mój! Wydzierżawiony. Połowę z tego, co mi ludzie rzucą do miski, muszę oddawać Chińczykowi, który te megafony roznosi, a potem, wieczorem, zbiera. Ja jestem żebrak „Made in China". Muszę użebrać na siebie i na megafon Chińczyka.

– To ci się opłaca?

– Wcale. Teraz mi zostaje mniej niż w czasach, gdy żebrałem bez megafonu.

– To czemu to robisz?

– Chińczyk rozdał megafony wszystkim żebrakom w centrum i teraz bez megafonu nie użebrzę nic, bo mnie konkurencja zagłuszy. Przepadnę w tym wrzasku.

– To się dogadajcie w gronie żebraczym i zróbcie solidarny bunt. Niech żaden z was nie bierze megafonu.

– Próbowałeś się kiedyś buntować przeciw Chińczykom?

– Jeszcze nie, a co?

– A gdzie ja potem kupię żarcie, skoro wszystkie tutejsze sklepy są chińskie? Na restaurację mnie nie stać, zostaje mi Chińczyk. A oni się dogadują. Brzęczą między sobą po chińsku i gdyby cię jeden pokazał palcem, to potem żaden inny ci nic nie sprzeda. Jestem skazany na ten megafon.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

ZA TYDZIEŃ KOLEJNY ODCINEK CYKLU

eprasa.pl f9fafe5dc1

Powrót Bena

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Gociek

„Droga powrotna" to nie tylko dobry film. To także próba oczyszczenia i odkupienia dokonana przez pogrążonego w depresji i alkoholizmie Bena Afflecka

Z miejsca, do którego trafił Jack Cunningham, zwykle się nie powraca. To mroczne miejsce. Miejsce pełne złych myśli i głupich uczynków. Gdy widzimy go pierwszy raz, siedzi wysoko pod kalifornijskim niebem. Pracuje na budowie w San Pedro, robotniczej dzielnicy Los Angeles. Żyje jednak daleko od nieba. Pierwsze, co robi po powrocie do samochodu, to sięga po piwo. Pierwsze, co robi po wejściu do domu, to sięga po piwo. Potem spędza wieczór w barze, a pierwsze, co robi rano, to sięga po piwo pod prysznicem. Potem zaś, gdy z samochodu ma wyjść znów do pracy, przelewa wódkę do termoizolacyjnego kubka na kawę. Trzeba jakoś przetrwać dzień. No i wrócić po robocie do samochodu. Gdzie czeka kolejne piwo.

Jacka Cunninghama gra Ben Affleck – opuchnięty, czerwony na twarzy, oszczędny w ruchach, z nadwagą. I przypomina nam, że choć najwięcej pieniędzy zarobił dzięki filmom prostym, by nie powiedzieć prostackim („Armageddon", „Pearl Harbor"), to prawdziwy talent aktorski objawia wtedy, kiedy portretuje bohaterów w poważnych kłopotach. Tak było w ciekawym „Hollywoodland", w którym grał podrzędnego aktora, tak było w „Mieście złodziei", gdzie był także reżyserem.

„Droga powrotna" to film, którego reżyserem jest Gavin O'Connor, twórca bardzo ciekawy i chyba w Polsce niedoceniany. Ma w dorobku m.in. świetne „Cud w Lake Placid" oraz „Wojownika", które przyniosły mu opinię specjalisty od sportowych dramatów. Z Affleckiem współpracował wcześniej przy thrillerze „Księgowy".

Z pozoru „Droga powrotna" należy do jednego z ulubionych przez amerykańskich widzów gatunku – sportowej historii o niespodziewanym sukcesie outsiderów. Zapijający się na śmierć Jack Cunningham, niegdyś gwiazda licealnej koszykówki, otrzymuje niespodziewaną propozycję. Szkoła proponuje mu pracę w roli trenera męskiego w drużynie, w której kiedyś sam błyszczał. Szkoła jest katolicka, zasady surowe, a zespół beznadziejny. Z powodów, których do końca sam nie rozumie, Jack podejmuje się zadania, ale nie wygląda to dobrze. On udaje, że ich trenuje, oni udają, że grają, kolejne zespoły spuszczają drużynie z liceum Bishop Hayes manto. Tyle że piwko leje się teraz do gardła Jacka nie tylko w domu i w pracy, lecz także w gabinecie trenera, kiedy nikt nie widzi. Po pewnym

eprasa.pl f9fafe5dc1

czasie okazuje się, że Cunningham, nawet będąc trenerem na pół gwizdka, jest w stanie coś wykrzesać z zawodników, zwłaszcza że paru z nich ma talent. Przychodzi więc pierwsza wygrana. Potem następna.

IGRANIE ZE SCHEMATEM

Wiemy, co powinno się dalej wydarzyć: choć droga będzie ciernista, to cudownie odmieniony trener i jego równie cudownie odmieniony zespół kroczą ku jakiemuś trofeum, bo taka jest logika sportowych dramatów ku pokrzepieniu serc. W „Drodze powrotnej" dostajemy jednak przewrotne igranie z tym schematem. Szybko okazuje się, że od sportowych sukcesów Bishop Hayes ważniejsze jest to, co dzieje się z Jackiem Cunninghamem. A nie dzieje się dobrze.

Trener Cunningham nie jest sam, ma kochającą siostrę (wraz z jej całkiem udaną rodziną), ma żonę, tyle że jest z nią w separacji. Czy pije dlatego, że ją utracił, czy utracił ją dlatego, że pije? Ani jedno, ani drugie, w rodzinie Cunninghamów rozegrała się inna tragedia, o której dowiadujemy się dopiero w połowie filmu. Tragedia, która niemal zmiażdżyła Cunninghama i zamieniła go w człowieka, który do brzemienia, jakim obarczył go los, dokłada jeszcze pogardę dla samego siebie i nienawiść do świata wokół. Nikt nie jest w stanie unieść takiego ciężaru.

Mamy zatem kolejny hollywoodzki podgatunek – opowieść o alkoholizmie. Wiele ich było, mniej lub bardziej udanych, czasem przerażających i wstrząsających. Film O'Connora nie należy do tych najbardziej drastycznych, ale mocno porusza. Ben Affleck gra Jacka Cunninghama popisowo. Przez większość czasu widzimy na ekranie człowieka głęboko ciepiącego, z którego twarzy ból znika tylko na krótkie chwile, kiedy przymyka oczy, wychylając kolejną szklanicę. No i może jeszcze w nielicznych momentach, kiedy dostrzega, że trenowani przez niego licealiści rzeczywiście stają się lepszym zespołem. Sport mógłby być prostą drogą ku odkupieniu trenera Cunninghama, ale to kolejna łatwizna, na którą scenarzysta i reżyser się nie decydują. Życie bowiem bywa bardziej skomplikowane od hollywoodzkiego schematu.

Wszystko to sprawia, że „Droga powrotna" jest filmem bardzo prawdziwym. I nietypowym – tu skręcę nieco w kierunku polityki. Dyrektor katolickiego liceum Bishop Hayes, ks. Edward Devine, to postać jednoznacznie pozytywna. Samo liceum ukazane jest jako miejsce może biedne, może zapyziałe, ale wychowujące dzieciaki na porządnych ludzi – stroniących od używek, ceniących ciężką pracę, skromnych, niewstydzących się modlitwy. San Pedro, w którym rozgrywa się akcja, dzielnica robotników i dokerów, to Ameryka, której blisko do Trumpa, ale nikt w tym filmie nie szydzi z niebieskich kołnierzyków ani ich pick-upów.

Scenariusz utkany jest precyzyjnie, to, co powinniśmy wiedzieć – i co mocno zmienia nasze widzenie bohatera – ujawniane jest oszczędnie, najpóźniej jak się da. Dlaczego Jack Cunningham odrzucił koszykarską karierę, kiedy był młody (miał przecież wielki talent...)? Czego nie może wybaczyć do dziś swojemu ojcu? Dlaczego uważa, że sam zawiódł jako ojciec i mąż? Proste historie, proste odpowiedzi, ale ból wielki i zrozumiały, choć twórcy filmu nigdzie nie idą w usprawiedliwianie swego bohatera. „Droga powrotna" warta jest też uwagi ze względu na znakomite zdjęcia hiszpańskiego operatora Eduarda Graua i świetną muzykę Roba Simonsena.

PRESJA SUKCESU

Jest wreszcie kwestia, która wzbudziła największe zainteresowanie amerykańskiej prasy, czyli obsadzenie w roli głównej Bena Afflecka. Amerykański gwiazdor nie miał w ostatnich latach dobrej passy. Wielki projekt ekranizacji gangsterskiej powieści historycznej Dennisa Lehane'a „Nocne życie" zakończył się katastrofą. W odróżnieniu od komplementowanego „Argo" Affleck nie udźwignął roli reżysera i aktora w roli głównej, recenzje były fatalne, wyniki finansowe jeszcze gorsze.

Kariera w kinowym uniwersum DC, gdzie Affleck wcielił się w rolę Batmana („Batman vs Superman", „Liga Sprawiedliwości"), przyniosła głęboką frustrację, pomysł osobnej nowej serii filmów o Batmanie z Affleckiem jako głównym magnesem został zarzucony. Affleck zapijał smutki, o czym szczerze opowiada dziś w wywiadach. Z tego powodu rozpadło się jego małżeństwo z Jennifer Garner. Trwało 13 lat, para miała troje dzieci. Affleck przyznaje publicznie, że rozpad tego związku to największa porażka jego życia, za którą zresztą samokrytycznie wini tylko siebie.

★★★★★☆

REŻ. GAVIN O'CONNOR
„DROGA POWROTNA" („THE WAY BACK")
USA 2020, DYSTR. GALAPAGOS

wyst. Ben Affleck, Janina Gavankar, Brandon Wilson

Powrotna droga trenera Jacka Cunninghama jest więc także drogą powrotną Bena Afflecka, który właśnie po raz kolejny wrócił z odwyku. I tak jak było to w przypadku Clinta Eastwooda i jego przemowy z filmu „Przemytnik", warto się zastanowić, czy finałowe wystąpienie Afflecka w filmie Gavina O'Connora nie jest aby czymś więcej niż tylko odegraniem sceny ze scenariusza przez profesjonalistę. Bohater Eastwooda żałował głęboko za swój największy grzech, za poświęcenie bliskich w imię pracy, za to, że nie podołał obowiązkom prawdziwego ojca rodziny, co odczytywano jako wygłoszoną z ekranu ekspiację za prawdziwe przewiny (Eastwood w realu porządkował wówczas skomplikowane życie osobiste). Gdy ekranowy Cunningham zdobywa się wreszcie na wyznanie prawdy o tym, dlaczego rozpadło się jego małżeństwo, mamy ekspiację samego Afflecka, co do tego nie mam wątpliwości. Na ile ta przemiana jest szczera i trwała? Sam nie wiem. Wszak Hollywood żyje z nieustannych come backów, z mielonych przez plotkarską prasę i portale opowieści o upadających herosach i podnoszących się z upadku draniach.

Affleck jest ofiarą syndromu cudownego dziecka Hollywood. Na ekranie występował od chwili, gdy miał siedem lat. Pierwszego Oscara dostał (na spółkę z Mattem Damonem, za scenariusz do „Buntownika z wyboru"), gdy miał 26 lat. Nim ukończył trzydziestkę, trafił do elitarnego grona najbardziej kasowych aktorów. Potem... Cóż, potem bywało różnie. Z wywiadów można wyczytać, że presja sukcesu odbiła się na jego życiu zarówno zawodowym, jak i osobistym. Dzisiaj raz jeszcze próbuje stanąć na nogi. Po „Drodze powrotnej" jego następnym projektem jest film historyczny „The Last Duel", do którego scenariusz napisał wraz z dawnym druhem Mattem Damonem właśnie. Reżyserem jest Ridley Scott, zatem jest na co czekać. Premiera w grudniu. Affleck ma talent i charyzmę. Za dwa lata dobije do pięćdziesiątki. W tym wieku Clint Eastwood miał dopiero przed sobą swoje najlepsze filmy. Oby podobna przyszłość czekała także Bena Afflecka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f9fafe5dc1

Kazimierz Wierzyński

FOT. NAC

Elżbieta Morawiec

„Wierzyński" Wojciecha Wencla jest jak światło w mroku, jak najlepszy przewodnik po tym, czym Polska była i jaka nadal może być, jeśli jej narodowi dopiszą pamięć i świadomość własnej tożsamości

Ta książka nie mogła ukazać się w stosowniejszym czasie: dziś, gdy trwa bezkrwawa, wyniszczająca wojna między klanami (jeden pod flagą tęczowej, komunizującej Europy, drugi pod naszą biało-czerwoną).

Już pełny tytuł – „Wierzyński. Sens ponad klęską" – objawia intencje biografisty. I trudno sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek poza Wenclem, poetą głębokiej patriotycznej inspiracji, mógł sprostać temu wyzwaniu. Z grupy Skamandra (Iwaszkiewicz, Tuwim, Lechoń, Słonimski) Kazimierz Wierzyński jest odbiorcy najmniej znany, a właściwie źle znany. Uzasadniając swoją pisarską motywację, Wencel tak o tym pisze:

„Z biegiem lat – na emigracji i w kraju – utarła się opinia, że to, co wartościowe w poezji Wierzyńskiego, zaczyna się i kończy na »Wiośnie i winie«, a potem raz jeszcze zaczyna od »Korca maku«. Niniejsza książka powstała między innymi po to, by pomóc czytelnikowi pokonać ten stereotyp" (s. 270). Odpowiedź na pytanie, dlaczego tak się stało w kraju, jest prosta – komunistom nie pasowały polityczna niezłomność Wierzyńskiego, jego patriotyzm, jego antykomunizm – zwłaszcza z tomu „Czarny polonez" (na moich uniwersyteckich studiach, w latach 60., o Wierzyńskim mówiła tylko jego entuzjastka, prof. Maria Dłuska).

Można by powiedzieć, że w swojej wspaniałej monografii (jak dotąd jedynej w ogóle!) Wencel kieruje się dewizą Goethego: „Kto chce poetę zrozumieć, ten musi udać się do jego kraju". I Wencel „jedzie" do tej Polski, której już nie ma – na Kresy, do Warszawy i innych przedwojennych miast. I do tej Polski wyśnionej, Polski z mitu, co pozostała już tylko w pamięci nowojorskich i londyńskich emigrantów, Polski zdradzonej i zranionej, którą pamiętała, o którą się biła topniejąca z czasem konfraternia

eprasa.pl f9fafe5dc1

Poeta Polską zraniony

Polaków. Narracja Wencla – sugestywna, obrazowa, a przy tym świetnie udokumentowana – wprost budzi nostalgię za tamtą Polską, za klimatem jej Kresów, tą samą, którą Wierzyński zawarł w nowojorskim już wierszu „Księżyc":

Za czym ja krążę
Za księżycem.
Czym on mnie wabi?
Drohobyczem. [...]
Widzę, poznaję
Tamte strony.
Kto mnie tam woła?
Ktoś zgubiony.

Wierzyński rósł jak poeta i dojrzewał razem z II Rzeczpospolitą – od młodzieńczego zachłyśnięcia się życiem w „Wiośnie i winie" poprzez „Laur olimpijski", wiersze z patriotycznego tomu „Wolność tragiczna" aż do tragicznego akordu „Wstążki z »Warszawianki«" – wiersza z końca sierpnia 1939 r., opublikowanego w ostatnim numerze „Wiadomości Literackich". Wiersza, w którym poeta zawarł nieśmiertelne przesłanie – „tym się tylko żyje, za co się umiera". Jego pogłębione echo odnajduje Wencel w pamiętnym przesłaniu Jana Pawła II o Westerplatte.

Ze wszystkich Skamandrytów Wierzyński obok Lechonia jest poetą heroizmu, poetą, można by powiedzieć, historycznej odpowiedzialności twórcy za los narodu, towarzyszącym mu wiernie w jego losie. Wencel idzie tu tą samą drogą interpretacji polskości co Andrzej Nowak w „Dziejach Polski" – za jej konstytutywną wartość uznaje poczucie wolności – osobistej, ale nade wszystko narodowej. Nieprzypadkowo twórca „Czarnego poloneza" był poetą najpopularniejszym wśród żołnierzy polskich na frontach drugiej wojny światowej. Ci, którzy walczyli pod Tobrukiem, Monte Cassino, odnajdywali w jego twórczości ten sam zew, który kazał im na wszystkich frontach świata walczyć o wolność – naszą i waszą.

Wokół „świętej wolności" co najmniej od czasów targowicy zawsze dzieliła się (lub łączyła) polska opinia. Nie inaczej było na emigracji, po zdradzie jałtańskiej i nowych porządkach w Polsce. Niezłomnych, odżegnujących się od jakichkolwiek kompromisów z pojałtańską Polską gromadził polski Londyn i Nowy Jork, pragmatyści skupili się wokół Giedroycia i „Kultury" paryskiej. Wierzyński, człowiek Kresów, piłsudczyk, legionista, przyjaciel wielkiego polityka Ignacego Matuszewskiego, należał oczywiście do niezłomnych. Mógłby bez wątpienia podpisać się pod dramatycznym artykułem Matuszewskiego „Wola Polski", napisanym po układzie Sikorski-Majski, w którym czytamy: „Nie ma ziemi polskiej na sprzedaż, nie ma ziemi polskiej do odstąpienia, ani kawałka, ani płachetka, ani dla wrogów, ani dla miłości sprzymierzeńców. [...] Żołnierz i lotnik polski walczy dziś o całość Imperium Brytyjskiego [...]. Polska jak Anglia ma swoje cele w tej wojnie i żąda, aby były one uszanowane" (s. 160).

Podziały polityczne przenosiły się na środowisko literackie, a okazji ku temu było kilka – sprawa Tuwima, potem Miłosza. Tuwim uwiedziony kuszeniem komunistycznej jaczejki (Gebert, ks. Orlemański, Oskar Lange) w Stanach Zjednoczonych objawił się jako entuzjasta Sowietów. Lechoń zerwał z nim całkowicie, Wierzyński nie był aż tak bezwzględny, pomny przede wszystkim na wspólną młodość. Jego biograf nie jest jednak tak tolerancyjny, kiedy pisze: „W Polsce »ludowej« Tuwim nie był żadnym poetą. Był komunistą. W 1947 roku w tekście napisanym z okazji trzydziestoletniej rocznicy istnienia Sowietów wyrażał radość, że sojusznikiem naszym jest państwo, które staje się nadzieją wszystkich uciśnionych i pokrzywdzonych na ziemi, naród-serce, naród-pieśń, naród-odnowiciel" (s. 240).

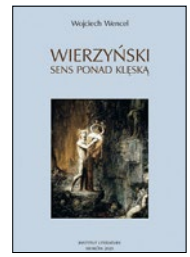

WOJCIECH WENCEL „WIERZYŃSKI. SENS PONAD KLĘSKĄ" INSTYTUT LITERATURY 2020

Gdyby nie wojna, dramaty rodzinne, a przede wszystkim tragedia zdradzonej Polski, Wierzyński mógłby uchodzić za dziecko szczęścia. Męska uroda, talent, wielki sukces debiutu, medal olimpijski, szczęśliwe małżeństwo, emigracyjne, acz z trudem osiągane sukcesy wydawnicze. Żywot wygnańczy dla tego wiecznego, kochającego podróże wagabundy był jednak bardzo trudnym doświadczeniem, gdy okazało się, że do Polski powrotu nie ma i nie będzie. Najmocniejsze nici łączące go z Polską młodości rwały się po samobójstwie Wieniawy-Długoszowskiego, śmierci Ignacego Matuszewskiego, tragicznym samobójstwie najbliższego przyjaciela, Lechonia. Pozostawała tylko ta Polska z „Nocnej ojczyzny":

To jest ta miłość
Miłość raniona
Co przeliczyła
Całe bogactwo
Odbudowane
Rana po ranie:
Wierność sumieniu
Sens ponad klęską,
Tego nie wezmą,
To było nasze
Jest i zostanie.

Sens ponad klęską to echo słynnej sentencji Piłsudskiego: „Być pokonanym i nie ulec – to zwycięstwo". Taki też jest bez wątpienia najgłębszy przekaz pięknej książki Wencla. I jej wyzwanie dla współczesnych, nie tylko pisarzy. Dla młodzieży przede wszystkim – gdyby tylko zechciała czytać. „Wierzyński" Wencla to bowiem nie tylko opowieść o poecie, lecz także opowieść o Polsce i naszych wobec niej powinnościach. Z nieśmiertelnym przesłaniem poety: „Tym tylko się żyje, za co się umiera".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f9fafe5dc1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Miłość nowego wieku

★★★★☆☆

REŻ. MICHAEL SHOWALTER „GOŁĄBECZKI" („THE LOVEBIRDS")
USA 2020, DYSTR. NETFLIX

wyst. Issa Rae, Kumail Nanjiani

Kochali się na zabój, ale cztery lata później wszystko gdzieś uleciało. Mieszkają wprawdzie razem, jednak kłócą się dosłownie o wszystko. On ma jej za złe nieustanne przesiadywanie na Instagramie, to, że jest płytka i ma nieciekawych znajomych, ona wyrzuca mu, że na jej oczach zamienia się w życiową porażkę, gościa, który jest zamknięty na wszelkie nowe doświadczenia i traci czas zamknięty we własnej pracowni. Wszystko wskazuje więc na to, że związek Leilani i Jibrana dobiega końca, tylko oni sami jeszcze sobie tego nie uświadamiają.

Zrządzeniem losu podczas tej samej podróży samochodem, w trakcie której dochodzą do wniosku, że czas się rozstać, pod koła wpada im rowerzysta goniony przez faceta podającego się za policjanta. Rowerzysta ginie, gliniarz znika bez śladu, a nasza para gołąbeczków wpada w panikę, pewna, że policja oskarży ich o morderstwo. Co robić? A może samemu rozwiązać zagadkę i ustalić, kto na kogo dybał i z jakiego powodu?

Podróż przez noc, w którą się wybiorą Leilani i Jibran (grani koncertowo przez Issę Rae i Kumaila Nanjianiego), oznaczać będzie spotkanie z szantażystami, skorumpowanymi glinami, dziwacznym seksualnym kultem oraz z torturą przy pomocy konia. Najważniejsze w niej okaże się jednak nie to, co związane z kryminalną intrygą, lecz to, co skłóceni kochankowie odkryją sami o sobie. A także to, co usłyszą na swój temat od bliskich znajomych. „Gołąbeczki" to bowiem tak naprawdę inteligentny i zabawny film o miłości, o tym, jak szybko zapominamy, że uczucie trzeba pielęgnować, o tym, jak wiele możemy stracić, nie potrafiąc komunikować sobie najprostszych, drobnych rzeczy. I o tym, że warci jesteśmy miłości, nawet jeśli z jakiegoś powodu wydaje nam się inaczej.

Reżyserem „Gołąbeczków" jest Michael Showalter, którego poprzedni film „I tak cię kocham" („The Big Sick") – polecałem go na łamach „Do Rzeczy" (27/2018) – był kilka lat temu zasłużenie nominowany do Oscara za scenariusz. Napisany zresztą właśnie przez Kumaila Nanjianiego (Jibran), którego talent aktorski z kolei znamy w Polsce przede wszystkim z serialu „Dolina Krzemowa". Warto śledzić dokonania jednego i drugiego. ©℗

NOWE SERIALE: „PERRY MASON"

Powrót legendy, czyli bohatera wymyślonego przez pisarza Erle'a Stanleya Gardnera (80 powieści i kilka opowiadań) w 1933 r. Prawnik Perry Mason był później bohaterem słuchowisk, filmów, seriali i komiksu, teraz doczekał się miniserii, która jest prequelem do cyklu. Akcja rozgrywa się w Los Angeles, Perry bada sprawę porwania dziecka – aferę, której znaczenie okazuje się dużo większe, niż można było przypuszczać. W roli głównej Matthew Rhys, znakomity w serialu „Zawód Amerykanin", ostatnio widziany u boku Toma Hanksa w filmie „Cóż za piękny dzień". ©℗ *Piotr Gociek*

- *„Perry Mason", USA 2020, HBO*

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Yuval Adler „Perfekcjonistka", Izrael/Francja 2019, szpiegowski, Cineman.pl*
- *reż. Ruben Fleischer „Zombieland: Kulki w łeb", USA 2019, komedia, HBO GO*
- *reż. Michael Chaves „Topielisko. Klątwa La Llorony", USA 2019, horror, Cinemax*

eprasa.pl f9fafe5dc1

Bycza krew

Rancho w dolinie. Brzmi sielankowo, lecz film Carlosa Reygadasa jest zdecydowanie dziką historią. Bohaterowie są nowoczesnym małżeństwem, żyją w tzw. otwartym związku. Juan, ceniony poeta i prosperujący hodowca byków, nie ma nic przeciwko temu, by Esther zadawała się z innymi mężczyznami. Pod warunkiem, że będzie go o tym informować. Obsesja kontrolowania wszystkiego, zmiksowana ze źle skrywanym poczuciem wyższości, nawet świętą wyprowadziłyby z równowagi. Juan stosuje wobec małżonki emocjonalny szantaż, a w dodatku – wbrew deklaracjom – zdaje się bardziej kochać konie, hacjendę oraz imponującą bibliotekę.

Akcja toczy się w leniwym tempie. Reżyser w głównych rolach obsadził siebie i swoją rodzinę, film nakręcił we własnym domu, więc nie powinien mieć pretensji, że widzowie będą go podejrzewać o ekshibicjonizm. Rzecz jest ciekawa od strony formalnej (kamera zagląda nawet pod maskę jadącego samochodu), oprócz ludzi sporo uwagi poświęca się tu zwierzętom i krajobrazom. Meksyk z „Naszego czasu" jawi się krajem niebyt egzotycznym. Gdyby intrygę przenieść do przedwojennego polskiego majątku na kresach, zyskałaby na wyrazistości. Zwłaszcza jeśli lubieżnego gringo zastąpiłby temperamentny Ukrainiec lub jurny Białorusin. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. CARLOS REYGADAS
„NASZ CZAS" („NUESTRO TIEMPO")
MEKSYK 2018, GUTEK FILM (W KINACH)
wyst. Carlos Reygadas, Nathalia López, Phil Burgers

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SZPITAL RUMUNIA

HBO GO

Nie wszędzie dziennikarstwo śledcze zeszło na psy. W Bukareszcie dociekliwi żurnaliści wywołali kryzys polityczny, biorąc pod lupę szpitale, w których dogorywały ofiary pożaru w klubie Colectiv. Przyczyną śmierci młodych ludzi były najczęściej infekcje bakteryjne. Okazało się, że środki dezynfekcyjne, których używali lekarze, rozcieńczano na potęgę. Produkująca je firma miała w kieszeni większość ekspertów i decydentów. Minister w odpowiedzi na zarzuty palnął, że rumuński system ochrony zdrowia jest tak samo dobry jak niemiecki. Tego łgarstwa już suweren nie zdzierżył – wyszedł na ulice pod hasłem „Rozcieńczyć korupcję!". Film o przekręcie, który doprowadził do tragicznych skutków, musiał zrobić karierę w świecie, choć nie wszystko jest tu zapięte na ostatni guzik. Wątpliwości wzbudza zwłaszcza konwencja opowieści: niby dokumentalna, lecz bazująca na inscenizacjach. Wbrew pozorom zagrać samego siebie wcale nie jest łatwo.

★★★★★☆

REŻ. ALEXANDER NANAU
„KOLEKTYW" („COLECTIV")
RUMUNIA 2019

TEHERAŃSKI ŁĄCZNIK

MOJEKINO.PL

W irańskiej policji, jeśli chcesz dostać awans, musisz być żonaty. A jeśli pragniesz przyskrzynić i posłać na stryczek nieuchwytnego narkobarona, to powinieneś być bezwzględny. Śledczy Samad spełnia oba warunki. Nie patyczkuje się z podejrzanymi, lekce sobie waży łzy kobiet i dzieci, nawet dla kolegów jest szorstki jak Rafał Trzaskowski wobec dziennikarzy z TVP Info. O zgrozo, większą sympatię wzbudza czarny charakter, na oko kuty na cztery nogi, lecz w głębi duszy znerwicowany niczym nastolatka na pierwszej randce. „30 gramów" to film pułapka również z innego powodu. Zaczyna się jak typowy akcyjniak, potem dryfuje w stronę dusznej psychodramy. Finalnie zarzuca zaś kotwicę w porcie, w którym niegdyś często widywano Krzysztofa Kieślowskiego. Kto uważa moralitet za najwyższą formę twórczości i nie ma uczulenia na persko-muzułmańskie realia, ten będzie usatysfakcjonowany. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. SAEED ROUSTAYI
„30 GRAMÓW" („METRI SHESH VA NIM")
IRAN 2019, MAYFLY
wyst. Peyman Moaddi, Navid Mohammadzadeh, Parinaz Izadyar

GRA TYGODNIA: „THE LAST OF US II"

Śmiercionośny grzyb-wirus rozwija się w niesamowitym tempie, zamieniając Amerykę w targane niepokojami społecznymi siedlisko zombi. Gdzieś w tym chaosie grupy ocalałych walczą o zachowanie resztek cywilizacji i człowieczeństwa. Brzmi jak horror klasy B, ale to zarys fabuły jednej z najlepszych i emocjonalnie wciągających gier w historii. Druga część opowieści o Joelu i Ellie to majstersztyk narracji, popis graficzny odchodzącej generacji konsol i świat (niesamowita podróż po zrujnowanym Seattle), który żyje swoim życiem. Odejmuję jedną gwiazdkę tylko za brak trybu multiplayer w dniu premiery. ©℗

Marcin Makowski

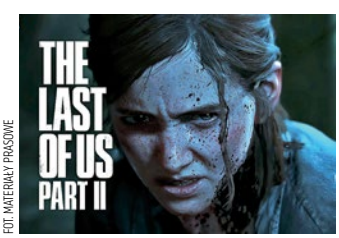

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

- ***Gatunek:*** *TPP*
- ***Platforma:*** *PS4*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Naughty Dog/Sony*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl f9fafe5dc1

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Hazardziści z Baru

O pierwszym polskim powstaniu narodowowyzwoleńczym, bo nim była w istocie konfederacja barska, opowiada w „Pułaskich" Wojciech Kudyba. Na razie poznaliśmy pierwszy tom powieści, zapowiadającej się znakomicie. Opowiada bowiem o losach rodziny Kazimierza Pułaskiego, jednego z największych bohaterów nie tylko naszej historii.

Najpierw poznajemy jego ojca Józefa Pułaskiego, starostę wareckiego, który – jak pisał o nim Władysław Konopczyński w „Konfederacji barskiej" – w wieku 64 lat „z groszoroba staje się rycerzem, z kondycji szaroziemiańskiej przechodzi do dziejowej arystokracji do tych, co miasteczka i wsie, i wszystkie siły swej duszy oddają ojczyźnie". Po części ten przełom dokonuje się w nim za sprawą… rosyjskiego ambasadora, osławionego Repnina, po którego groźbie, że do nieposłusznej Polski wejdzie kolejne 50 tys. wojska, Józef Pułaski odparł: „Niech stanie sto tysięcy. Naród wolny krew przeleje", a do tego jakimś gestem rozjuszył Repnina, że ten „podniósł nań rękę, co widząc, starosta chwycił za szablę".

Scenę tę znajdziemy, oczywiście, w powieści Kudyby, który ewidentnie solidnie odrobił lekcję historii ze znakomitym dziełem Konopczyńskiego, wznowionym ostatnio przez Tadeusza Zyska, jako lekturą obowiązkową. Przy czym autor – na szczęście – pamięta o zachowaniu proporcji, odciążając książkę wątkami czysto powieściowymi, choćby romansowymi, które pomogły np. w przedstawieniu sylwetki brata Kazimierza Pułaskiego, Franciszka Ksawerego, poległego we wrześniu 1769 r. pod Łomazami od strzału dowódcy rosyjskich karabinierów. Miał wówczas 26 lat. Był o dwa lata starszy od Kazimierza, a o cztery od najmłodszego z braci, Antoniego, który trafi do rosyjskiej niewoli,

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

później jednak weźmie udział w targowicy, będzie brał pieniądze z ambasad rosyjskiej i pruskiej, otrzyma stopień generała-majora i zostanie generalnym inspektorem wojsk koronnych, ale ustąpi z tego urzędu po kolejnym rozbiorze Polski.

To wszystko będzie potem; w pierwszym tomie żegnamy się – niestety – z Franciszkiem Ksawerym, który zdąży jeszcze pochować w stepie swego ojca – Józefa Pułaskiego, twórcę i marszałka konfederacji barskiej, wtrąconego do więzienia w Jassach, po tym, jak po zdobyciu Baru przez Rosjan uszedł na Wołoszczyznę. Zmarł tam na skutek epidemii, ale niewykluczone, że został otruty.

Z Kazimierzem, najsławniejszym z Pułaskich, rozstajemy się, gdy zostaje ranny w bitwie z Rosjanami koło Krosna. To do niego, żeby mu pomóc w opresji, przebijał się Franciszek Ksawery z tak fatalnym dla niego skutkiem. Co będzie dalej – wiemy z historii. Albo i nie wiemy… W czasach PRL o konfederacji barskiej podręczniki milczały albo dezinformowały, skrzętnie pomijając, że zawiązana była w celu obrony Rzeczypospolitej przed Moskalami, ale i – co było niemniej ważne – w obronie wiary katolickiej zagrożonej narzuconymi przez carycę ustawami zapewniającymi, a jakże, równouprawnienie innowiercom.

Wsławi się Kazimierz Pułaski brawurową obroną Jasnej Góry przed dowodzonymi przez gen. Drewicza Rosjanami i wojskiem królewskim (!). To z tego czasu pochodzi „Pieśń o Drewiczu" ze słowami: „Kazimierz Pułaski, konfederat barski / Ty wiesz dobrze, panie Drewicz, / że to rębacz dziarski". I rzeczywiście, zdaniem Jędrzeja Kitowicza, nic tak Kazimierza Pułaskiego nie bawiło jak utarczki z Moskalami. Swoją drogą, pamięć o konfederacji barskiej, jeśli przetrwała, to w wierszu (Słowacki!) i w pieśni. Cytowanej „Pieśni o Drewiczu" słuchałem w latach 80. z nielegalnie nagrywanych kaset z utworami patriotycznymi. Wielką karierę zrobił też „Odważny Polak na Marsowym Polu":

Stawam na placu z Boga ordynansu,
Rangę porzucam dla nieba wakansu.
Dla wolności ginę – wiary swej nie minę.
Ten jest mój azard.

A skoro o pieśniach mowa, to warto nadmienić, że czytając „Pułaskich", natkniemy się i na twórcę naszego hymnu narodowego, młodego Józefa Wybickiego, i na sławnego awanturnika Maurycego Beniowskiego, i… Kogóż tu zresztą nie ma! A dalsze losy Kazimierza Pułaskiego, nim zginie w 1799 r. pod Savannah, walcząc o niepodległość Stanów Zjednoczonych, są tak pasjonujące (udział w porwaniu Stanisława Augusta Poniatowskiego!), że drugi tom powieści Wojciecha Kudyby od pierwszego może być tylko lepszy. Niezależnie od tego, że – jak stwierdzili amerykańscy uczeni po zbadaniu DNA szkieletu, podobno Pułaskiego – mógł być on „osobą interpłciową z biologicznymi cechami kobiety". No jasne, polska szlachta z dwupłciowości słynęła. ©℗

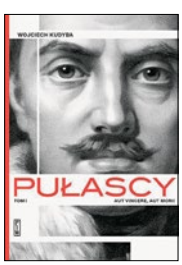

★★★★★☆
WOJCIECH KUDYBA „PUŁASCY, TOM I" PIW, WARSZAWA 2020

eprasa.pl f9fafe5dc1

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Pochodnia zemsty

Powieść Bestera jest fascynująca" – pisał Stanisław Lem, choć jednocześnie zastrzegał, że mowa o wybitności w podgatunku, który miał za mierny: „Space opera w najlepszym wydaniu [...] »Hrabia Monte Christo« fantastycznie unaukowiony".

Rzeczywiście od Dumasa pożycza sobie autor schemat fabularny. Bohater ze zwykłego, niebyt lotnego kosmicznego mechanika zamienia się w futurystycznego celebrytę szastającego tajemniczo zdobytym groszem. W nowym wcieleniu wkręca się między możnych i tropi bezlitośnie swoich dawnych krzywdzicieli, którzy porzucili go na pewną śmierć. Bester podbija jednak stawkę. Wrzuca Gullivera Foyle'a w środek innych zmagań. Mamy bowiem oto daleką przyszłość, w której ludzkość zasiedliła Układ Słoneczny, eksploatuje planety i asteroidy, odkryła nowy sposób podróżowania (dżuntowanie, czyli teleportację). Foyle stanie się kluczową postacią, jeśli chodzi o nowy krok w rozwoju teleportacji. Być może brzmi to wszystko bardzo... tandetnie, ale na tym polega urok tej książki i w tym tkwi jej siła. Tak jak Dick w swoich najlepszych powieściach, tak Bester bierze sobie tandetne rekwizyty przygodowej fantastyki, a potem potęgą talentu, siłą pisarskiej wizji tworzy z nich coś fascynującego, coś, czego ostateczna wartość znacznie przekracza zwykłą sumę wartości użytych elementów.

I jakże jest przy tym zabawny i złośliwy! Ludzie z jego przyszłości, jak to ludzie, toczą wojny, zmagają się z kryzysem żywnościowym, nierównościami, a zarazem zadziwieni własnymi osiągnięciami pytają: „Gdzie są granice poznania?". Pokpiwa sobie autor w prologu: „Był to wiek skrajności, fascynujące stulecie niezwykłych wydarzeń... ale nikt za nim nie przepadał". Całkiem jak nasze czasy, nieprawdaż? Może to kolejna przyczyna, dla której „Gwiazdy moim przeznaczeniem" wciąż jest książką szeroko czytaną i nieodmiennie wymienianą w gronie najlepszych powieści fantastycznych wszech czasów.

Jest przy tym Bester także pisarzem bardzo nowoczesnym, niektóre partie jego opowieści zawstydziłyby późniejszych autorów Nowej Fali. Emocji i pomysłów załadował zaś do książki tyle, że inny pisarz SF, K.W. Jeter, powie po latach: „To, co szufladkuje się jako cyberpunk, jest zwykle recyklingiem Alfreda Bestera". Prawda, szczególnie gdy przypomnimy sobie niektóre jego opowiadania (choćby „Fahrenheit radośnie"), ale to już zupełnie inna historia. ©℗

★★★★★☆
ALFRED BESTER „GWIAZDY MOIM PRZEZNACZENIEM"
REBIS 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Znakomity znawca tematu, autor trzytomowej „Historii raju" i wielu innych fundamentalnych prac, proponuje zwięzłą syntezę swoich badań nad tym, jak zmieniała się koncepcja (i recepcja) raju w cywilizacji judeochrześcijańskiej.

JEAN DELUMEAU „W POSZUKIWANIU RAJU"
OW VOLUMEN

Reportaż historyczny w duchu dokonań Corneliusa Ryana („Najdłuższy dzień"). Milton korzystał z archiwum Ryana, ale także z wielu późniejszych publikacji, opowiadając o desancie w Normandii z punktu widzenia żołnierzy.

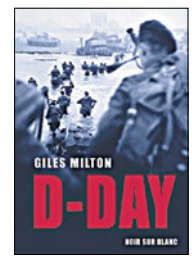

GILES MILTON „D-DAY"
NOIR SUR BLANC

Odwiedzonych krajów było ponad sto, wyznaje autor we wstępie do przeglądu wspomnień z podróży. Najciekawszych tam, gdzie porównuje współczesność z dawnymi lekturami (choćby Fiedlera).

MARCIN WOLSKI „W 80 PODRÓŻY DOOKOŁA ŚWIATA"
BIAŁY KRUK

Ósmy tom serii dla dzieci autora popularnego cyklu „Felix, Net i Nika". Tym razem przewrotna przeróbka legendy o Złotej Kaczce. Ciekawostka: autor kończył pisanie w czasie pandemii, więc mali bohaterowie noszą maseczki. ©℗

poleca Piotr Gociek

RAFAŁ KOSIK „AMELIA I KUBA. ZŁOTA KARTA"
POWERGRAPH

KOMIKS TYGODNIA: „WOJENNA ODYSEJA ANTKA SREBRNEGO"

Wzorowy przykład popularyzacji polskiej historii za pomocą popkultury. Zbiorcze wydanie 10 części komiksu o Antku Srebrnym uzupełnione o plakaty, naklejki, płytę DVD z animowaną wersją czterech albumów, a nawet legitymacją oddziału „AS", do którego należy główny bohater. Lekcja historii obejmuje lata 1939–1946, od kampanii wrześniowej i zdradzieckiego ataku Sowietów przez przygody polskich żołnierzy, których wyprowadził z Rosji gen. Anders (zatem Syria, Palestyna, Monte Cassino, Normandia), aż do czasów żołnierzy wyklętych i sfałszowanego przez komunistów referendum. ©℗

TOMASZ ROBACZEWSKI, GRZEGORZ DROJEWSKI, MICHAŁ KONARSKI; RYS. HUBERT RONEK, IPN 2020

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl f9fafe5dc1

1700 wagonów...

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zespół Mikromusic pokazał singiel promujący zapowiadany na wrzesień nowy studyjny album (można już przedpremierowo zamawiać płytę z autografem). „Najlepsza" to – jak mówi Natalia Grosiak, wokalistka Mikromusic – piosenka z recyklingu: „Ponad rok temu zgłosił się do mnie duet OH LOU! z propozycją nagrania wokalu do jednej z ich piosenek. I tak powstała pierwsza wersja »Najlepszej«. OH LOU! niestety zawiesiło swoją działalność i postanowiło mi podarować ten utwór. Postanowiłam więc wziąć linię melodyczną i tekst, czyli składniki, które dodałam do ich produkcji, i wstawić je w zupełnie inne otoczenie muzyczne. Dawidowi Korbaczyńskiemu zaprezentowałam tylko te składniki, bez harmonii, i stworzyliśmy tę piosenkę od nowa".

W teledysku rejestrowanym w lasach pod Krotoszynem oraz na Wyspie Opatowickiej we Wrocławiu Natalia Grosiak najpierw zbiera śmieci, a potem walczy ze śmieciowym golemem. Na zakończenie klipu przedstawiono garść informacji o problemie, na który artyści chcieli zwrócić uwagę: „W 2019 roku wywieziono z polskich lasów ok. 108 000 m sześc. śmieci. Zajęłoby to 1700 wypełnionych wagonów towarowych". A wśród nich m.in. lodówka wypełniona zgniłym mięsem, kilkanaście tysięcy zepsutych jaj na paletach, 2 tys. opon etc. Oryginalną, tę nagrywaną z OH LOU!, wersję „Najlepszej" również usłyszymy. Duet wznowił działalność, gdy utwór w wykonaniu Mikromusic był już gotowy. Zapowiadana na wrzesień płyta będzie drugim po „Mikromusic w Starym Maneżu" wydanym w tym roku albumem tej wrocławskiej grupy. Pomysł zrodził się spontanicznie. „Byliśmy w trakcie trasy koncertowej i Dawid w pewnym momencie rzucił, że jesteśmy w szczytowej formie koncertowej i za kilka dni gramy w jednym z najlepszych miejsc w Polsce". Album koncertowy trafił na serwisy streamingowe akurat w czasie, gdy Polska zaczynała być zamrażana koronawirusowymi obostrzeniami. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Kogo obchodzi Nobel

Na 39. studyjnym albumie 79-letni Bob Dylan przekartkowuje historię, biografie, powieści, mity i proroctwa. A ostatecznie, jak prawdziwy mędrzec, jest tu i teraz.

Dylanolodzy spędzą lata na bataliach wyjaśniających odniesienia zawarte w tych 10 piosenkach. W każdej z nich pojawiają się postacie i zdarzenia historyczne czy też ikony i symbole. Już sam tytuł albumu nawiązuje do piosenki „My Rough and Rowdy Ways" napisanej przez pradziada muzyki country Jimmiego Rodgersa. Dylan śpiewa, że chce poślubić Kalliope, muzę epickiej poezji, ale też chwali Montgomery'ego, Pattona i Żukowa. Koncentruje się na wiecznych wartościach. Dla niego przeszłość to nie przeszłość, a prawdziwa sztuka i literatura nie są martwe, a nawet statyczne. Krzyżuje czasy i gatunki, buduje kulturalny panteon i udowadnia tą płytą, że jego miejsce też jest w nim. Jemu Nobel do niczego nie był potrzebny.

Ta muzyka jest zdecydowanie staromodna: blues, shuffle, country, walc... On nie zamierza się wdzięczyć. „Moje serce jest w spoczynku, chciałbym tak pozostać / Nie chcę walczyć, przynajmniej nie dzisiaj". Te piosenki opowiadają, ostrzegają, pocieszają. W „Przejściu przez Rubikon" śpiewa o „niepatrzeniu" wstecz. Bob pod koniec kariery śpiewa mocarnie. To poruszający głos człowieka, który wiele przeżył i wie. ©℗

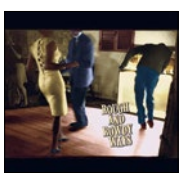

★★★★★★
BOB DYLAN
„ROUGH AND ROWDY WAYS"
COLUMBIA

★★★★★☆
NEIL YOUNG
„HOMEGROWN"
SILVER BOW
Po 46 latach od nagrania ukazał się album nawiązujący do rozpadu związku Younga z aktorką Carrie Snodgress. Pięć piosenek znamy z wydanych później płyt. Szczera spowiedź, choć nie tak wstrząsająca jak na „Tonight's the Night". Muzycznie to najlepszy okres w karierze Kanadyjczyka.

★★★☆☆☆
PETER GABRIEL
„RATED PG"
REAL WORLD
Limitowana kompilacja utworów filmowych Gabriela ukazała się przed rokiem w ramach Record Store Day. Oficjalne wydanie zawiera nagrania z 10 filmów z lat 1984–2017. Brakuje kilku wcześniejszych rzeczy, ale i tak jest to gratka dla fanów. ©℗

eprasa.pl f9fafe5dc1

REPUBLIKA
NAJLEPSZE
POLSKIE BAJKI
W TELEWIZJI REPUBLIKA
dla młodszych
i tych trochę
starszych
w soboty i niedziele
17:35
od poniedziałku do piątku
9:20
Oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl
eprasa.pl f9fafe5dc1

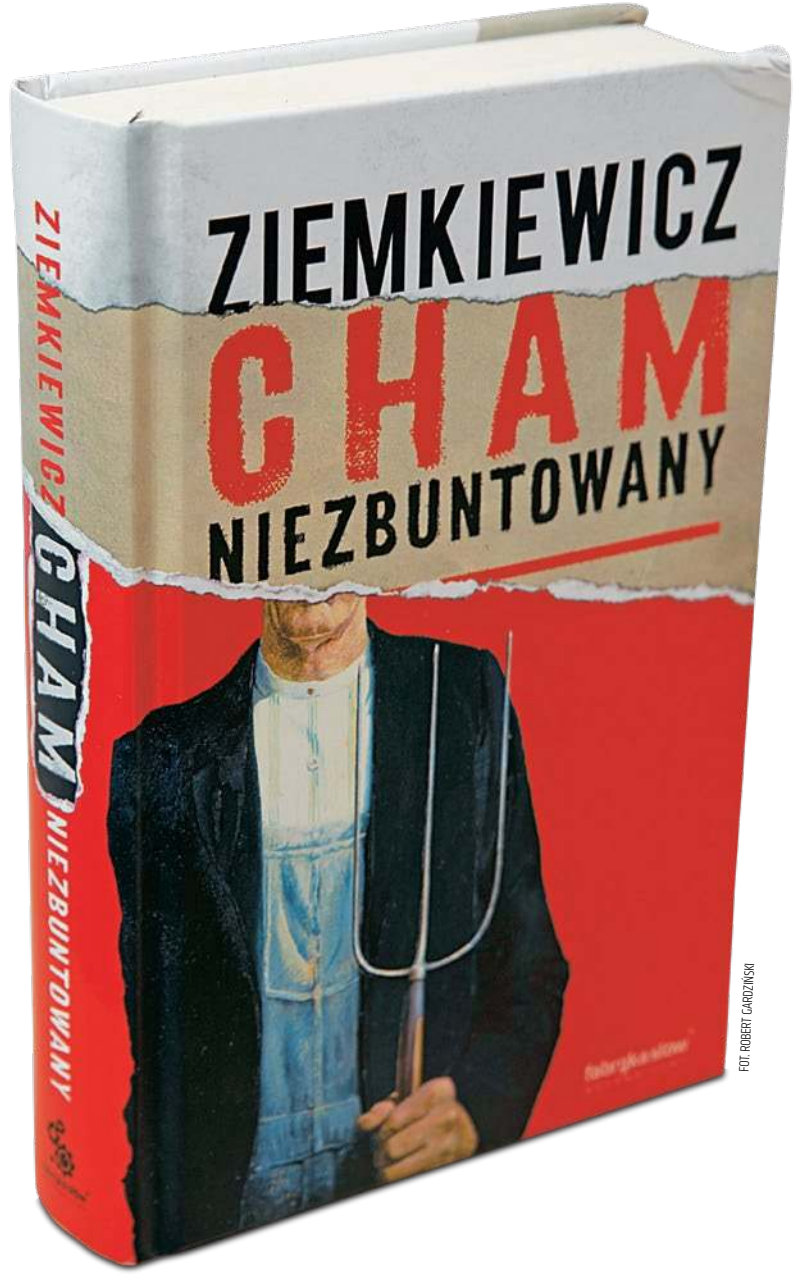

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Ziemkiewicz trafny i nietrafny

Piotr Semka

„Cham niezbuntowany" to trzy różne książki w jednej. Ziemkiewicz ma celne obserwacje, chociaż z częścią wniosków trudno się zgodzić

Gdy dowiedziałem się, że Rafał A. Ziemkiewicz pisze książkę o mentalnym uzależnieniu polskich elit od opinii Zachodu, bardzo się ucieszyłem. A gdy dodatkowo dotarły do mnie informacje, że w swojej książce zajmie się rosnącą omnipotencją UE, ucieszyłem się jeszcze bardziej. Już w trakcie obchodów 100. rocznicy odzyskania niepodległości w 2018 r. odczuwałem niedosyt rozmów o tym, co pojęcie niepodległości znaczy dzisiaj. Dlatego wziąłem „Chama niezbuntowanego" do ręki z ogromną uwagą. Już od pierwszej linijki książka mnie wciągnęła: „Cały problem w tym, że Polacy co prawda odzyskali niepodległość – ale mimo że było to już 30 lat temu, wciąż nie zdołali odzyskać dwóch innych rzeczy, które stracili byli kiedyś wraz z nią. Rzeczy do zachowania niepodległości niezbędnych i ściśle ze sobą powiązanych. Pierwszą z nich jest poczucie własnej wartości. Drugą, bez której trudno o pierwszą – poczucie swojej wyjątkowości. Świadomość, że jesteśmy inni, nie gorsi, niezapóźnieni w rozwoju, tylko właśnie inni". I dalej: „To dziś dla nas absolutnie podstawowa sprawa. Wyzwolić się z wpajanego nam przez dziesięciolecia przekonania, że jesteśmy jakąś niedorobioną, zacofaną wersją innych nacji. Nie: jesteśmy narodem, który odmienna historia, religia i relacje społeczne ukształtowały na inny sposób niż społeczeństwa zachodu i wschodu".

BANKIECIK W ZBUTWIAŁYM DOMKU

Rafał słusznie wskazuje, że pojawienie się pandemii doskonale unaoczniło, jak w czasie naprawdę poważnego kryzysu przydatność Unii Europejskiej dla jej członków okazała swoje ograniczenia. Bardzo trafnie zauważa, że już wcześniej zupełnie umknął większości Polaków niezwykle ważny moment historyczny. Chodzi o werdykt pierwszej sędzi Sądu Najwyższego Małgorzaty Gersdorf, w którym zadeklarowano, że werdykty Trybunału Stanu Unii Europejskiej mają charakter nadrzędny wobec polskiego prawa. Rafał trafnie wskazał, że to był ostatni dzwonek bijący na alarm, że idea superpaństwa unijnego wisi nam już bezpośrednio nad głową. A – na domiar złego – cała opozycja z zachwytem podpisuje się pod tym werdyktem.

Tymczasem, jak słusznie pisze Ziemkiewicz, sytuacja, w której unijne organy

eprasa.pl f9fafe5dc1

mogą unieważnić każdą polską ustawę, to droga do całkowitego wyrzeczenia się suwerenności.

Co w tej sytuacji robić? W tym miejscu po raz pierwszy zetknąłem się z sytuacją, w której zgadzałem się z obserwacją Rafała, ale już nie przekonywała mnie jego odpowiedź. Ponieważ Rafał po pierwsze dziwi się, że rząd PiS nie wyciągnął wobec „targowiczan" żadnych konsekwencji. Jakby nie wiedział, że rząd Morawieckiego wciąż walczy o przetrwanie i przy obecnych sądach nie miałby żadnej szansy ukarania tych, którzy odwołują się do zagranicy. Jeszcze bardziej nie mogę zrozumieć ironicznego tonu, gdy mój redakcyjny kolega dość lekkimi pociągnięciami pióra dziwi się, że PiS wciąż powołuje się na ideę Europy narodów i pociesza się, że jest jeszcze Europa hiszpańskiej partii Vox, włoskiej Ligi Salviniego, Fideszu Orbána czy konserwatystów Johnsona. Rafał argumentuje tak: „Opowiadanie sobie, że jesteśmy za Unią, tylko nie taką, to polityka bezmyślna". Autor przyznaje, że dziś większość Polaków widzi więcej korzyści niż strat, ale też większość rozumie już, iż Unia wcale nie jest dobrą ciocią, która chce nas obdarowywać i ubogacić, niczego nie żądając w zamian. Skoro tak, to czemu się dziwi, że PiS nie stawia już teraz wniosku o opuszczenie Unii i traktuje serio nastroje społeczne?

Rafał trafnie wskazuje, że próby ideologicznego unifikowania Europy kończą się tępą ideologią.

Kolejna ciekawa część książki to rozdział dotyczący „implementowanej pamięci". Ziemkiewicz trafnie wskazuje, że uporczywe wcielanie w życie ideologii LGBT to odreagowanie przez świat anglosaski win za stosunek surowego odłamu protestantyzmu do homoseksualizmu. Tej aury, która doprowadziła do procesu Oscara Wilde'a czy tzw. procesu Eulenburga w kajzerowskich Niemczech. To samo dotyczy też totalności działań na rzecz feminizmu. Trzeba było bardzo głęboko ugruntowanej w protestantyzmie niechęci wobec kobiet, by dzisiaj amerykańskie czy niemieckie feministki zmuszały wszystkich do kajania się za przeszłe traktowanie kobiet. Tymczasem w tych akurat dwóch kwestiach w Polsce czy szerzej – w dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów nasi dziadowie wykazywali wiele zdrowego rozsądku. Podobnie trafnie Rafał pokazuje, że Rzeczpospolita Obojga Narodów była przykładem udanej unii, która mogłaby być dziś wzorem dla relacji wewnątrz UE, gdyby nie uparta ignorancja historyczna zachodnich społeczeństw. I gdy czytałem te słowa, zadumałem się. Bo wszystkie elementy tej pierwszej 128-stronicowej części książki poszerzone o spokojne rozważania, które z tych problemów dadzą się zmienić, a które musimy znosić, mogłyby być ciekawą glosą do dyskusji o polskiej przyszłości.

Z PUNKTU WIDZENIA CHŁOPA

Drugie wcielenie Rafała to rola trybuna losu chłopskiego. I tutaj powtarzają się wątki z jego książek: „Polactwo", „Żywina", „Taka piękna katastrofa". W największym skrócie jest to opis słabo udanej emancypacji warstwy chłopskiej i jej konsekwencji dla współczesnego „mentalu" Polaków.

Ziemkiewicz publicysta zamienia się w Ziemkiewicza historyka. Mamy więc spory passus o tym, jak ciężkie było życie chłopa w przeszłości. I smutną konstatację, że polscy chłopi się nie buntowali, a jeśli już to robili, to wskutek poduszczenia czy to Szwedów czy Austriaków.

Rafał ubolewa, że polska kultura nie stworzyła analogicznej postaci do Haškowego Szwejka, plebejusza, który dzięki chłopskiemu sprytowi potrafi wyśmiać wielkopańskie fanaberie czy głupotę elit. Za najbardziej perfidną technikę manipulacyjną szlachty uznaje rzekomy szantaż wyższych warstw wobec chłopów: możecie zostać dokooptowani do świata wyższych wartości, jeśli będziecie tacy jak my. I w związku z tym dziwi się, dlaczego chłopi biegli za Bartoszem Głowackim, by z kosami postawionymi na sztorc zdobywać rosyjskie armaty.

Szczerze mówiąc, rozbawiła mnie ta droga myślenia. Rafał staje się w niej zwolennikiem iście marksistowskiej tezy o przemożności uwarunkowań klasowych. Dziwi go XVIII-wieczny chłop chcący walczyć z Rosjanami w taki sam sposób, jak dziwiło to później autorów podręczników historii lat powojennych. Nie rozumie też, że dla chłopów bezpośrednia władza caratu mogła być tak samo dolegliwa jak władza panów, a jeszcze bardziej dotkliwa, bo sprawowana przez ludzi zainteresowanych wyłącznie eksploatacją podbitego kraju.

Teza o chłopskiej krzywdzie jako przyczynie dzisiejszej uległości wobec wzorców Zachodu jest wygodnym wytrychem niewyjaśniającym jednak wszystkiego. Do potomków szlachty należy przecież przynajmniej spora część elit, które dzisiaj popierają demonstracje KOD, kibicują działaniu eurodeputowanych Platformy i SLD w Brukseli.

W KLASOWYM UŚCISKU

Nie mogło też zabraknąć w tej książce wątku żydowskiego, choć moim zdaniem to raczej zaczątek jakiejś osobnej książki, która mogłaby przypominać dzieło Aleksandra Sołżenicyna o relacjach rosyjsko-żydowskich: „Tysiąc lat razem".

To, co znamionuje ostatnie 80 stron książki, to albo bagatelizowanie sporu, który dzieli Polskę od 2015 r., albo ogólnikowość odpowiedzi na pytanie, co mamy robić dalej.

W opinii Ziemkiewicza Kaczyński na wzór dawnych arystokratów chce uszczęśliwić chłopstwo na siłę. I w opinii RAZ-a Kaczyński skazany jest na tę samą nieskuteczność. Autor „Chama niezbuntowanego" wskazuje, że strategicznym celem Polski powinno być dążenie, by „na wschód od Bugu" wszyscy chcieli robić z nami interesy, szukać u nas pracy itd. Jak tego dokonać, autor już nie wyjaśnia.

Książkę kończy dość zaskakującym w stosunku do wcześniejszej treści dictum: „Jednym z niezliczonych wykwitów pogardy dla »wiochy" w kraju, którego 90 proc. mieszkańców z niej się właśnie wywodzi, jest powiedzenie »cham ze wsi wyszedł, ale wieś z chama nie«. Zaskoczę państwa być może, ale wydaje mi się, że to celne podsumowanie polskiego narodowego »mentalu«. Pod warunkiem, że słowo »wieś« rozumiemy zgodnie z dziedzictwem Rzeczypospolitej Obojga Narodów jako miejsce, gdzie „opisać nawet nie można i jest to wprost nie do uwierzenia, jak się nad ludem pastwili. To właśnie pastwienie się jaśnie pana i jego ekonomów nad »chamem« wyjść z nas nie może".

Książka jest o tym, że „cham" powinien się zbuntować przeciwko temu, co chcą mu wciskać w jego życie mądrzejsi od niego. Tu się zgadzam. Ale już łatwości w wytłumaczeniu polskiego braku godności wobec perswazji obcych – jako jedynie efektu upośledzenia chłopów – nie kupuję. Dlatego „Chama niezbuntowanego" odstawiam na półkę z lekkim uczuciem niespełnienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„CHAM NIEZBUNTOWANY"
FABRYKA SŁÓW 2020

eprasa.pl f9fafe5dc1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Z biochemikiem Michaelem Behe'em
rozmawia dominikanin o. Michał Chaberek

Życie zostało zaprojektowane

O. MICHAŁ CHABEREK: Jest pan profesorem biochemii, autorem jednej z najbardziej znanych książek na temat biologii, jaka ukazała się w ostatnich dziesięcioleciach. Większość pana kolegów ze środowiska naukowego nie zgadza się jednak z pana tezami. O co chodzi?

PROF. MICHAEL BEHE: O to, czy zdecydowana większość ludzi na przestrzeni wieków miała rację (czy nie), twierdząc, że życie zostało celowo zaprojektowane i że możemy rozpoznać działanie jakiegoś umysłu, który stoi za życiem. Jestem biochemikiem, czyli naukowcem, który bada cząsteczki życia. Na przestrzeni ostatnich 60 lat nowoczesna nauka odkryła, że niezwykle złożone maszyny molekularne odpowiadają za proces życiowy komórki. W moich książkach opowiadam się za tezą, że tak eleganckie i celowo ukierunkowane systemy obecne u podstaw biologii dowodzą, że życie zostało przemyślnie zaprojektowane.

Zwolennicy darwinizmu wiedzą i uznają to, że większość dawnych przyrodników wierzyło w projekt obecny w przyrodzie. Jednak z reguły odpowiadają, że Darwin sprawił, iż nie musimy już odwoływać się do projektu, Stwórcy czy jakiejkolwiek religii. Czy ma pan jakieś argumenty na poparcie swojej tezy?

Teoria Darwina była jedynie propozycją. Darwin nie wykazał jej prawdziwości. Kiedy w połowie XIX w. pisał swoją książkę „O pochodzeniu gatunków", nauka była znacznie mniej rozwinięta niż dzisiaj. Istnienie takich rzeczy jak cząsteczki nie było pewne. Komórki, o których dzisiaj wiemy, że stanowią podstawę życia, uważane były za jednorodne kawałki galarety zwanej protoplazmą. Współczesna nauka wykazała, że cząsteczka DNA zawiera ogromne ilości informacji oraz że za działanie komórki odpowiadają maszyny molekularne bardziej złożone niż te, które są w stanie zbudować ludzie. W moich książkach pokazuję, dlaczego maszyneria molekularna nie może być wynikiem działania nierozumnego procesu, natomiast musi być celowo zaprojektowana.

Czy tego właśnie dotyczy określenie „czarna skrzynka Darwina"?

Tak, dla Darwina komórka była czarną skrzynką: spełniała fascynujące funkcje, takie jak metabolizm i reprodukcja, ale nikt w owym czasie nie wiedział, jak działa. Współczesna nauka ustaliła, że komórka działa, używając bardzo wyrafinowanej maszynerii molekularnej.

Na czym polega pana argument?

Jednym z największych problemów dla teorii Darwina jest to, co nazywam „nieredukowalną złożonością". Aby zrozumieć, o co chodzi, pomyśl o mechanicznej łapce na myszy. Zazwyczaj ma ona kilka części. Jeżeli brakuje jednej z nich, to łapka nie działa, jest zepsuta. To samo dotyczy maszynerii biologicznej – jeżeli potrzebuje ona wszystkich części, aby mogła działać, to nie mogła zostać wytworzona przez darwinowski stopniowy proces, w którym system jest polepszany na drodze wielu

eprasa.pl f9fafe5dc1

drobnych kroków. Stopnie pośrednie po prostu nie działałyby.

Debata na temat nieredukowalnej złożoności ciągnie się od czasu, gdy zaproponował pan tę koncepcję w 1996 r. Biologom zdaje się wystarczać rozwiązanie, które nazywają kooptacją i egzaptacją. Polega to na tym, że części molekularnej maszynerii, takiej jak np. wić bakteryjna, obecne są w różnych komórkach. Według tych biologów części te po prostu zebrały się razem, aby spełniać nową korzystną funkcję.

Jak wyjaśniłem w „Czarnej skrzynce Darwina", kooptacja nie pomaga. Części działające osobno i odgrywające inne role w komórce nie miałyby zdolności, aby przylgnąć do siebie w odpowiedni sposób, i dlatego nie działałyby. Można to porównać do sytuacji, w której zasadnicze części pułapki są oddzielone od siebie w garażu. Nie byłoby funkcji łapania myszy, zanim wszystkie części nie połączyłyby się w odpowiedni sposób, zatem problem nieredukowalności pozostaje. Nie zaobserwowano żadnych przykładów egzaptacji w laboratoryjnych eksperymentach ewolucyjnych. Zatem są to jedynie pobożne życzenia.

Od publikacji „Czarnej skrzynki Darwina" minęło już niemal 30 lat. Dla współczesnej nauki to cała epoka. Jaką nowość, pana zdaniem, przyniosły najnowsze odkrycia biologiczne w kontekście darwinizmu?

Najważniejszym odkryciem jest to, że obecnie można łatwo sekwencjonować całe genomy DNA. Ponieważ mutacje to zmiany w sekwencjach „liter" w DNA, ta nowa umiejętność daje nam znacznie lepszy wgląd w to, jak w istocie działa ewolucja darwinowska. Ogromnym zaskoczeniem, jak wykazuję w mojej najnowszej książce „Darwin się zwija" („Darwin Devolves"), jest to, że najbardziej korzystne mutacje, które rozprzestrzeniają się za pomocą naturalnej selekcji, w istocie psują i degradują pierwotne geny. Ten proces może odgrywać znaczącą rolę w adaptacji gatunków do środowiska, ale psucie i łamanie genów nie wyjaśnia, jak powstała maszyneria komórkowa.

Rozumiem, że nowe dane pokazują, iż mutacje z reguły mają destrukcyjny wpływ na komórkę, ale czasami zniszczenie jakiegoś elementu komórki może przypadkowo dać jej przewagę nad konkurencją.

Właśnie tak. Można się tu posłużyć analogią do samochodu. Załóżmy, że twój samochód musi przejechać nieco większy dystans na tej samej ilości benzyny, bo inaczej umrzesz. W jaki sposób można by szybko zmodyfikować samochód? Najszybsze zmiany, jakie można by wprowadzić, to pozbyć się zbędnego ciężaru – dodatkowych siedzeń, koła zapasowego, pokrywy bagażnika, maski. To poprawiłoby zużycie paliwa, ale stałoby się to poprzez zniszczenie samochodu. Te najbardziej pomocne mutacje w komórce działają właśnie w taki sposób.

MICHAEL J. BEHE „CZARNA SKRZYNKA DARWINA" FUNDACJA EN ARCHE

Większość biologów ewolucyjnych nie wydaje się zniechęcać w obliczu nowych odkryć. Czy dostrzega pan jakąś zmianę w środowisku naukowym? Czy neodarwinizm jest dzisiaj tak samo mocny jak, powiedzmy, w latach 50. czy 70.?

Neodarwinizm traci uznanie nawet wśród biologów, którzy odrzucają inteligentny projekt. Na przykład kilka lat temu prestiżowa Królewska Akademia Nauk zorganizowała w Londynie spotkanie na temat „nowych trendów w biologii ewolucyjnej", którego głównym celem było przyjrzenie się teoriom alternatywnym wobec teorii Darwina. Szacuję, że od jednej trzeciej do połowy biologów ewolucyjnych wątpi w to, że neodarwinizm może wyjaśnić cokolwiek znaczącego w kwestii życia. Jednak żadna nowa teoria nie przejęła roli darwinizmu, a moim zdaniem żadna z zaproponowanych hipotez alternatywnych nie jest nawet tak mocna jak nieadekwatna teoria Darwina. Żadna teoria nie wyjaśnia celowych struktur istniejących w organizmach żywych poza inteligentnym projektem.

Chciałbym jeszcze zapytać pana o osobistą podróż. Z reguły krytyka darwinizmu kojarzy się z fundamentalizmem protestanckim. Ale pan jest katolikiem od kołyski. Uczęszczał pan do szkół katolickich. W jednym z wywiadów powiedział pan, że w latach szkolnych nie napotkał żadnego sprzeciwu względem ewolucji. Jak to się stało, że dzisiaj jest pan jednym z najbardziej rozpoznawalnych krytyków neodarwinizmu na świecie?

Odpowiadając krótko, przeczytałem książkę biologa genetyka, który jest agnostykiem, wskazującą na liczne problemy neodarwinizmu. Byłem zszokowany z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że nigdy nie słyszałem naukowca krytykującego tę teorię, a po drugie dlatego, że nie miałem odpowiedzi na problemy, które on podniósł. Od tego czasu zainteresowałem się bardzo tematem ewolucji i szybko zorientowałem się, że neodarwinizm jest popierany przede wszystkim ze względu na intelektualny konformizm, a nie dowody.

Zatem tak wyglądał koniec zaufania do darwinizmu. Wydaje się jednak, że dużo łatwiej jest przestać wierzyć w neodarwinistyczny mechanizm ewolucji niż uznać inteligentny projekt jako pozytywną alternatywę. Jak doszedł pan do tej nowej teorii?

Właściwie to bardzo łatwo jest rozpoznać i uznać inteligentny projekt, przynajmniej jeżeli skupisz się na dowodach biologicznych. Projekt rozpoznajemy w sposób pozytywny, gdy zauważamy części, które zostały ułożone w jakimś celu. Na przestrzeni historii znacząca większość ludzkości uważała, że życie zostało zaprojektowane, ponieważ rzeczy ożywione w sposób oczywisty są ukierunkowane na cel i dostosowane do swoich środowisk. Skrzydła orłów, smukłe nogi jelenia, chwytne ręce człowieka i wiele innych cech mocno wskazuje na projekt. I im więcej wiemy o życiu – zwłaszcza na jego molekularnym poziomie – tym bardziej oczywisty jest projekt. Zatem gdy raz zdamy sobie sprawę z tego, że argumenty za neodarwinizmem są wielce przesadzone, szybko dochodzimy do wniosku, że przytłaczająca większość ludzkości na przestrzeni tysiącleci miała rację – życie istotnie wymaga celowego projektu.

Jak odpowiedziałby pan w skrócie tym, którzy mówią, że inteligentny projekt nie jest naukowy?

Nie zgadzam się. Wniosek o istnieniu inteligentnego projektu opiera się na dowodach empirycznych – strukturach fizycznych, które nauka odkryła w organizmach żywych, oraz na tym samym rodzaju rozumowania indukcyjnego, które normalnie stosujemy w nauce. To znaczy, kiedykolwiek widzimy części ułożone w jakimś celu, za każdym razem odkrywamy, że ich przyczyną był umysł. Skoro takie celowe układy znajdujemy wszędzie w organizmach żywych, to nasza konkluzja, że również za nie odpowiada umysł, jest uzasadniona. Gdy wniosek wynika ze szczegółowych badań naukowych i takiego samego sposobu rozumowania, to jest to nauka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f9fafe5dc1

Ksiądz Blachnicki podczas spotkania z kard. Karolem Wojtyłą w Krościenku w 1972 r. FOT. KS. JÓZEF GRYGOTOWICZ/AGRŚ-Ż

Rzucił Kremlowi rękawicę w twarz

gen. Andrzej Kowalski

Projekt nowelizacji ustawy o IPN zapobiegnie przedawnieniu zbrodni komunistycznych, takich jak prześladowanie ks. Franciszka Blachnickiego

Do Sejmu trafił pilny projekt nowelizacji ustawy o IPN, gdyż przy obecnym stanie prawnym zbrodnie komunistyczne mogą się przedawnić. Czy ten temat poruszy opinię publiczną? Czy trzeba zagwarantować nowy stan prawny i powiedzieć jasno: nie ma przedawnienia dla morderców komunistycznego reżimu?

Prawda wyzwala człowieka. Nie tylko w sensie religijnym. Jezus Chrystus, jedyna Prawda, przynosi prawdziwą wolność, ale w sensie poznawczym. Prawda chroni nas przed, czasem trwającym wiele lat, błądzeniem. Jak zrozumieć drogę, którą kroczy Polska, jeżeli nie możemy poznać prawdy o morderstwach, które zostały popełnione w czasie, gdy III RP istniała już w scenariuszu pisanym przez reformatorów z PZPR? Czy zabójstwa kapłanów u schyłku PRL też się przedawnią? A może tamte wydarzenia niosą w sobie jakąś do tej pory nieodkrytą tajemnicę?

Niestety, słabnie zrozumienie rozmiarów zbrodniczości systemu komunistycznego. Chociaż nie wymaga to wielkich poszukiwań, to niewiele osób zna skalę mordów z lat 1944–1953. Jeszcze mniej osób czytało stenogramy rozmów I sekretarza KC PZPR z Breżniewem, gdy najważniejszy polski komunista uniżonym tonem prosił o litość i zrozumienie u swoich czerwonych towarzyszy. Przez ostatnie 30 lat podjęto skuteczną próbę wdrukowania do zbiorowej świadomości uproszczonych obrazów. Tekst wypowiedziany w jednej ze scen filmu „Jack Strong" (reż. W. Pasikowski, Polska 2014), cyt. „nasze serca mają sowieckie mordy", nie stał się punktem odniesienia dla zdefiniowania ówczesnych zależności w bloku sowieckim. Wręcz przeciwnie, nieustannie oswajani jesteśmy z sympatycznym obliczem „rosyjskiej duszy". PRL kojarzona jest z filmami S. Barei, a nie z siepaczami J. Różańskim czy F. Szlachcicem. Skupiono uwagę publiczną na grupie esbeków, którzy w Departamencie IV MSW wykonywali „mokrą robotę", aby zatrzymać wszelkie dociekania. Czy właśnie w ten sposób zasłonięto prawdę? Czy nie jest to efektywna gra służąca zakamuflowaniu prawdziwego centrum decyzyjnego i głębszych scenariuszy?

Należy postawić pytanie, w jakich warunkach zewnętrznych, w tym ustrojowych, podejmowane były decyzje o zabójstwach politycznych. Fakty przemawiają jasno. W historii Kościoła katolickiego w Polsce są dwa okresy, w których mamy do czynienia z mordowaniem księży. Kilkanaście morderstw miało miejsce w okresie od grudnia 1944 r. do maja 1953 r. Był to czas wzmożonej walki moskiewskiej agentury z powstaniem antykomunistycznym i chodziło o utrzymanie władzy zdobytej dzięki Sowietom. Klika Bieruta musiała się wykazać, gdyż Stalin miał przygotowaną alternatywną ekipę do rządzenia na terenie Polski. Kto zrozumiał system komunistyczny, wie, że nie mówimy o jakichś jednostkowych wypadkach. Na całym świecie w ramach walki ideologicznej komunizm wymordował dziesiątki tysięcy księży i zakonnic, milczących ofiar totalitaryzmu. Z ideologicznego punktu widzenia największym zagrożeniem dla komunizmu była Ewangelia. Dobra Nowina o miłości Boga do człowieka, o Jezusie Chrystusie, który przynosi wolność, o niezbywalnej godności człowieka i wynikających z niej prawach, których nie można odrzucić.

Z perspektywy Kremla na każdym etapie dziejów polscy komuniści musieli doprowadzić do podporządkowania władzom partyjnym struktur Kościoła. W momencie nasilenia walki można było

eprasa.pl f9fafe5dc1

stosować wszelkie środki, więc morderstwa były nie tylko dopuszczalne, lecz także wręcz konieczne do sterroryzowania społeczeństwa.

Drugi okres uderzenia w Kościół katolicki, gdy znowu możemy mówić o kilkunastu ofiarach śmiertelnych, określają daty sierpień 1976 r.–lipiec 1989 r. Na pewno istnieje związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy utworzeniem w czerwcu 1977 r. Wydziału VI Departamentu IV MSW a nową falą brutalnych akcji przeciwko Kościołowi. Komunizm na świecie wszedł w nową epokę, gdyż musiał, ze względów strategicznych, udawać proces normalizacji w duchu KBWE. Musiały istnieć opozycja, pozory wolności wyznania, organizacje i subkultury młodzieżowe i studenckie, poluzowano cenzurę, co znalazło wyraz w nowych tytułach prasowych, programach TV i radia. Miało wyglądać jak na Zachodzie, ale należało utrzymać ścisłą kontrolę środowisk uznawanych przez władzę za najbardziej niebezpieczne.

Najgłębiej myślący kremlowscy stratedzy, zwłaszcza ci, którzy rozumieli, kto jest w Watykanie i jakie stanowi zagrożenie, przewidywali, że dojdzie do rozbudzenia nadziei społecznych i system sowiecki może się załamać. Dlatego aktywność Jana Pawła II pobudziła KGB do rozpoczęcia szerokiej współpracy z SB przeciwko Kościołowi katolickiemu w Polsce. Jak czytamy w „Archiwum Mitrochina" (wyd. Rebis, 2009, s. 787), PRL-owskie służby informowały o najważniejszych możliwościach agenturalnych w tym zakresie. Gdy 13 maja 1981 r. zamach na Jana Pawła II się nie powiódł, rozpoczęła się przyspieszona erozja bloku sowieckiego, a nadchodząca zmiana geopolityczna wymagała szczególnych działań osłonowych, także ze strony służb specjalnych PRL.

Może w tym kluczu trzeba ponownie odczytać nazwiska i daty śmierci kapłanów: Popiełuszki (†19.10.1984), Blachnickiego (†27.02.1987), Niedzielaka (†20.01.1989), Suchowolca (†30.01.1989), Zycha (†11.07.1989). Pomimo przeprowadzonych śledztw w każdym przypadku pozostały wiele pytań i świadomość, że nie wyjaśniono w pełni okoliczności oraz nie wskazano sprawców.

PRAWDA – KRZYŻ – WYZWOLENIE

Czy chodzi o śmierć kilku duszpasterzy, którzy – jak to się mówiło – „postawili się komunie"? Księży, którzy połączyli swoją posługę z Solidarnością? Te nazwiska coraz mniej mówią współczesnym, a przecież są to postacie, które ktoś sklasyfikował jako zagrożenie. Dlaczego? Po części odpowiedzią jest zdanie zaczerpnięte z archiwalnych akt SB o kryptonimie BAXIS, czyli efektów rozpracowania Chrześcijańskiej Służby Wyzwolenia Narodów, założonej przez ks. Franciszka Blachnickiego na przymusowej emigracji w RFN w czerwcu 1982 r. Oficerowie SB napisali, że celem ChSWN było: „Udzielenie pomocy narodom i osobom walczącym o prawa człowieka i niezbywalne prawa do suwerenności w obliczu zagrożenia ze strony sowieckiego totalitaryzmu". Co więcej, w książce „Prawda – Krzyż – Wyzwolenie" (Carlsberg 1985, s. 143) ks. Blachnicki napisał: „Dokonany w Jałcie podział Europy, który Polskę włączył do wschodniej, sowieckiej strefy wpływów, stworzył sytuację stałego napięcia pomiędzy wolą samostanowienia narodu zgodnie ze swoją tradycją, kulturą i duchowością a próbą narzucenia mu rzeczywistości całkowicie obcej, heterogennej, która pod obłudną nazwą Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oznaczała całkowitą hegemonię Związku Radzieckiego posługującego się swoim wyrafinowanym systemem totalnego ujarzmiania narodów".

Ktoś, kto wypowiadał takie słowa, nie tylko nie mógł przebywać w Polsce, lecz także niewątpliwie stał się obiektem rozpracowania przez służby wywiadowcze zarówno PRL, jak i całego Układu Warszawskiego. Komuniści doskonale zdawali sobie sprawę, z kim mieli do czynienia, był to człowiek wyjątkowego formatu, wielki wizjoner, całkowicie wyzwolony od strachu przed komunistycznym systemem. Wydział Informacji KC PZPR pisał o ks. Blachnickim: „Motywem inspirującym do działań opozycyjnych przeciwko państwu socjalistycznemu i zwalczaniu komunizmu są szerzone ewangeliczne idee o wolności jednostki, grupy i narodu. Z tych względów na czoło wysuwa się hasło suwerenności wewnętrznej, która jest niczym innym jak zawoalowaną koncepcją dywersyjnych ośrodków Zachodu o konieczności podtrzymania działalności niepodległościowej. Jest to koncepcja wyraźnie antyradziecka obliczona na rozbicie Związku Radzieckiego i całego Układu Warszawskiego".

28 lutego 1983 r. Naczelna Prokuratura Wojskowa w Warszawie wydała postanowienie o przedstawieniu ks. Blachnickiemu zarzutów działania na szkodę interesów PRL, a także postanowienie o tymczasowym aresztowaniu i rozesłano list gończy. Skala działań przeciwko ks. Blachnickiemu nawet w tamtych czasach była wyjątkowa, a śledztwo zostało zakończone dopiero w 1992 r.

POSTSOVIETICUM KS. BLACHNICKIEGO

Nie mogli pozwolić mu działać. Zasygnalizuję dwie perspektywy, które z pewnością roiły się w głowach ówczesnych strategów. Perspektywa twardogłowych streszczała się w konsekwentnym postrzeganiu dywersji ideologicznej jako największego zagrożenia dla socjalizmu. Pomimo powrotu Sacharowa do Moskwy w grudniu 1986 r. struktury wywiadowcze KGB, pod dowództwem W. Kriuczkowa, miały ciągle konfrontacyjny kurs. Pamiętać należy, że wydarzenia z Polski z lat 1980–1981 odbiły się szerokim echem w sowieckim kierownictwie partyjnym i postrzegane były jako największy wewnętrzny kryzys imperium w dziejach powojennych. A polski ksiądz nie tylko zbierał w Carlsbergu imigrantów z ZSRS, lecz także jeszcze wygłaszał referaty takie jak na kongresie w Bad Homburg 27 kwietnia 1985 r., gdzie m.in. powiedział: „Współczesna historia, zwłaszcza wydarzenia mające miejsce w ubiegłych latach w Polsce, dostarczają mnóstwa przykładów i dowodów na to, że otwiera się tutaj nowa, skuteczna droga do wyzwolenia narodów spod totalitarnego zniewolenia, droga do nowego ładu – właśnie postulowanego i upragnionego przez setki milionów ludzi postsovieticum". Pojęcie „postsovieticum", jako nowy system, który zapanuje na terenach Europy Środkowo-Wschodniej po upadku ZSRS, miało szczególnie złowrogi wydźwięk dla kierownictwa KGB. Jak rękawica rzucona w twarz imperium przez jednego człowieka.

Skrzydło partyjnych reformatorów, w atmosferze Gorbaczowskiej pierestrojki, także musiało snuć strategiczne rozważania i dostrzegać problemy stojące przed nim w realizacji zamierzonych scenariuszy kontrolowanego oddania władzy. W Polsce, po amnestii z czerwca 1986 r., były pierwsze symptomy nadchodzącej zmiany. Władza przygotowywała grunt do reform systemowych i trzeba było w planach także uwzględnić obecnego największego moralnego wroga, a był nim Kościół katolicki. Musiało być stawiane pytanie o głębokość

eprasa.pl f9fafe5dc1

zmian w hierarchii Kościoła w Polsce, gdy PZPR nie będzie już mogła blokować papieskich nominacji. Może jest to kwestia czysto teoretyczna, ale warto dociekać, jaki byłby kształt „dialogu" z hierarchią, gdyby biskupami zostali ci, których po roku 1989 zabrakło? Czy SB brała to pod uwagę w planowaniu operacji? Czy tak myślano o zamordowanych kapłanach? Czy ktoś z badaczy w IPN postawił taką hipotezę?

Ponowne rozpoczęcie śledztwa w sprawie przyczyn śmierci ks. Blachnickiego jest bardzo dobrą wiadomością. Lista czynności niewykonanych przy poprzedniej próbie wyjaśnienia okoliczności jego śmierci jest bardzo długa. Akta śledztwa są twardym dowodem na opieszałość działania i – w najlepszym przypadku – brak wyobraźni, a może niezrozumienie kontekstu dziejowego. Moją ocenę formułuję po lekturze obu tomów akt głównych prokuratora.

SFUSZEROWANE ŚLEDZTWO

Lista świadków przesłuchanych przez prokuratora powinna zawierać co najmniej kilkadziesiąt nazwisk, w tym oficerów SB znających sprawę. Można było zwrócić się o pomoc do archiwów co najmniej kilku zachodnich służb specjalnych, o których wspominali świadkowie w swoich zeznaniach. Przywołana w ostatnich artykułach prasowych (P. Woyciechowski, „Do Rzeczy" 22/2020) postać Klausa Kurona, pracownika kontrwywiadu RFN, odpowiedzialnego m.in. za werbowanie i odwracanie wschodniej agentury, który przez wiele lat był agentem KGB, potwierdza, że należało pójść w tym kierunku. Nawet akta IPN nie zostały dogłębnie przeanalizowane, a braki w teczkach (np. w głównej teczce sprawy brakuje ok. 40 stron dokumentów z czasu, kiedy umarł ks. Blachnicki) świadczą o skrupulatnym ukryciu zakresu zadań, stosowanych metod i aktywów wykorzystanych w działaniach przeciwko ks. Blachnickiemu. Nikogo nie chcę urazić, ale niezbyt dobrze świadczy o staranności pracy liczba błędów w użyciu specyficznego dla omawianego środowiska zespołu pojęć i nazw własnych.

Można teraz po latach przypuszczać, że sprawnie zorganizowane i dobrze przygotowane, wykorzystujące specjalistyczną wiedzę przesłuchania świadków dałyby pogłębiony obraz operacji SB i innych komunistycznych służb specjalnych wobec ks. Blachnickiego. Nawet gdy główny agent SB ps. Yon (Andrzej Gontarczyk) zasugerował, że SB miała inne źródła wiedzy o ks. Blachnickim, prokurator nie sprawdził w zasobach IPN, czy faktycznie tak było. W aktach wyraźnie zapisane jest stwierdzenie oficerów SB, że zamrozili kontakt z Gontarczykami, gdyż nastąpiło aresztowanie agenta „Blessar" (Leszek Bobrowski). Czy był to agent w jakikolwiek sposób powiązany z tym środowiskiem? Czy miał wiedzę o Gontarczykach? Czy jego aresztowanie mogło naprowadzić na parę agentów w Carlsbergu? Ten wątek nie został sprawdzony. Zgromadzone protokoły przesłuchań świadków są w dużej części tłumaczeniem przysięgłym (odniosłem wrażenie, że tłumacz słabo znał zakres słownictwa stosowanego w sprawach śledczych) akt pochodzących z prokuratury w Koblencji z niemieckiego śledztwa w latach 1988–1989. Jest to materiał bardzo lapidarny, chociaż nawet w tym przypadku nie wszystkie wątki zostały przez prokuratora podjęte. Na przykład jeden ze świadków zeznał, że Gontarczyk kopiował nagrania z różnych spotkań – co się działo z tymi nagraniami? Nie było żadnej próby ponownego przesłuchania tych osób. Nie podjęto próby odtworzenia listy osób, które w dniu śmierci ks. Blachnickiego były w Carlsbergu i spotkały się z nim. Największy zarzut dotyczy zaś braku decyzji o pozyskaniu z grobu ks. Blachnickiego próbek do badań toksykologicznych w celu ujawnienia i identyfikacji ewentualnych pozostałości po truciźnie. Chociaż taka sugestia znajduje się w opinii Zakładu Medycyny Sądowej Śląskiej Akademii Medycznej z Katowic.

Nie ma żadnego śladu świadczącego o chociażby próbie zbadania przez prokuratora okoliczności kryjących odpowiedź na pytanie, czy oficerowie Wydziału XI Departamentu I MSW prowadzili operacje wspólne (w jakimkolwiek stopniu) z Pierwszym Zarządem Głównym KGB (np. Wydział XI PZG KGB). Pobieżna lektura akt wskazuje, że wątek zaangażowania (w jakimkolwiek stopniu) strony sowieckiej musiał istnieć, gdyż działalność ks. Blachnickiego zwrócona była także do obywateli republik sowieckich, wiadomo także, że środowiska emigracyjne Litwinów, Łotyszy, Ukraińców i Słowaków miały kontakt z Carlsbergiem. Czy polskie MSW nie poinformowało o tym towarzyszy z Moskwy i Pragi/Bratysławy, czy prowadzono jakąś koordynację działań, a może wspólne rozpracowanie?

W świetle materiałów wywiezionych na Zachód przez przywołanego powyżej Mitrochina nie ma żadnych wątpliwości, że ekipa odpowiedzialna w PRL za bezpieczeństwo do roku 1980 została po druzgocącej opinii warszawskiej rezydentury KGB wymieniona na ludzi skutecznych i, co najważniejsze, bardziej zaufanych. Znając praktyki stosowane przez KGB, możemy być pewni, że nawiązano także nieformalne relacje bezpośrednio z rezydenturą KGB w Warszawie – Rakowiecka oraz Łubianka, poszczególne departamenty MSW. Moskwa musiała mieć możliwość skutecznego działania w Polsce, a nie zdawać się w sprawach strategicznych na nieudolnych polskich towarzyszy.

ZADANIA DLA ABW I SKW

Pamiętajmy, że było to świeżo po ucieczce Kuklińskiego. Wydarzenie to zachwiało systemem, dla Sowietów był to argument ostateczny do przeprowadzenia głębokich zmian kadrowych. Nazwiska oficerów nowej ekipy wchodzącej na Rakowiecką wraz z Kiszczakiem powinny być pod tym względem analizowane, gdyż pośród nich muszą być ci, którzy w pełni świadomie współpracowali z KGB. Odpowiedzialność prawna za to im nie grozi, gdyż Polska jest jednym z niewielu państw, w których szpiegostwo może się przedawnić. Niemniej jednak powinien być to temat do zbadania przez ABW i SKW.

W sprawie ks. Blachnickiego stoimy przed pytaniem, czy jego śmierć była efektem bezpośredniego działania komunistycznych służb bezpieczeństwa. Trzeba się niestety liczyć z tym, że upływ czasu mógł uniemożliwić zebranie dowodów. Oby nowe śledztwo pozwoliło na znalezienie wiarygodnej odpowiedzi. Na koniec zacytuję fragment przemówienia inauguracyjnego Sejmu IX kadencji. Marszałek senior Antoni Macierewicz powiedział: „Odpowiedzialność za ostateczne uporanie się z ciemną spuścizną komunizmu spada na nas". Miejmy nadzieję, że nie dojdzie do przedawnienia zbrodni komunistycznych, a ściganie ich sprawców będzie miało wysoki priorytet.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest od 1994 r. oficerem kontrwywiadu i wywiadu, w tym w latach 2015–2020 szefem Służby Wywiadu Wojskowego, a do listopada 2007 r. pełnił obowiązki zastępcy szefa Kontrwywiadu Wojskowego. Od 1984 r. członek Ruchu Światło-Życie.

eprasa.pl f9fafe5dc1

DO V EDYCJI KONKURSU

ZAPRASZA PARTNER GŁÓWNY

ORLEN

100% polski produkt

POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

eprasa.pl f9fafe5dc1

FOT. THE BRITISH LIBRARY BOARD

Targowisko sensacji

Łukasz Czarnecki

Pościg za sensacją jest tak stary jak same media. Jak niewiele internetowe treści różnią się od tych sprzed lat, łatwo można się przekonać, patrząc na popularny w XIX stuleciu brytyjski magazyn „The Illustrated Police News"

Ukazujące się w latach 1864–1938 „The Illustrated Police News" (dalej zwać je będziemy „IPN") było jednym z najpoczytniejszych tytułów imperium brytyjskiego. W samym roku 1886 przeciętny nakład wynosił 300 tys. egzemplarzy, które kupowano nie tylko nad Tamizą, lecz także w tak odległych zakątkach imperium jak Kanada i Australia. „IPN" miały również wiernych czytelników wśród obywateli USA.

PAN PURKESS I JEGO GAZETY

Przeciwnicy wieszali na tygodniku psy, oskarżając go o demoralizację społeczeństwa, ale wieloletni wydawca tytułu George Purkess odrzucał owe kalumnie, dowodząc, że celem jego periodyku jest właśnie edukowanie klas niższych. Nie były to wyłącznie sofistyczne wykręty, bo firma Purkessa wydawała też magazyn „Family Doctor", zawierający porady zdrowotne i propagujący zasady higieny. Na łamach „FD" wydawca prowadził krucjatę przeciwko gorsetom, słusznie uważając je za niebezpieczne dla kobiecego zdrowia. Purkess był zaangażowany w sprawy społeczne. Walczył nie tylko ze zbyt ciasną fiszbinową bielizną, lecz także z alkoholizmem, przemocą wobec dzieci i okrutnym traktowaniem zwierząt – wszystkie te tematy często znajdowały miejsce na stronach „IPN".

Charakterystycznymi cechami „IPN" były niska cena (przez większość czasu jej istnienia gazeta kosztowała zaledwie pensa) oraz bogata oprawa graficzna. Dobrej jakości drzeworyty przykuwały wzrok czytelnika. Redakcja zatrudniała własnych rysowników, których, gdy działo się coś elektryzującego, natychmiast posyłała na miejsce akcji, by czym prędzej uwiecznili przebieg sensacyjnych wydarzeń. Swoje prace na adres redakcyjny przysyłać mogli także graficy amatorzy – jeśli były dobrze wykonane i ilustrowały ciekawe wydarzenia, niejednokrotnie trafiały one na łamy periodyku, czyniąc z ich autorów lokalne sławy. Co ciekawe, „IPN" nie zatrudniały za to żadnych reporterów i wszystkie ich teksty były tworzone na podstawie informacji przepisanych z innych gazet! Nie powinno nas to jednak dziwić, gdyż w epoce wiktoriańskiej o prawach autorskich nikt jeszcze nie słyszał i poszczególne tytuły prasowe bezczelnie ściągały od siebie nawzajem.

Morderstwa do dziś mocno poruszają czytelników. Nie inaczej było w XIX stuleciu.

KOLEJOWY MORDERCA

16 lipca 1881 r. z pierwszej strony „IPN" na czytelników łypał ponuro wychudzony człowieczek o szczurzej twarzy i cienkich wąsikach. Sportretowany jegomość nazywał się Percy Lefroy Mapleton i od ponad dwóch tygodni był najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Wielkiej Brytanii. Ciążył na nim zarzut zamordowania Fredericka Isaaca Golda, którego ciało znaleziono 27 czerwca na torach kolejowych wiodących z Londynu do Brighton. Mapleton był jedynym podejrzanym w sprawie. Czujność policji wzbudziło to, że gdy poszukiwany wsiadł do pociągu, którym podróżował razem z ofiarą, był całkowicie zdrowy, ale kiedy wysiadł na ostatniej stacji, obficie krwawił z rany na głowie. Stróże prawa szybko dodali dwa do dwóch i uznali, że nabyte w trakcie podróży obrażenia zadał Percy'emu Lefroyowi walczący o życie Gold. Domniemany morderca zapadł się pod ziemię. Siły policyjne w całym kraju postawiono na nogi, a do pościgu za podejrzanym włączyła się prasa. Podobiznę poszukiwanego opublikował nawet stroniący od ilustracji „Daily Telegraph".

Dzięki szeroko zakrojonej akcji poszukiwawczej Mapleton został szybko złapany. W trakcie procesu uznano go za winnegom zbrodni i skazano na powieszenie. 3 grudnia czytelnicy „IPN" dowiedzieli się o wykonaniu egzekucji z umieszczonego na pierwszej stronie artykułu opatrzonego grafiką przedstawiającą ostatnie chwile mordercy.

Egzekucje zbrodniarzy były w XIX w. uważane przez opinię publiczną za doskonałą rozrywkę. Do połowy stulecia każdorazowa wykonywana w Wielkiej Brytanii kara śmierci gromadziła tłumy żądnych sensacji gapiów, którzy traktowali ją niczym projekcję kinowej superprodukcji. Z udziału publiki zrezygnowano dopiero w roku 1868, ku wielkiemu niezadowoleniu redakcji „IPN", która

eprasa.pl f9fafe5dc1

umieściła wówczas w swym periodyku następujące zdanie: „Pozostaje mieć nadzieję, że nie doczekamy czasów, kiedy kara śmierci zostanie zakazana". Gdy Brytyjczyków z klas niższych pozbawiono jednej z ich ulubionych rozrywek, w sukurs przyszły im gazety takie jak „IPN", na łamach których umieszczano relacje z egzekucji szczególnie osławionych zbrodniarzy.

WIKTORIAŃSCY KANIBALE

Opisany wcześniej przypadek był dosyć typowy, jednakże w XIX w. popełniano też zbrodnie o wiele bardziej makabryczne. O jednej z nich czytelnicy „IPN" mogli przeczytać w numerze z 15 listopada 1884 r. I chociaż historia ta wydaje się żywcem wzięta z niskobudżetowego horroru, wydarzyła się naprawdę, a swój finał znalazła w sądzie.

5 lipca 1884 r. żeglujący po Atlantyku jacht „Mignonette" poszedł na dno. Czteroosobowej załodze dowodzonej przez kapitana Toma Dudleya udało się opuścić tonącą jednostkę w szalupie ratunkowej. Przez trzy tygodnie nieszczęśni rozbitkowie błąkali się po oceanie. Kiedy nareszcie zostali wyratowani z opresji przez załogę przepływającego statku „Montezuma", okazało się, że w międzyczasie jeden z członków załogi „Mignonette" – 17-letni chłopiec okrętowy Richard Parker – gdzieś przepadł. Indagowany o losy młodzieńca kapitan Dudley wyznał w końcu, że wraz z innym z marynarzy, Edwinem Stephensem, kilka dni wcześniej... zabili i zjedli nastolatka.

Wybuchł skandal. Kapitan bynajmniej nie spotkał się jednak z powszechnym potępieniem, czego dowodem jest choćby grafika ilustrująca opublikowaną na łamach „IPN" relację z jego procesu. Dudley, było nie było morderca i ludojad, przedstawiony został w heroicznej pozie, w pełnym kapitańskim uniformie, dzierżący w dłoni lunetę i wpatrzony dumnie w dal. Wypisz, wymaluj bohater! Do całej sprawy ambiwalentny stosunek miał nawet sąd, o czym świadczy choćby jego werdykt – Dudleya i Stephensa skazano co prawda na karę śmierci, ale wyrok natychmiast zmieniono na sześć miesięcy więzienia. Pozostaje się tylko zastanawiać, jak wyglądałby wyrok, gdyby to nie kapitan zjadł nastoletniego chłopca okrętowego, tylko vice versa – najprawdopodobniej nieszczęsny młodzieniec nie uniknąłby stryczka. Co prawda prawo w wiktoriańskiej Anglii w teorii było dla wszystkich jednakie, ale podobnie jak u Orwella w tamtejszych sądach byli równi i równiejsi...

PÓJDŹ DZIECIĘ, JA CIĘ...

Kolejna historia z łamów „IPN", którą pragnę tu przytoczyć, nie dotyczy już morderstwa, lecz bezprzykładnego aktu okrucieństwa, o którym czytelnicy periodyku mogli się dowiedzieć z numeru wydanego 20 sierpnia 1881 r.

Czarnym charakterem opowieści był mieszkający w hrabstwie Devon William Stamp, wdowiec wychowujący samotnie dziewięcioro dzieci. Owej feralnej niedzieli, która miała przynieść mu niesławę w całej Wielkiej Brytanii, posłał swojego najstarszego syna – 14-letniego George'a – na nabożeństwo do pobliskiego kościoła. Chłopiec w drogę wyruszył i przepadł jak kamień w wodę. Do domu wrócił dopiero około godziny dwudziestej. Wówczas rozpętało się piekło.

Wściekły ojciec zawlókł nastolatka do spiżarni, gdzie powiesił go za rękę na sterczącym z sufitu haku do wieszania tusz mięsa! Nieszczęsny młodzieniec dyndał tak, ledwo mogąc sięgnąć palcami stóp podłogi, a jego stawy rozrywał nieopisany ból. Tatuś z piekła rodem, pozostawiwszy zaś swojego pierworodnego w tym stanie, udał się na spoczynek.

Szczęśliwie dla George'a jego rozdzierające nocną ciszę wrzaski zaalarmowały sąsiadów. Ci natychmiast pośpieszyli do domostwa Stampów i podjęli próbę wyperswadowania żywicielowi rodziny jego kontrowersyjnych metod wychowawczych. Obudzony (swoją drogą ciekawe, jak udało mu się zasnąć przy akompaniamencie krzyków syna) i zły Stamp kazał im się wynosić do stu diabłów. Lepiej zrobiłby jednak, wysłuchawszy na spokojnie ich argumentów, bo sąsiedzi co prawda rzeczywiście sobie poszli, ale krótko potem nadjechała policja, która wyratowała chłopca z opresji. W tarapaty wpadł za to ojczulek, który trafił przed sąd i został skazany na zapłatę grzywny. Co prawda była ona niewielka, ale jeśli weźmiemy pod uwagę panujący w epoce wiktoriańskiej rodzaj moralności, możemy przypuszczać, że mając na koncie prawomocny wyrok, pan Stamp był przez resztę życia wytykany w swojej okolicy palcami.

EPILOG

George Purkess zmarł 10 grudnia 1892 r. Po jego śmierci gazeta przeszła w cudze ręce – wdowa nie była zainteresowana jej prowadzeniem, zresztą nie musiała zajmować się pracą zarobkową – zmarły pozostawił małżonce wystarczająco dużo pieniędzy, by zabezpieczyć byt jej i ich córki.

Dziedzictwo Purkessa było niezwykłe – ten człowiek, startujący z pozycji członka niższej klasy średniej (jego ojciec miał sklepik z książkami), stworzył jedno z najważniejszych brytyjskich mediów epoki wiktoriańskiej. Wydawca „IPN" awansował nie tylko materialnie (w chwili śmierci był milionerem), lecz także społecznie, czego dowodem było przyjęcie go do dwóch lóż masońskich, w których pełnił wysokie funkcje.

„IPN" ukazywały się aż do roku 1938, kiedy to zmieniły nazwę na „The Sporting Record" i zostały przekształcone w magazyn sportowy. Nowa inkarnacja periodyku wychodziła do roku 1980, wraz z jej zamknięciem zaś ostateczny kres znalazła prasowa odyseja rozpoczęta pod rządami królowej Wiktorii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f9fafe5dc1

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Na Kijów!

Według historiografii komunistycznej wyprawa kijowska z kwietnia 1920 r. była dowodem na agresywny polski imperializm. Sowieccy badacze twierdzili, że to Józef Piłsudski zaatakował „miłujących pokój" bolszewików. A nie odwrotnie.

W tej optyce marsz armii Tuchaczewskiego na Warszawę był tylko odpowiedzią na wcześniejszą polską „agresję" na Ukrainę. Do dzisiaj podobne tezy można niestety spotkać w książkach zachodnich autorów.

W rzeczywistości wojna polsko-bolszewicka zaczęła się już w styczniu 1919 r. od ataku czerwonych na Wilno. Sama wyprawa kijowska nie miała zaś na celu podboju, ale wyzwolenie Ukrainy spod bolszewickiego jarzma. Stworzenie suwerennego państwa ukraińskiego połączonego więzami federacyjnymi z Polską. A poza tym było to uderzenie wyprzedzające.

„Dzisiaj wiemy, że prawdopodobnie już w listopadzie 1919 r. Borys Szaposznikow, były pułkownik armii carskiej i absolwent Akademii Sztabu Generalnego, otrzymał polecenie opracowania planu ofensywy na Warszawę. Plan Szaposznikowa zakładał uderzenie głównych sił Frontu Zachodniego Michaiła Tuchaczewskiego na Białorusi, zniszczenie armii polskiej w bagnach poleskich i marsz na stolicę. W tym czasie Front Południowo-Zachodni miał prowadzić ofensywę na Lwów i w decydujących dniach kampanii wesprzeć częścią sił wojska Tuchaczewskiego pod Warszawą. Plan został zaakceptowany na konferencji w Smoleńsku w marcu 1920; ofensywa miała ruszyć latem. Naczelny Wódz trafnie przypuszczał, że bolszewicy szykują wielką ofensywę przeciwko Polsce".

To słowa ze wstępu prof. Janusza Odziemkowskiego do pięknego – wydanego przez Kartę – albumu „Wyprawa kijowska". Niesamowite zdjęcia, mapy i plakaty z epoki zostały uzupełnione fragmentami tekstów źródłowych. Dzięki nim możemy spojrzeć na wyprawę zarówno z perspektywy czołowych statystów (Piłsudskiego, Petlury i Lenina), jak i szeregowych żołnierzy.

Po obejrzeniu albumu trudno uciec od smutnej refleksji. Jaka szkoda, że naszym przodkom 100 lat temu się nie udało! Jaka szkoda, że wyprawa kijowska zakończyła się fiaskiem! ©℗

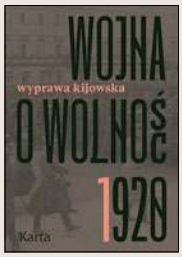

★★★★★★

AGNIESZKA KNYT
„WOJNA O WOLNOŚĆ 1920, T. 1. WYPRAWA KIJOWSKA"
KARTA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wawelskie tajemnice

Każde miejsce zasiedlane od setek czy tysięcy lat ma swoje legendy. Nie inaczej jest ze wzgórzem wawelskim, a jedną z legend jest sprawa słynnego czakramu, który przyciąga wyznawców spragnionych skorzystania z tajemniczej energii pochodzącej z głębi Ziemi. Dlatego normalnym widokiem na zamkowym dziedzińcu bywa grupa kilku osób zastygłych bez ruchu przy ścianie w jednym z jego rogów. Także autor niniejszego felietonu usiłował kiedyś za pomocą nieznanej energii podleczyć swój kontuzjowany kręgosłup, jednak efektów nie było żadnych i zdecydowanie lepiej sprawdziła się konwencjonalna rehabilitacja.

Jedną z legend Wawelu jest sprawa słynnego czakramu

Wawel to jednak nie tylko czakram, lecz także legenda o oddychającym grobowcu Władysława Warneńczyka i klątwie Kazimierza Jagiellończyka, która w latach 70. ubiegłego stulecia miała zgubić naukowców badających jego miejsce wiecznego spoczynku. Mniej znana jest pierwsza z tych historii. Jak wiadomo, król Polski i Węgier, Władysław III, za podszeptem papieskiego legata, złamał umowę z sułtanem (bardzo zresztą korzystną) i wznowił wojnę z Turkami, by polec w bitwie pod Warną. Wprawdzie jego ciała nigdy nie odnaleziono, jednak na początku XX w. uznano, że warto, by władca miał w katedrze wawelskiej swój nagrobek (oczywiście symboliczny). Miał on przypominać o młodym królu, który zginął podczas wojny z niewiernymi.

Grobowiec wykonał w Rzymie rzeźbiarz Antoni Madeyski na zlecenie kard. Jana Puzyny. Monument powstał z czerwonego marmuru i brązu, uroczyście odsłonięto go 7 lipca 1906 r. Nagrobek nie odróżnia się specjalnie od innych w katedrze, gdyż jego twórca zaprojektował go w stylu historyzującym, podkreślając cnoty Warneńczyka jako rycerza i krzyżowca. Miało to być elementem bohaterskiej legendy otaczającej postać młodego króla.

Z czasem jednak zaczęto opowiadać, że figura Władysława Warneńczyka na pustym sarkofagu chwilami poruszała się w taki sposób, jakby rzeźba oddychała. Niektórzy uznali to za symbol pokuty króla za złamanie umowy z sułtanem. Chociaż nie wiadomo, kto właściwie widział „oddychający grobowiec", legenda zaczęła żyć własnym życiem. Podobnie jak sprawa „klątwy" jego brata, jednak ten drugi temat to zdecydowanie poważniejsza sprawa. Zasługująca zresztą na oddzielny felieton, który niebawem niżej podpisany ma zamiar przedstawić czytelnikom. ©℗

eprasa.pl f9fafe5dc1

FOT. ADOBE STOCK

NIEMIECKA PANIKA OWOCOWA

Akcja specjalna na poczcie w Bawarii. Z jednej z paczek wydobywał się podejrzany zapach. Interweniowały policja i straż pożarna. Ewakuowano 60 pracowników Bayerische Rundfunk. Poczuli się chorzy, 12 otrzymało pomoc medyczną. Okazało się, że w podejrzanej paczce jeden Niemiec wysłał koledze owoce duriana – wydzielają tak nieprzyjemny zapach, że w Tajlandii nie można ich podawać ani wnosić do hoteli czy przewozić transportem publicznym.

PODŁĄCZYLI KLIMATYZATOR ZAMIAST RESPIRATORA

Niektórzy mają podwójnego pecha – tak jak pacjent zakażony koronawirusem, którego leczono w szpitalu w Kocie w Indiach. Nie dość, że chorobę przechodził ciężko i musiał być podłączony do respiratora, to jeszcze odwiedziła go rodzina, która przyniosła przenośny klimatyzator. Członkowie rodziny podłączyli klimatyzator do sieci, odłączając wtyczkę respiratora. Ten pracował aż do wyczerpania baterii, ale wkrótce stanął. Stan pacjenta się pogorszył, wezwani lekarze nie uratowali mu już życia.

HISTORIA SOWIECKIM PIÓREM PISANA

Rosyjska bulwarówka „Komsomolskaja Prawda" przypomniała wszystkim Rosjanom, kto tak naprawdę najechał w 1941 r. na ZSRS. Nie zgadną państwo. Otóż biednych Sowietów napadli nie Niemcy, ale „wiele krajów zachodnich". A żeby nie było niedomówień, padło nawet określenie „hitlerowska Unia Europejska". Gazeta napisała, że tylko pięć krajów nie uczestniczyło w marszu na wschód (Szwecja, Szwajcaria, Portugalia, Turcja i Hiszpania). „A reszta Europy umieściła czy to swoje hordy, czy sprzęt we wspólnym szyku z Hitlerem" – twierdzi gazeta. Wśród krajów, które „pomagały Hitlerowi", wymieniono też oczywiście Polskę.

WUJEK BEN MUSI ZNIKNĄĆ

Po zabójstwie czarnoskórego w USA znikają nie tylko pomniki, lecz także logotypy znanych produktów. Firma sprzedająca ryż pod marką Uncle Ben's zapowiedziała, że przestanie drukować rozpoznawalny znak z czarnoskórym mężczyzną – choć upamiętniał on, jak tłumaczy firma, „ukochanego szefa kuchni i kelnera z Chicago, Franka Browna". Problemem może być też samo słowo „wujek", którym w czasach segregacji rasowej określano czarnoskórych, by nie mówić do nich „pan". Nie wiadomo, kto będzie na nowym logo. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

W obronie szatana

Spójrzcie! Tak wygląda szatan! – usłyszałem przed kilku laty, gdy jako korespondent szwendałem się po nowojorskim Bronxie. Chodziło niestety o mnie – jedynego białego w okolicy. Jak się dowiedziałem wówczas od czarnoskórego ulicznego kaznodziei, Jezus był czarny, a szatan jest biały. I choć ja być może nim nie jestem, to jednak knowania złego sprawiły, że na obrazach od wieków wszystko przedstawiane jest odwrotnie.

W tę wersję historii świata wierzy zapewne też brytyjska aktywistka Bumi Thomas, która wraz z lewicowymi koleżankami nawołuje do kompletnego przeprojektowania Orderu św. Michała i św. Jerzego. To odznaczenie państwowe przyznawane przez królową wyróżniającym się dyplomatom. Awers ustanowionego w 1818 r. orderu przedstawia św. Michała Archanioła depczącego szatana. Problem: anioł jest biały, a szatan czarny.

„To potwornie obraźliwy obrazek, a także przypomnienie niedawnego morderstwa George'a Floyda przez białego policjanta, dokonanego w podobny sposób, jak ten zaprezentowany na orderze" – czytamy w petycji urażonych faktem istnienia tego „rasistowskiego orderu". Nie wiem, skąd u niektórych tak wielka potrzeba robienia idoli z kryminalistów, ale gdyby to Floydem zastępować św. Michała, to uczciwie byłoby oprócz skrzydeł (białych? czarnych?) domalować jeszcze wizerunek ciężarnej kobiety, której Floyd przyłożył niegdyś broń do brzucha podczas włamania. Jako kobieta, która nie chciała oddać czarnemu swego majątku, idealnie nadaje się dziś na wzór szatana dla lewicowych panienek.

Mniej zrozumiały jest czyn dokonany przez aktywistów ruchu Black Lives Matter w niderlandzkim kościele. Ofiarą profanacji padł tam obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, czyli Czarnej Madonny. To czarna też zła? ©℗

eprasa.pl f9fafe5dc1

Witold Repetowicz

Izrael szykuje się do wcielenia w życie „planu pokojowego" zięcia amerykańskiego prezydenta poprzez aneksję znacznej części terytorium Palestyny

Aneksja Palestyny?

Izraelski emerytowany gen. Amos Gilead, pełniący w przeszłości ważne funkcje w wywiadzie wojskowym, ostrzegł, że aneksja terytoriów palestyńskich na Zachodnim Brzegu będzie miała katastrofalne skutki dla samego Izraela, nawet jeśli nie będą one widoczne od razu. W rozmowie z portalem Al-Monitor stwierdził, że obecnie wewnętrzna sytuacja bezpieczeństwa Izraela jest najlepsza w jego historii, co wynika z intensywnej współpracy z palestyńskimi służbami bezpieczeństwa oraz Jordanią. Według Gileada to wszystko jednak zostanie zaprzepaszczone, jeśli dojdzie do aneksji – Palestyńczycy zerwą współpracę, a sytuacja w Jordanii ulegnie destabilizacji. Zyska za to Iran, a w Izraelu znacznie wzrośnie zagrożenie terrorystyczne.

Gilead nie jest odosobniony w swej krytyce aneksji. Sondaże natomiast nie pozwalają na jednoznaczne wyciągnięcie wniosków co do poparcia dla tego kroku. Na początku czerwca badanie Geneva Institute wykazało, że tylko 32 proc. Izraelczyków jest za tym posunięciem, a aż 42 proc. przeciwko. Inny sondaż przeprowadzony w maju przez Izraelski Instytut Demokracji wykazał aż 52-procentowe poparcie dla aneksji wśród żydowskich obywateli Izraela i tylko 28-procentowy sprzeciw w tej grupie. Inne proporcje były oczywiście wśród arabskiej mniejszości mającej obywatelstwo.

30 PROC. ZACHODNIEGO BRZEGU

Głównym zwolennikiem aneksji jest oczywiście izraelski premier Beniamin Netanjahu, który obecnie cieszy się rekordową popularnością. Gdyby wybory parlamentarne odbyły się dziś, to jego Likud znacznie zwiększyłby liczbę posiadanych mandatów i nie miałby problemu z utworzeniem rządu. Obecnie głównym partnerem koalicyjnym Netanjahu jest centrowy ruch Biało-Niebiescy emerytowanego gen. Benny'ego Gantza, który objął tekę ministra obrony i teoretycznie za dwa lata ma zastąpić Netanjahu na stanowisku premiera. W umowie koalicyjnej Biało-Niebiescy zgodzili się na aneksję, choć nie wykazują obecnie entuzjazmu w tym zakresie i chcieliby dokonać jej w symbolicznym wymiarze, czyli objąć nią tylko dwa żydowskie osiedla znajdujące się w pobliżu Jerozolimy.

Pełny plan aneksji obejmuje aż 30 proc. Zachodniego Brzegu, czyli terytorium, na którym Palestyńczycy chcą stworzyć własne państwo. Chodzi o 130 żydowskie osiedla, będące od lat jedną z najważniejszych kości niezgody między Palestyńczykami a Izraelczykami. Ci pierwsi uważają je za nielegalne, gdyż zakładane są przez władze okupacyjne na nienależącym do nich terytorium. Teraz ta ziemia ma się stać terytorium Izraela. Na osiedlach tych mieszka przy tym niespełna 500 tys. żydowskich osadników. Aneksja ma objąć również 78 gmin zamieszkanych przez ponad 100 tys. Palestyńczyków (4,5 proc. palestyńskiej populacji Zachodniego Brzegu), przy czym Netanjahu zapowiedział już, że nie uzyskają oni obywatelstwa izraelskiego.

Zachodni Brzeg znalazł się pod administracją Izraela po wojnie sześciodniowej w 1967 r., ale w przeciwieństwie do terenów zdobytych w latach 1948–1949 nie został nigdy uznany za jego terytorium. Izrael miałby bowiem wówczas problem z palestyńską ludnością. Gdyby otrzymała ona obywatelstwo izraelskie tak, jak to nastąpiło z ludnością arabską na terytoriach włączonych do Izraela (oczywiście poza tymi, którzy uciekli do sąsiednich krajów arabskich), Żydzi staliby się mniejszością w stworzonym przez siebie państwie. Dziś populacja Państwa Żydowskiego liczy ok. 9 mln, przy czym najwyżej 75 proc. (6,5–7 mln) to Żydzi. Natomiast na okupowanych przez Izrael terenach palestyńskich na Zachodnim Brzegu oraz w Strefie Gazy mieszka 5 mln osób.

eprasa.pl f9fafe5dc1

Prezydent USA Donald Trump i premier Izraela Beniamin Netanjahu podczas spotkania w Białym Domu, Waszyngton, 27 stycznia 2020 r.

FOT. KEVIN LAMARQUE / REUTERS / FORUM

Czyli na 14 mln mieszkańców całego tego terytorium Żydzi stanowią co najwyżej 50 proc. mieszkańców, a przyrost naturalny wśród Palestyńczyków jest znacznie wyższy.

Wysiedlenie kilku milionów ludzi lub pozbawienie niemal połowy populacji praw obywatelskich nie wchodziło nigdy w grę. Dlatego alternatywą stała się powolna kolonizacja przy pomocy osiedli żydowskich, przy jednoczesnym uznaniu ograniczonej suwerenności palestyńskiej na Zachodnim Brzegu. Porozumienie izraelsko-palestyńskie podpisane w 1993 r. stworzyło Autonomię Palestyńską. Miał to być pierwszy krok ku pełnemu pokojowi i utworzeniu państwa palestyńskiego. Tak się jednak nie stało, a ogłoszony w styczniu przez amerykańskiego prezydenta Donalda Trumpa „plan pokojowy" jeszcze bardziej skomplikował sytuację.

„PLAN POKOJOWY"

Wymyślony przez zięcia Trumpa – Jareda Kushnera – plan został dość powszechnie wykpiony. Palestyńczycy nawet nie chcieli o nim rozmawiać. Trudno się im dziwić, skoro zakładał on, że Palestyna będzie składać się z konglomeratu enklaw połączonych tunelami, a stolica będzie znajdować się na przedmieściach wschodniej Jerozolimy. Ten niezdolny do samodzielnego bytu twór nie miał uzyskać niepodległości od razu, ale po spełnieniu wielu warunków, co zresztą oceniłyby władze Izraela. Plan ten, w zamierzeniu prezydenckiego zięcia, miał przy tym przede wszystkim otworzyć drogę ku normalizacji stosunków między Izraelem a sunnickimi państwami Półwyspu Arabskiego. Chodzi przede wszystkim o Zjednoczone Emiraty Arabskie i Arabię Saudyjską, które z Izraelem łączy wspólny wróg – Iran.

Przy ogłoszeniu „planu pokojowego" obecni byli waszyngtońscy ambasadorowie trzech państw arabskich: Omanu, Bahrajnu i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Wkrótce potem plan został jednak jednogłośnie odrzucony przez Ligę Arabską, zrzeszającą 22 państwa arabskie. Palestyńczycy wciąż jednak oskarżają zarówno Arabię Saudyjską, jak i Zjednoczone Emiraty Arabskie o to, że chcą sprzedać „sprawę palestyńską" i po cichu dogadują się z Izraelem. Potwierdzają to zresztą masowe aresztowania osób powiązanych z rządzącym w Strefie Gazy Hamasem dokonane kilka miesięcy temu w Arabii Saudyjskiej.

Również relacje ZEA z Palestyną są fatalne. 19 maja emiracki samolot linii Etihad (z zasłoniętymi emblematami państwowymi) wylądował na lotnisku Ben Guriona w Tel Awiwie, przywożąc pomoc humanitarną dla Palestyńczyków, której przyjęcia władze Autonomii Palestyńskiej jednak odmówiły. Uzasadniły to tym, że cała sprawa nie była z nimi koordynowana i służy normalizacji stosunków emiracko-izraelskich. 21 czerwca Abu Zabi ponownie wysłało jednak samolot z pomocą do Tel Awiwu i tym razem, po raz pierwszy w historii relacji obu państw, symbole ZEA były w pełni eksponowane. Palestyna znów odmówiła przyjęcia transportu.

Nie ulega wątpliwości, że Emiraty, Saudowie, a także zależny od nich Bahrajn dążą do normalizacji relacji z Izraelem, szukając odpowiedniego pretekstu. Aneksja może jednak te wysiłki całkowicie przekreślić. Wprost przestrzegł przed tym ambasador ZEA w Waszyngtonie Yousef al-Otaiba. W bezprecedensowym artykule opublikowanym przez izraelski dziennik „Yedioth Ahronoth" napisał on, iż „ten artykuł jest wiadomością dla Izraelczyków, że ZEA są gotowe do normalizacji. Ale w takich warunkach (aneksji) będzie to bardzo trudne zadanie".

TRUDNY WYBÓR

Największe kontrowersje budzi plan aneksji tzw. Doliny Jordańskiej, czyli pasa ziem przy granicy z Jordanią. Jednakże nawet aneksja dokonana w minimalnym zakresie może oznaczać zerwanie zawartego w 1994 r. traktatu pokojowego między tymi dwoma państwami. Jordania jest przy tym trochę między młotem a kowadłem. Z jednej bowiem strony zależna jest bardzo od amerykańskiej pomocy, ale z drugiej co czwarty mieszkaniec Jordanii to Palestyńczyk. Król Abdullah ma świadomość potencjalnych konsekwencji wewnętrznych w jego kraju i zdecydowanie nie zgadza się na jakiekolwiek rozmowy na temat aneksji z Izraelczykami. W połowie czerwca jordański monarcha odmówił rozmowy telefonicznej z Netanjahu, a starania Benny'ego Gantza o wizyty w Ammanie pozostały bez odpowiedzi. Za to 16 czerwca w czasie wideokonferencji z członkami amerykańskiego Kongresu z obu partii król podkreślił, że „jakiekolwiek unilateralne kroki Izraela podjęte w celu aneksji ziem na Zachodnim Brzegu są nieakceptowalne i podważają perspektywę osiągnięcia pokoju i stabilności w regionie".

Netanjahu stoi obecnie przed trudnym wyborem, gdyż jeśli chce urzeczywistnić swój plan, to musi się śpieszyć. W przypadku wygranej Joe Bidena w wyborach prezydenckich stanie się to bowiem niemożliwe, gdyż demokraci są całkowicie przeciwni temu projektowi i nawet proizraelska organizacja lobbingowa AIPAC nie naciska, by zmienili zdanie w tej sprawie. Ekipa Trumpa też zresztą zaczęła się wycofywać rakiem z wcześniejszego „zielonego światła". Pompeo w czasie nagłej wizyty w Izraelu w połowie maja zasugerował ostrożność w realizacji planu aneksji, choć wprost nie wycofał poparcia dla niego. Amerykanie naciskają też na dogadanie tej sprawy z królem Abdullahem (co na razie wydaje się mission impossible) oraz utrzymanie jak najszerszego poparcia politycznego dla tego planu w samym Izraelu. Tutaj jednak również jest problem i to z nieoczekiwanej, jakby się mogło wydawać, strony. Sami osadnicy z Zachodniego Brzegu są bowiem podzieleni w swoim stosunku do aneksji. Część z nich uważa, że będzie to pierwszy krok do uznania państwowości palestyńskiej na pozostałych terenach, a na to się po prostu nie zgadzają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f9fafe5dc1

Piotr Włoczyk

Zaskakujące słowa autorki „Harry'ego Pottera" na temat transseksualistów unaoczniły rozłam w środowisku feministycznym. Część feministek ma dość udawania, że mężczyźni podający się za kobiety to rzeczywiście kobiety

Feministyczna

Stwórzmy bardziej sprawiedliwy postpandemiczny świat dla osób, które menstruują" – artykuł pod takim zastanawiającym tytułem ukazał się na niszowym portalu Devex.com pod koniec maja. Pewnie mało kto zwróciłby na niego uwagę, gdyby nie wpis J.K. Rowling. Autorka serii powieści o Harrym Potterze, obserwowana na Twitterze przez 15 mln ludzi, skomentowała to krótko: „Jestem pewna, że kiedyś było specjalne słowo na takie osoby. Ktoś mi pomoże?".

Z lawiny komentarzy wynikało, że Rowling – sama przyznająca się do feministycznych poglądów – użyła „wykluczającego" języka, a ponadto otarła się o „język nienawiści". Bo przecież, jak przekonywali aktywiści, którzy zaatakowali Rowling, kobieta, która twierdzi, że jest mężczyzną, ale nie poddała się operacji „zmiany płci", w związku z czym wciąż miesiączkuje, nie może być nazywana kobietą. Jest to po prostu „osoba, która menstruuje", a żartowanie na ten temat jest aktem transfobii.

Wśród tysięcy komentarzy najwięcej uznania ze strony innych użytkowników Twittera zyskał wpis Kate Beetle (najprawdopodobniej transseksualisty): „Zdecydowałam się nie zabić, żeby dowiedzieć się, jak »Harry« się skończy. Przez długi czas tylko to utrzymywało mnie przy życiu, aż w końcu poznałam mojego męża, który pomógł mi nauczyć się kochać samą siebie i odkryć chęć życia. Właśnie naplułaś mi w twarz. Nienawidzę cię".

PŁEĆ NIC NIEWARTA

W przeciwieństwie do innych aktorów, artystów i pisarzy, którym czasem zdarzy się powiedzieć coś wbrew poprawności politycznej, Rowling nie przeprosiła błyskawicznie za swój wpis. Więcej – rozwinęła swoje spojrzenie na płeć, doprowadzając skrajnie lewicowych aktywistów do pasji: „Jeżeli płeć nie jest czymś rzeczywistym, to nie ma czegoś takiego jak pociąg do osób tej samej płci. Jeżeli płeć nie jest czymś rzeczywistym, to los kobiet na całym świecie jest nic niewarty. Znam i kocham ludzi transseksualnych, ale wymazywanie pojęcia płci odbiera ludziom możliwość sensownego opowiadania o swoim życiu. Mówienie prawdy na ten temat nie jest nienawiścią".

Tego było już za wiele. Do ataku na Rowling włączyły się największe celebryckie nazwiska. Na nic zdało się tłumaczenie pisarki-miliarderki (sam „Harry Potter" sprzedał się w ponad 500 mln egzemplarzy), że była kiedyś ofiarą przemocy i nie chce, by do miejsc pozostających do wyłącznej dyspozycji kobiet (m.in. przebieralnie, toalety) wchodzili mężczyźni przedstawiający się jako kobiety.

Na pierwszej linii frontu potępiania Rowling stanęły gwiazdy serii filmów o małym czarodzieju. Daniel Radcliffe, odtwórca tytułowej roli, błyskawicznie wydał oświadczenie, w którym napisał m.in.: „Kobiety transseksualne są kobietami. Jakiekolwiek komentarze przeczące temu depczą tożsamość i godność transseksualnych ludzi i stoją w sprzeczności ze stanowiskiem stowarzyszeń medycznych". W chórze potępiającym Rowling dołączyła do niego Emma Watson, która odgrywała rolę Hermiony, przyjaciółki Harry'ego Pottera: „Ludzie transseksualni są tymi, którymi są, i zasługują na to, by żyć bez ciągłego kwestionowania i mówienia, że nie są tymi, którymi są".

Dla Watson taki list protestacyjny to zresztą nie pierwszyzna. Aktorka od wielu lat walczy z „homofobią" i dziś jest jedną z najlepszych ambasadorek LGBT w Hollywood.

W sprawę zaangażował się nawet wielki biznes. The Body Shop, brytyjska firma kosmetyczna, znana z akcji promujących postulaty LGBT, zwróciła w mediach społecznościowych uwagę Rowling, że powinna najpierw poczy-

eprasa.pl f9fafe5dc1

schizma

FOT. ERIK MCGREGOR / ZUMA PRESS / FORUM

tać literaturę „trans" i dowiedzieć się, dlaczego niektórzy mężczyźni mogą być kobietami.

STAW NIEZGODY

W nieprzychylnych Rowling komentarzach często przewijał się skrót „TERF", używany przez aktywistów LGBT jako obelga. „TERF-ami" nazywane są w środowisku LGBT feministki, które twierdzą, że nie da się zmienić płci (TERF – ang. trans-exclusionary radical feminist, czyli w wolnym tłumaczeniu – radykalna feministka wykluczająca osoby transseksualne). Ten odłam feminizmu jest szczególnie silny w Wielkiej Brytanii, gdzie feministki bardzo mocno akcentują kwestię przemocy wobec kobiet.

Dla Rowling, bodaj najbardziej znanej twarzy „TERF", był to już drugi otwarty konflikt ze środowiskiem LGBT w ciągu ostatniego pół roku. Pierwszy nie był jednak aż tak ostry. Wtedy powodem spięcia była jej obrona Mayi Forstater, ekspertki z think tanku Center for Global Development. Forstater została zwolniona z pracy po tym, gdy w serii tweetów napisała, że człowiek nie może zmienić płci – był to jej komentarz do planów brytyjskiego rządu, by ułatwić procedurę wymiany płci w dokumentach tożsamości.

Forstater pozwała swój były think tank do sądu pracy, zbierając bardzo szybko niemal 100 tys. funtów na adwokatów. Pomogła jej w tym mobilizacja w środowisku „TERF". Ostatecznie jednak na nic jej się to nie zdało, ponieważ sędzia miał w tej sprawie sprecyzowane poglądy. Wydając wyrok, sędzia James Tyler powiedział, że jej poglądy na temat płci „nie są warte szacunku w demokratycznym społeczeństwie". W obronę wzięła ją wówczas na Twitterze właśnie Rowling.

Podobne konflikty między brytyjskimi feministkami a LGBT wybuchają co jakiś czas. Dwa lata temu w rolę rozjemcy postanowiła wejść redakcja „The Guardian", publikując apel do obu stron pt. „Tam, gdzie prawa kolidują". „Z jednej strony obrońcy praw osób transseksualnych mają prawo do prowadzenia kampanii zmierzających do zwiększania równości, z drugiej strony feministki mają prawo pytać, czy takie zmiany mogą wpłynąć na inne kobiety" – napisał „The Guardian", starając się pogodzić obie strony. To jednak wyjątkowo trudne zadanie. Skaczą sobie one bowiem do gardeł przy okazji dalszego liberalizowania prawa w tym zakresie czy otwierania dla transseksualistów kolejnych przestrzeni zarezerwowanych wcześniej wyłącznie dla kobiet. Tak było np. w zeszłym roku przy okazji zmian w funkcjonowaniu stawów w londyńskiej dzielnicy Hampstead. Do tamtej pory zasady były jasne: jeden staw jest dla mężczyzn, drugi dla kobiet, a w trzecim mogą się pluskać przedstawiciele obu płci.

Środowisko LGBT wymogło jednak w końcu na władzach dzielnicy Hampstead, by stawy tylko dla mężczyzn i kobiet były też dostępne dla transseksualistów. Feministki z odłamu „TERF" organizowały wokół stawu protesty, domagając się cofnięcia zmian. Jak tłumaczyła mediom Amy Desir, przywódczyni protestów ze stowarzyszenia ReSisters UK, nowe regulacje są „absolutnie obrzydliwe". Desir przekonywała, że narażają one młode kobiety na przemoc ze strony transseksualistów i grożą nadużyciami. „Według nowych reguł każdy mężczyzna może nazwać się kobietą i tu wejść" – załamywała ręce Desir. Protesty na nic się jednak zdały – dziś każdy, kto powie, że jest kobietą, może się opalać nad stawem.

Zmęczenie części feministek środowiskiem LGBT widać też jednak za oceanem.

– U mnie na wydziale feministki mają już dość przejmowania całej debaty na temat równouprawnienia przez środowisko LGBT. Wszystko kręci się wokół mniejszości seksualnych, stanowiących znikomy procent populacji, a – jak słyszę od koleżanek feministek – tyle problemów kobiet wciąż czeka na załatwienie, chociaż stanowią one połowę społeczeństwa – mówi „Do Rzeczy" pragnący zachować anonimowość wykładowca socjologii na jednym z uniwersytetów w Kalifornii. – Ciężko jednak cokolwiek z tym zrobić, ponieważ trudno pracować na uniwersytecie w USA i powiedzieć krytyczne słowo o LGBT. Zdecydowanie za dużo się mówi na ten temat na naszych uczelniach, poświęcamy temu za dużo uwagi, ale nie widzę możliwości, by przywrócić tu właściwe proporcje. LGBT dysponuje olbrzymią siłą przebicia i obawiam się, że może co najwyżej jeszcze bardziej zdominować naszą debatę. Feministki starej daty są tu po prostu bez szans.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f9fafe5dc1

Jakub Wozinski

Bitwa o e-handel

Portal Allegro jest swojego rodzaju fenomenem, gdyż działając jedynie na polskim rynku, w światowych rankingach liderów e-handlu mierzy się z globalnymi markami. Polacy są wierni popularnej marce, choć ich związek z nią bywa niekiedy burzliwy

W zestawieniu najbardziej popularnych platform służących sprzedaży w Internecie Allegro zajmuje niezwykle wysokie pozycje. Z ponad 200 mln wizyt miesięcznie w skali całego świata jest na 15. miejscu, w Europie zaś wyprzedzają ją tylko trzy inne podmioty. Największymi konkurentami poznańskiej firmy pod względem popularności są globalni potentaci, tacy jak Amazon, e-Bay czy AliExpress. Zdaniem eksperta od rynku e-commerce, Łukasza Kiczmy, popularny serwis mimo wszystko nie wykorzystał w pełni swojego potencjału: „W przypadku Allegro możemy mówić o zmarnowanym sukcesie w kategoriach zachodzących procesów globalizacyjnych. Mam na myśli przede wszystkim to, że nie udało się zbudować krajowej korporacji o znaczeniu międzynarodowym. Allegro może się jeszcze kiedyś stać korporacją o zasięgu globalnym, choć na ten moment na pewno jeszcze nią nie jest. To, co się dzieje z tą spółką, pokazuje, że ma ona pewien problem mentalny".

DOMINATOR E-HANDLU

Fenomen znanego serwisu polega przede wszystkim na tym, że posiada obecnie aż 30 proc. udziału w całym polskim rynku e-handlu. Wśród polskich użytkowników Internetu sama nazwa „Allegro" stała się osobną kategorią i synonimem sprzedaży dokonywanej w sieci. Nie mając przez lata w zasadzie żadnego konkurenta w kategorii portali aukcyjnych, Allegro zdominowało polski rynek.

Przed dwiema dekadami założyciele Allegro zaczynali skromnie, posiadając zaledwie biuro w piwnicy. Był sam koniec lat 90., czas, gdy w Stanach Zjednoczonych rozwijała się bańka internetowa, powstawały tysiące nowych firm z branży IT. Allegro założone zostało przez Holendra Arjana Bakkera, który przybył do Polski w ramach przegranego zakładu, lecz przy okazji dostrzegł szansę na stworzenie polskiej wersji serwisu e-Bay (początkowo projekt serwisu nosił nazwę „Zatoka").

Zamiast stać się co najwyżej polską namiastką e-Baya, firma doprowadziła ostatecznie do sytuacji, w której amerykański potentat nie zdołał nigdy z impetem wejść na polski rynek i ma dziś w nim bardzo skromny udział. Na Allegro Polacy założyli zaś jak do tej pory ponad 21 mln kont i kupują dziennie nawet 1,2 mln przedmiotów. Allegro stało się również z biegiem lat wielką platformą dla wielu sklepów internetowych, które nie zakładają nawet własnych witryn. Szacuje się, że z serwisu jako głównego miejsca sprzedaży korzysta ok. 140 tys. firm o różnej wielkości.

Na taki profil działalności najmocniej wpłynął południowoafrykański właściciel, firma Naspers, która w latach 2008–2016 postawiła silnie na to, aby Allegro nabrało rozmachu jako miejsce umożliwiające rozwój działalności na dużą skalę. Strategia ta okazała się skuteczna, gdyż cztery lata temu Grupę Allegro sprzedano aż za 3,25 mld dol. (osiem lat wcześniej została kupiona za 1,44 mld). Nowymi właścicielami jest od tego czasu grupa londyńskich funduszy inwestycyjnych Cinven, Permira oraz Mid Europa. Początkowo spekulowało się, że serwis sprzedażowy został zakupiony po to, aby można było sprzedać go ponownie, lecz świetne wyniki finansowe nie zachęcają raczej właścicieli do zbyt szybkiego pozbywania się lidera polskiego e-handlu. W minionym roku spółka odnotowała 1,75 mld zł przychodów i 230 mln zysku netto, a jej rynkowa wartość wciąż rośnie. Ostatnio pojawiły się nawet pogłoski, że Allegro zamierza wejść na warszawską giełdę, gdzie mogłoby prześcignąć nawet samego lidera, czyli CD Projekt.

SZANSE DZIĘKI KORONAWIRUSOWI

Dobrej kondycji Allegro sprzyja także niewątpliwie koronawirus i wymuszone przez niego wielkie przesunięcie coraz większej części handlu do Internetu. Szacuje się, w 2020 r. cały segment

eprasa.pl f9fafe5dc1

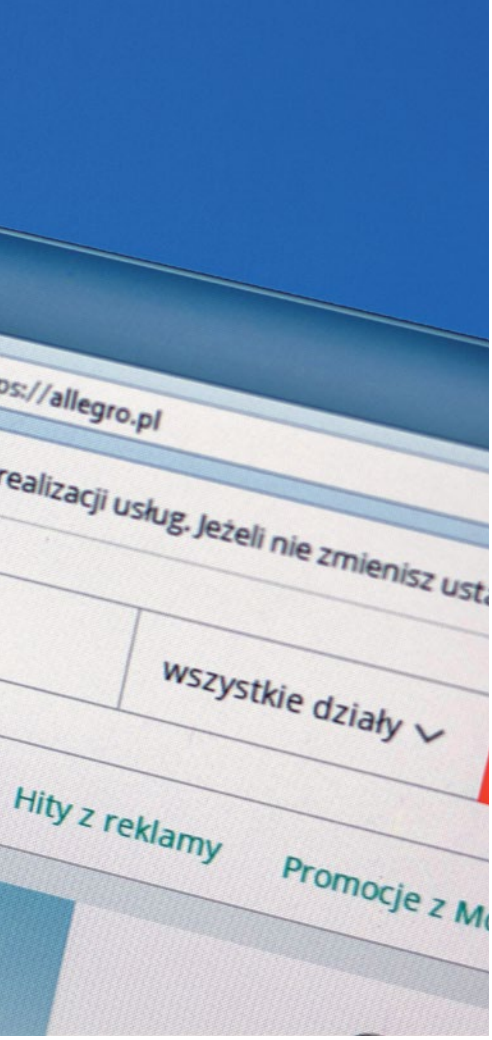

FOT. ADOBE STOCK

e-handlu wzrośnie o prawie 36 proc. (czyli dwa razy szybciej niż do tej pory). Zdaniem Łukasza Kiczmy Allegro jest do tego trendu przygotowane lepiej niż zwykłe e-sklepy: „Obecny trend zakładania e-sklepów i e-hurtowni jest chwilowy. Tego typu działalności nie da się założyć w jeden miesiąc – potrzebnych jest kilka lat ciężkiej pracy. W ostatnim czasie powstało mnóstwo e-sklepów głównie po to, żeby zabezpieczyć przetrwanie interesu, lecz podejrzewam, że wiele z nich zacznie wkrótce upadać. Dlatego właśnie Allegro ma przed sobą ogromną szansę".

Ostatnie tygodnie pokazały ponadto, że Allegro posiada względem swoich klientów pozycję równą niemal państwu. Serwis uruchomił swoją własną wersję „Tarczy Antykryzysowej", oferując czasowe zwolnienie z niektórych opłat i inne zachęty do kontynuowania działalności w trudnych czasach. Jako niekwestionowany lider rynku firma ma zdecydowanie silniejszą pozycję względem klientów niż jakikolwiek inny konkurencyjny podmiot. Pomimo wielu kontrowersji Polacy od lat są wierni marce, a wykonane przez firmę Gemius badania w ramach corocznego raportu „E-commerce w Polsce" pokazują, że dla ponad 80,7 proc. Polaków właśnie Allegro stanowi pierwszy wybór, jeśli chodzi o zakupy w sieci.

Niezwykle silna pozycja Allegro sprawia jednak, że jej działalność spotyka się z wieloma głosami krytyki. Zastrzeżenia budzą tradycyjnie polityka ciągłych podwyżek prowizji (stanowiących główne źródło zysku), ale także m.in. zasady wystawiania ocen. Allegro wzbudza także kontrowersje, odmawiając niekiedy sprzedaży niepoprawnych politycznie pozycji, o czym w ostatnim czasie przekonał się m.in. Rafał A. Ziemkiewicz.

STARCIE Z POTENTATAMI

Wyjątkowo mocna pozycja firmy z Poznania może jednak zostać w najbliższym czasie zagrożona, gdyż wielką ekspansję nad Wisłą planuje Amazon. Teoretycznie podobna sytuacja miała już miejsce w 2005 r., gdy do Polski wkraczał e-Bay. Już wtedy mówiło się o tym, że dni Allegro i innych serwisów są policzone. Obecnie sytuacja jest jednak zupełnie inna, gdyż w ciągu ostatnich kilkunastu lat podmioty zajmujące się e-handlem stały się zdecydowanie potężniejsze i poszerzyły zakres swojej oferty.

Amazon wkracza właśnie na polski rynek, a na jego korzyść przemawiają nowoczesne centra logistyczne zlokalizowane w całym kraju, ogromna skala działalności pozwalająca na redukcję kosztów oraz niezwykle sprawny i szybki system wysyłek. Tym razem efekt starcia o rynek polskiego e-handlu może już nie być dla Allegro aż tak korzystny jak poprzednim razem, choć o wszystkim zadecydują oczywiście sami Polacy. Przyzwyczajeni, że od ponad 20 lat korzystają ze sprawdzonego i dobrze znanego im serwisu, mogą w ogóle nie chcieć przenosić się gdzie indziej.

Wspomniany już raport o rynku e-commerce w Polsce pokazuje, że Polacy wciąż zdecydowanie chętniej kupują w rodzimych e-sklepach (aż 60 proc. badanych). Serwisy takie jak AliExpress czy też Amazon są na razie traktowane głównie jako uzupełnienie, a pierwszym wyborem pozostaje wciąż przede wszystkim Allegro. Najbardziej popularny w Polsce serwis ma więc ogromny atut w postaci konsumenckich przyzwyczajeń i upodobań. W zbliżającej się rozgrywce z Amazonem ma jednak kilka istotnych słabych punktów, takich jak choćby brak własnej, dobrze rozbudowanej sieci wysyłkowej. Allegro od początku zdane jest na współpracę z zewnętrznymi firmami (najbardziej zyskał na tym InPost), które jednak mogą zostać łatwo przeciągnięte na stronę amerykańskiego giganta. Wiadomo, że Amazon prowadzi już zaawansowane rozmowy m.in. z Pocztą Polską, szukając dla swojego polskiego serwisu optymalnej sieci taniej dystrybucji. Ponieważ za firmą Bezosa stoją miliardy dolarów, Allegro może naprawdę czuć się zaniepokojone.

Wejście na rynek najpotężniejszego na świecie gracza może mieć znaczący wpływ na cały rynek e-handlu w Polsce. Zastrzeżenia pod adresem Amazona zgłaszał niedawno nawet sam sekretarz skarbu USA Steven Mnuchin, który zarzucił firmie Jeffa Bezosa, że „zniszczyła handel detaliczny w USA" i ograniczyła konkurencję. Polityk zagroził jej nawet uruchomieniem postępowania antymonopolowego. W odpowiedzi zarząd firmy przedstawił dane świadczące, że niezależni sprzedawcy odpowiadają aż za 58 proc. wszystkich produktów sprzedawanych na jej stronach, a jej udział w całym rynku sprzedaży detalicznej w USA stanowi zaledwie 4 proc.

Wyjątkowo mocna pozycja Allegro może zostać w najbliższym czasie zagrożona, gdyż wielką ekspansję nad Wisłą planuje Amazon

Allegro zdominowało polski rynek e-handlu, ale być może popełniło spory błąd, nie dokonując w porę znaczącej ekspansji poza granicami kraju. „Gdybyśmy chcieli porównać sukces Allegro do tego, który odniósł AliExpress, należy pamiętać, że firma ta miała bardzo silne wsparcie rządu chińskiego. Tamtejszy system polityczny umożliwił coś, co w naszych warunkach jest raczej nie do powtórzenia. Niemniej jednak wydaje się, że Allegro ma pewien problem z tym, żeby zgromadzić odpowiedni kapitał potrzebny do ekspansji na światowych rynkach. Byłoby zaś to wskazane, żeby rodzima marka stała się bardziej rozpoznawana na świecie" – komentuje Łukasz Kiczma. Allegro może jeszcze kiedyś odnieść sukces poza granicami kraju, ale najpierw musi obronić swoją pozycję na polskim rynku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f9fafe5dc1

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Jeden kraj – jeden koncern?

Gdzie, w przypadku firm z państw UE, znaleźć właściwy punkt – ów złoty środek – między na tyle niedominującą wielkością tych firm, by należycie chronić interesy wszystkich uczestników rynku – zarówno po stronie producentów i usługodawców, jak i po stronie klientów kupujących ich towary czy usługi – a wielkością wystarczającą do prowadzenia przez te firmy skutecznej walki z konkurencją? Nie tylko wewnątrz państw, z których pochodzą, lecz także w ramach całej UE i w starciu z gigantami z Ameryki Północnej i Azji?

Firmy za duże, zbyt dominujące na rynku danego kraju, a tym bardziej całej UE, to zagrożenie dla klientów, bo mocna pozycja tych firm ułatwia im nieuzasadnione windowanie cen. Z kolei firmy nie dość duże mają mniejsze szanse w walce o rynki – zwłaszcza pozaeuropejskie.

W wypadku Polski kwestię tę dobrze oddają wątpliwości towarzyszące kolejnym przejęciom Orlenu: już dokonanemu Energi i nadchodzącemu – Lotosu. Fuzja Orlenu i Lotosu z jednej strony rodzi uzasadnione pytanie o to, czy dominująca pozycja takiego giganta nie sprawi, że Polacy będą płacić za paliwo więcej niż dziś, gdy mamy do czynienia z – nawet jeśli ułomną – to jednak konkurencją między Orlenem a Lotosem. Z drugiej strony – firmie, która powstałaby po fuzji, łatwiej byłoby walczyć o rynki w Europie. Nie kryje tego szef Orlenu, który przyznał ostatnio bez ogródek: „W Polsce musi być jeden koncern multienergetyczny i do tego dążę. Rozdrobnienie nie jest tu potrzebne".

Kierując się zapewne podobnym pragnieniem, na wniosek Niemiec i Francji, cztery największe kraje UE – oprócz tych dwóch także Włochy i Polska – krótko przed epidemią COVID-19 wystosowały do Komisji Europejskiej memorandum, domagając się rozluźnienia reguł antymonopolowych. Tak by możliwe było powstawanie w UE gospodarczych czempionów, które byłyby w stanie skutecznie konkurować z rywalami z innych kontynentów.

Co z tego wyniknie? W teorii KE została powołana m.in. po to, by pilnować zasad wolnego rynku – walczyć z monopolami, kartelami i państwowymi subsydiami. Jednak szczytne hasła – szczytnymi hasłami, a realia – realiami. Z jednej strony gołym okiem widać, że Bruksela kieruje się podwójnymi standardami – jednym zezwalając na więcej, a innym na mniej – i zwykle to firmy z państw większych – z Niemiec i Francji – mogą więcej od tych z państw mniejszych. Z drugiej strony, jak się okazuje, nawet Niemcom i Francuzom robi się za ciasno na unijnym rynku.

Na pytanie, czy proponowana droga jest dobra – dla nich, a tym bardziej dla nas – polskich firm i ich klientów, niełatwo znaleźć trafną odpowiedź. Jedno jest pewne: większa monopolizacja to niezwykle ryzykowny pomysł na wzmacnianie Europy, zwłaszcza jeśli miałaby się dokonywać pod dyktando Niemiec i Francji. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Kuchennymi drzwiami

W Kongresie USA częsta jest praktyka doklejania do projektów ustaw kwestii ważnych dla jakiejś grupy deputowanych, które to kwestie nie miałyby szansy przejść jako samodzielna ustawa. Dopisane do ważnego projektu zostają uchwalone.

Oto jesteśmy jak Ameryka, przynajmniej pod tym względem. To, co w ciągu ostatnich kilku miesięcy przepychano w kolejnych tarczach antykryzysowych, wprawiłoby w kompleksy nawet najbardziej doświadczonych kongresmenów. Przede wszystkim chodzi o zmiany w kodeksach. Już samo to, że schowano je wewnątrz tarcz i głosowano w trybie pilnym, włącznie z przepisami dotyczącymi pomocy dla przedsiębiorców, jest pogwałceniem zasady starannej legislacji, która ma swoje konkretne odbicie w regulaminie Sejmu: od doręczenia projektu zmian w kodeksach (specjalnym rodzaju ustawy) posłom do głosowania nie może dojść wcześniej niż po dwóch tygodniach. W tym wypadku było to ledwie kilkadziesiąt godzin.

Zmiana paradygmatu karania powinna nastąpić przy otwartej kurtynie, po dyskusji

Zmiany w kodeksach – w tym przypadku w Kodeksie karnym i Kodeksie postępowania karnego – poszły w stronę zaostrzenia kar. Niezależnie od tego, co mówiłoby na ten temat Ministerstwo Sprawiedliwości, taki jest ich sens. Związku ze zwalczaniem epidemii nie ma to zgoła żadnego.

Żeby było jasne: takich zmian w prawie nie ma powodu a priori odrzucać. Więcej nawet: można o nich spokojnie dyskutować. Nie od dzisiaj ścierają się wśród ekspertów i prawników koncepcje liberalna i represyjna, gdy chodzi o karanie za przestępstwa i wykroczenia. Nie jest też żadnym problemem, że obecna władza opowiada się za koncepcją represyjną i stoją za tym – prawdopodobnie – mocne argumenty.

Prawdopodobnie, bo nie poznajemy ich, gdy zmiany są wprowadzane kuchennymi drzwiami. I to jest problem. Zmiana lub choćby inne nastrojenie paradygmatu karania powinny nastąpić przy otwartej kurtynie: z jasnym uzasadnieniem, po dyskusji, po wyjaśnieniu, dlaczego i jaki jest cel. Po przeanalizowaniu tego, jak działają obecne przepisy, po zbadaniu statystyk orzeczeń. Zamiast tego mamy jakieś pokątne szacher-macher, uskuteczniane w ramach szantażu: jeśli nie zagłosujecie za, to przedsiębiorcy nie dostaną pomocy. Tak nie działa poważne państwo. ©℗

eprasa.pl f9fafe5dc1

Zamówienia publiczne z myślą o mniejszych firmach

Rynek zamówień publicznych w Polsce wart jest około 200 miliardów złotych. To kolosalna kwota, która powinna trafiać do polskich firm, z polskim kapitałem. Warto się o oto zatroszczyć, szczególnie w obecnych czasach.

Większość tej kwoty przeznaczana jest na inwestycje infrastrukturalne, jak drogi czy koleje. Przeważnie jest tak, że wart kilkaset milionów złotych kontrakt wygrywa zagraniczny podmiot, który następnie realizuje przedsięwzięcie poprzez polskich podwykonawców. Bez ich zaangażowania cały projekt nie miał by szans na sukces. W przeszłości bywało też tak, że generalny wykonawca, mając kłopoty finansowe zupełnie niezwiązane z Polską, rezygnował z ukończenia inwestycji, zaś płatności dla podwykonawców musiało brać na siebie państwo.

Kamil Goral, ekspert Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

Ten system od lat budzi zastrzeżenia. Finansowe wsparcie z Unii Europejskiej powinno przysłużyć się nie tylko do rozwoju infrastruktury komunikacyjnej ale także być narzędziem do budowania silnego sektora polskich firm budowlanych. Z podobnej szansy skorzystali przed kilkoma dekadami Hiszpanie. Warto ten model naśladować. Ale aby to się udało potrzebna jest strategia rozwoju polskiego budownictwa, nastawiona właśnie na rozwijanie silnych, konkurencyjnych przedsiębiorstw funkcjonujących w tym sektorze.

W Polsce podmiotów działających w budownictwie są tysiące, mają często bogate doświadczenie podparte szerokim portfolio zrealizowanych projektów. Nie są jednak na tyle duże aby samodzielnie mogły realizować wielkie inwestycje, których budżet liczony jest w setkach milionów złotych. Do tego potrzeba zasobów finansowych, które znacznie przekraczają możliwości mniejszych firm. Pewnym wyjściem jest ogłaszanie przetargów z podziałem na części, tak aby były one dostosowane do potencjału rodzimych przedsiębiorstw. Takie rozwiązania w polskim prawie zamówień publicznych już istnieją.

Warto pomyśleć także o wsparciu regulacyjnym dla firm, chcących startować w przetargu w formie konsorcjum. To rozwiązanie wymaga jednak umiejętności podjęcia współpracy, odpowiedniego podziału zadań i adekwatnych procedur wewnętrznych. Innymi słowy kluczowe jest zarządzanie przedsięwzięciem i zdolność do kooperacji, którego podstawą jest zaufanie. Z tym jednak wciąż są w Polsce problemy. Niemniej nie należy bezczynnie rozkładać rąk tylko szukać wyjścia. Polski biznes musi się poznawać, od tego są organizacje branżowe i inne zrzeszenia, które powinny móc liczyć na wsparcie państwa.

Wracając zaś do kwestii regulacyjnych, należy pomyśleć o zmianach np. w podatkach sprzyjających współpracy i samoorganizacji przedsiębiorców. I tak konsorcjum byłoby przyjemniejsze w obsłudze gdyby rozliczenia między konsorcjantami były możliwie proste i bezproblemowe. Do tego jednak niezbędne jest prawo, które pozwoli zidentyfikować konsorcjum dla celów podatkowych i jasno określi jak konsorcjanci mają dzielić się obciążeniami wynikającymi z konieczności uiszczenia danin publicznych.

Obecnie w zaawansowany etap weszły prace nad prawem holdingowym mające usprawnić zarządzanie grupami kapitałowymi. Podobne prace powinny się toczyć jeśli chodzi o regulacje współpracy firm, które chociaż nie są powiązane kapitałowo chcą wspólnie realizować dane przedsięwzięcie. Również tutaj prawo nie może pozostawać z tyłu za potrzebami praktyki gospodarczej.

W najbliższych latach w Polsce realizowane mają być wielkie projekty infrastrukturalne, warto zatem już teraz pomyśleć o tym, co zrobić aby planowane kontrakty przypadały polskim firmom, z polskim kapitałem. Jeszcze jest szansa aby powtórzyć hiszpański sukces.

www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl

Rada Gospodarcza STREFY WOLNEGO SŁOWA

ARTYKUŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z RADĄ GOSPODARCZĄ STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl f9fafe5dc1

FOT. ADOBE STOCK

Nowoczesne leczenie opóźnia przerzuty

Katarzyna Pinkosz

Przybywa zachorowań na raka prostaty i rośnie śmiertelność z jego powodu. Można to zmienić dzięki wczesnemu wykrywaniu i zastosowaniu nowoczesnego leczenia, by blokować pojawienie się przerzutów

Rak prostaty to już pierwszy pod względem liczby zachorowań męski nowotwór w USA i wielu krajach zachodnich. W Polsce na razie jest drugi (po raku płuca), jednak pod tym względem niestety również gonimy zachodni świat: liczba zachorowań stale u nas rośnie. Co roku taką diagnozę słyszy ok. 16 tys. mężczyzn w Polsce. Chociaż rak prostaty nie jest wyrokiem i są panowie, którzy nawet z rozsianą chorobą nowotworową żyją długie lata, to jednak umiera z jego powodu rocznie ponad 5 tys. Polaków. Wielu mogłoby dłużej żyć, gdyby nowotwór został rozpoznany na wcześniejszym etapie i gdyby można było wykorzystać wszystkie dostępne nowoczesne metody leczenia.

ZBADAJ SIĘ, ZANIM WYSTĄPIĄ OBJAWY

Prostata, czyli gruczoł krokowy, znajduje się tuż pod pęcherzem moczowym. Gdy dochodzi do łagodnego przerostu gruczołu krokowego, co jest bardzo częste u mężczyzn już po 50. roku życia, pojawiają się objawy spowodowane uciskiem powiększonej prostaty na cewkę moczową. Najczęściej są to zaburzenia w oddawaniu moczu, np. słaby strumień moczu i jego przerywanie, parcie na pęcherz i bóle przy oddawaniu moczu, uczucie niecałkowitego opróżnienia pęcherza, konieczność częstego oddawania moczu,

eprasa.pl f9fafe5dc1

także w nocy. Bardzo podobne objawy mogą być jednak również spowodowane nowotworem prostaty. – Ucisk guza na cewkę moczową powoduje dokładnie takie same objawy jak łagodny rozrost prostaty. Dlatego objawów nie można lekceważyć, podobnie jak przewlekających się infekcji dróg moczowych. Niestety często nawet lekarze pierwszego kontaktu długo zalecają leki przeciwzapalne, przeciwbólowe. Jeśli takie leczenie nie pomaga, objawy utrzymują się, to konieczna jest wizyta u urologa, bez względu na to, ile mężczyzna ma lat – mówi dr n. med. Artur Drobniak, onkolog kliniczny z Oddziału Klinicznego Onkologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie.

Pod względem liczby zachorowań zbliżamy się do średniej europejskiej. Być może jednak zachorowań w Polsce wcale nie jest mniej niż w krajach zachodnich, tylko rak prostaty często na wczesnym etapie pozostaje nierozpoznany. Diagnoza jest stawiana w wielu przypadkach zbyt późno. – W USA tylko 2–3 proc. nowotworów prostaty jest rozpoznawane w czwartym stadium, kiedy są już przerzuty do odległych narządów, i nie ma właściwie szans na wyleczenie, walczy się tylko o wydłużenie życia. W Polsce aż w 12–15 proc. przypadków chorobę rozpoznaje się w stadium rozsianym. Pacjenci zbyt późno trafiają do lekarza – potwierdza dr Drobniak.

Ten typ nowotworu długo może nie dawać objawów, dlatego żeby wcześnie go rozpoznać, trzeba badać się profilaktycznie, zanim pojawią się dolegliwości. Eksperci zalecają, żeby każdy mężczyzna po 50. roku poszedł do urologa. Konieczne jest badanie per rectum (przez odbytnicę) oraz sprawdzenie PSA (antygenu swoistego dla gruczołu krokowego). Jeśli w rodzinie ktoś chorował na raka prostaty, to wizyta u urologa i badania są konieczne już od 40. roku życia. Uwaga: podwyższone PSA nie oznacza procesu nowotworowego; podobnie niskie PSA nie oznacza, że raka prostaty nie ma – dlatego tak ważna jest wizyta u urologa, który oceni ryzyko i ewentualnie zaleci dalsze badania, takie jak USG, tomografia komputerowa czy rezonans magnetyczny.

Podstawą dla postawienia diagnozy jest wynik badania histopatologicznego, wykonanego za pomocą biopsji gruboigłowej. – Nie bójmy się diagnozy. Jeśli choroba zostanie rozpoznana we wczesnym stadium, jest szansa na wyleczenie. Gdy są przerzuty, walczymy już tylko o wydłużenie życia – mówi dr Drobniak.

LECZENIE DOPASOWANE

Gdy rak prostaty zostanie rozpoznany w bardzo wczesnym stadium, szczególnie u starszego mężczyzny, czasem wystarczy obserwacja, ponieważ guz może rosnąć bardzo powoli. Jeśli leczenie jest konieczne, a guz jest ograniczony do prostaty, to usuwa się go wraz z nią (to tzw. prostatektomia radykalna; coraz częściej operacje są wykonywane metodą laparoskopową, niekiedy z udziałem robota da Vinci). Alternatywną metodą dla metod chirurgicznych u części chorych jest radioterapia.

U ok. 50–60 proc. pacjentów pojawiają się jednak przerzuty (a część osób już je ma w momencie postawienia diagnozy). – Tych chorych również możemy leczyć przez wiele lat, stosując różne opcje.

> Wiek i geny to największe czynniki ryzyka raka prostaty, dlatego chorobie nie da się w 100 proc. zapobiec. Można jednak zmniejszyć ryzyko zachorowania: zalecane są aktywność fizyczna i zmniejszenie w diecie tłuszczów pochodzenia zwierzęcego. Konieczne są badania profilaktyczne: od 50. roku życia (w przypadku zachorowań w rodzinie: od 40. roku życia).

Najczęściej na początku stosujemy leki antyandrogenowe, obniżające poziom testosteronu, który jest „paliwem napędowym" dla raka. Dzięki temu rak jest uśpiony, nie rośnie – tłumaczy dr Drobniak. Niestety, po pewnym czasie pojawia się oporność na takie leczenie: rośnie poziom PSA i pojawiają się przerzuty (mówi się wówczas o raku prostaty opornym na kastrację). U części pacjentów w ramach programów lekowych można zastosować leki antyandrogenowe nowej generacji. W sposób bardzo skuteczny blokują działanie testosteronu na komórki raka, dlatego hamują postęp choroby lub nawet ją cofają. W Polsce pacjenci mają dostęp do dwóch terapii hormonalnych nowej generacji (enzalutamid i octan abirateronu) w ramach programów lekowych, zarówno przed chemioterapią, jak i po niej.

– U ok. 10–20 proc. pacjentów po leczeniu hormonalnym pierwszego rzutu poziom PSA rośnie, jednak nie widzimy przerzutów. Najprawdopodobniej one już są, tylko nie potrafimy ich stwierdzić za pomocą naszych metod diagnostycznych. Niektóre leki antyandrogenowe nowej generacji mogą zahamować pojawienie się przerzutów: odcinają przesyłanie sygnału do komórek raka i uniemożliwiają w ten sposób podziały komórek nowotworowych. W niektórych sytuacjach pozwala to odroczyć objawy choroby o dwa lata, a nawet więcej – tłumaczy dr Drobniak. Jeden z takich leków został niedawno pozytywnie oceniony przez Radę Przejrzystości Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. Apalutamid jest przeznaczony dla grupy chorych, u których nie stwierdzono jeszcze obecności przerzutów, ale istnieje duże ryzyko, że się pojawią. – W Polsce takie leczenie na razie nie jest dostępne. Użyję sformułowania, którego nie lubię: pacjenci „są skazani" na oczekiwanie na pojawienie się przerzutów. Co kilka miesięcy wykonujemy badania obrazowe, takie jak tomografia komputerowa, scyntygrafia czy PET, by sprawdzić, czy przerzutów nie ma, a nowoczesne leki antyandrogenowe możemy zastosować dopiero, gdy przerzuty się pojawią. Chcielibyśmy naszych chorych wcześniej leczyć, by zapobiec przerzutom. Takie leczenie jest już dostępne w wielu krajach – zaznacza dr Drobniak.

W kilku badaniach klinicznych udowodniono, że dzięki zastosowaniu leku antyandrogenowego nowej generacji można opóźnić pojawienie się przerzutów o ponad dwa lata. – Niewiele jest w onkologii takich leków, które mogą aż tak wpłynąć na poprawę jakości życia i na wydłużenie czasu do pojawienia się przerzutów – przyznaje dr Drobniak. Dodatkowym atutem jest to, że terapia jest w postaci tabletek. Jest to szczególnie ważne w dobie COVID-19, gdyż pacjent przyjeżdża do szpitala co kilka miesięcy, wyłącznie po odbiór leku, i nie jest narażony na skomplikowane procedury. Może normalnie funkcjonować zarówno w domu, jak i w pracy, jeśli pozostaje zawodowo aktywny. Nowoczesne leki są też stosunkowo bezpieczne: ewentualne skutki uboczne (jak np. bóle kostno-mięśniowe, wzrost ciśnienia tętniczego) można zredukować i mieć nad nimi kontrolę.

Onkolodzy mają nadzieję, że uda się zmniejszyć śmiertelność mężczyzn z powodu raka prostaty, tak jak to się stało w przypadku wielu innych nowotworów. Do tego konieczne jest jednak wcześniejsze wykrywanie choroby i możliwość stosowania wszystkich skutecznych terapii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f9fafe5dc1

Granty dla naukowców

Jerzy Starak, przewodniczący Rady Nadzorczej Polpharmy SA

FOT. MATERIAŁY PRASOWE POLPHARMA

Trzy granty na projekty badawcze realizowane przez polskich naukowców na ponad 1,6 mln zł przyznała w tym roku Naukowa Fundacja Polpharmy. Projekty dotyczyły nowatorskich metod immunoterapii, która obecnie staje się jedną z najważniejszych strategii leczenia nowotworów

Naukowa Fundacja Polpharmy co roku ogłasza konkurs na najlepsze projekty badawcze w dziedzinie nauk farmaceutycznych i medycznych. – W 2018 r. Nagrodę Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny otrzymali wspólnie James P. Allison i Tasuku Honjo za osiągnięcia w zakresie immunoterapii. Obecnie w większości nowotworów prowadzi się badania w celu znalezienia nowych punktów uchwytu dla terapii celowanej z wykorzystaniem układu immunologicznego. To było inspiracją do sformułowania tematu XVIII edycji konkursu w 2019 r. – mówi prof. Kazimierz Roszkowski-Śliż, przewodniczący Rady Naukowej Fundacji Naukowej Polpharmy. Tematem było „Poszukiwanie punktów uchwytu dla terapii celowanej z wykorzystaniem układu immunologicznego oraz poszukiwanie mechanizmów oporności na stosowane obecnie metody immunoterapii".

Immunoterapia stała się w ostatnich kilku latach jedną z najskuteczniejszych metod leczenia chorób nowotworowych. Nie działa ona wprost na komórki nowotworowe, pobudza za to układ immunologiczny, który został przez nie „zaślepiony". Dzięki immunoterapii zaczyna je na nowo „widzieć" i atakować. Immunoterapię już dziś wykorzystuje się w leczeniu wielu nowotworów; jest ona wielką nadzieją medycyny.

ZWYCIĘSKIE PROJEKTY

– Komunikacja spełnia kluczową rolę we wszechświecie. Ludzie komunikują się werbalnie i pozawerbalnie, np. poprzez gesty. Z kolei komórki komunikują się między sobą poprzez wysyłane cząsteczki sygnałowe, ale także m.in. przez dotyk. Często uczestniczą w tym tzw. receptory. Istnieją jednak również „fałszerze" komunikacji międzykomórkowej i właśnie pewien rodzaj fałszowania wykształciły komórki nowotworowe: informują one komórki układu immunologicznego, że w organizmie nie dzieje się nic złego. Dlatego układ immunologiczny ich nie atakuje – tłumaczy prof. Sylwia Rodziewicz-Motowidło z Katedry Chemii Biomedycznej Wydziału Chemii Uniwersytetu Gdańskiego, jedna z laureatek tegorocznych grantów Naukowej Fundacji Polpharmy (projekt: „Immunomodulatory peptydowe jako inhibitory punktów kontrolnych PD-1/PD-L1 następnej generacji").

Profesor Sylwia Rodziewicz-Motowidło wyjaśnia, że komórki nowotworowe fałszują komunikację przez produkcję na swojej powierzchni m.in. receptorów PD-L1. – W finansowanym przez Naukową Fundację Polpharmy projekcie będziemy starali się przywrócić prawidłową komunikację pomiędzy komórkami układu immunologicznego człowieka a komórkami nowotworowymi, by te ostatnie były skutecznie niszczone – dodaje prof. Sylwia Rodziewicz-Motowidło. Obecnie już w tym celu używane są w terapii niektórych nowotworów przeciwciała monoklonalne. Uniemożliwiają one wiązanie się receptora programowanej śmierci PD-1, znajdującego się na powierzchni limfocytów T, z receptorem PD-L1 na powierzchni komórek nowotworowych. Jednak przeciwciała monoklonalne nie zawsze się sprawdzają, często powodują skutki uboczne, stąd konieczność poszukiwania nowych leków. – Mogą nimi stać się mniejsze cząsteczki: peptydy i peptydomimetyki. Celem naszego projektu jest właśnie zaprojektowanie peptydów i peptydomimetyków celujących w białka PD-1 lub PD-L1. Mamy nadzieję, że ich zastosowanie będzie powodowało mniej skutków ubocznych, będą też tańsze w produkcji, a co za tym idzie – powszechnie dostępne dla pacjentów onkologicznych – mówi prof. Sylwia Rodziewicz-Motowidło.

eprasa.pl f9fafe5dc1

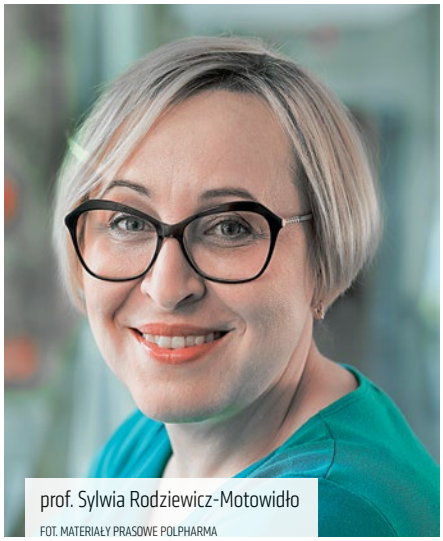
prof. Sylwia Rodziewicz-Motowidło
FOT. MATERIAŁY PRASOWE POLPHARMA

dr Małgorzata Opydo-Chanek
FOT. MATERIAŁY PRASOWE POLPHARMA

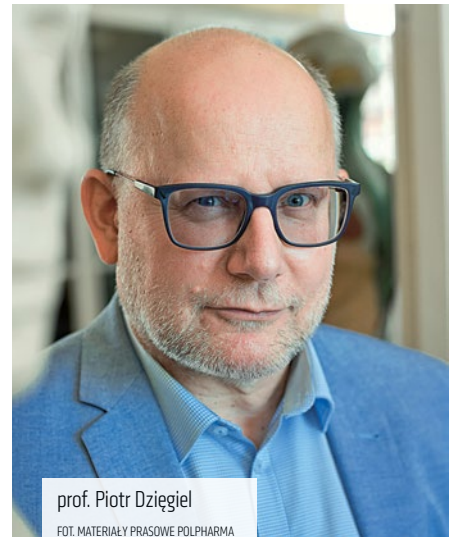
prof. Piotr Dzięgiel
FOT. MATERIAŁY PRASOWE POLPHARMA

Drugi grant Fundacji Naukowej Polpharmy otrzymała w tym roku dr Małgorzata Opydo-Chanek z Zakładu Hematologii Eksperymentalnej Instytutu Zoologii i Badań Biomedycznych Wydziału Biologii UJ. Celem realizowanego przez nią projektu jest poszukiwanie nowej strategii uwrażliwienia komórek ostrej białaczki szpikowej na przeciwciała monoklonalne. – Projekt jest odpowiedzią na potrzebę opracowania bardziej skutecznych i bezpiecznych metod leczenia. W tym projekcie podjęliśmy się badania nowego podejścia w terapii ostrej białaczki szpikowej, łącząc dwa dotychczas niezależnie testowane postępowania terapeutyczne – mówi dr Małgorzata Opydo-Chanek (projekt: „Poszukiwanie nowej strategii uwrażliwienia komórek ostrej białaczki szpikowej na przeciwciała monoklonalne – ocena skuteczności działania mimetyków BH3, będących inhibitorami antyapoptotycznych białek z rodziny Bcl-2”).

Ostra białaczka szpikowa to choroba bardzo heterogenna (u chorych występuje wiele zmian genetycznych i epigenetycznych), co powoduje małą efektywność leczenia. – Zaplanowane przez nas badania pozwolą wyselekcjonować kombinacje testowanych cząsteczek o największej skuteczności. Wierzymy, że realizacja tego projektu będzie stanowić ważny krok w celu opracowania skuteczniejszego leczenia – dodaje dr Małgorzata Opydo-Chanek.

Trzeci nagrodzony grantem projekt dotyczy raka piersi. Może przyczynić się do stworzenia nowych metod immunoterapii w leczeniu tego nowotworu, łatwych do zastosowania, a jednocześnie niedrogich. – W ostatnich latach immunoterapia z wykorzystaniem przeciwciał monoklonalnych w leczeniu chorych na raka piersi święci prawdziwe triumfy. Nasze wcześniejsze eksperymenty wykazały, że komórki raka piersi charakteryzują się nadekspresją białka SATB1. Odgrywa ono kluczową rolę w procesie rozwoju nowotworu. Na razie pracujemy na modelu doświadczalnym, ale jest to etap niezbędny, by w ciągu następnych kilku lat rozpocząć wstępne badania kliniczne z udziałem pacjentów – mówi prof. Piotr Dzięgiel z Zakładu Histologii i Embriologii Katedry Morfologii i Embriologii Człowieka Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu (tytuł projektu: „Znaczenie białka SATB1 jako nowego celu w immunoterapii raka gruczołu piersiowego z wykorzystaniem adoptywnego transferu limfocytów T”).

2020 – ROK WAŻNY DLA NAUKI

W 18 edycjach konkursu Naukowej Fundacji Polpharmy 75 zespołów otrzymało granty na blisko 23 mln zł. 61 projektów zostało zakończonych, a ich wyniki opublikowano w renomowanych zagranicznych czasopismach naukowych. W tym roku, gdy cały świat nauki próbuje znaleźć skuteczny lek i szczepionkę przeciw koronawirusowi, szczególnie widać, jak ważne są nauka i wsparcie prowadzenia badań naukowych.

Z powodu epidemii koronawirusa uroczystość wręczenia nagród Naukowej Fundacji Polpharmy odbyła się w tym roku w formie on-line. – W dobie epidemii naukowcy mają do odegrania ważną rolę. Właśnie teraz niezwykle istotne jest, by wspierać innowacyjne odkrycia i inwestować w nowe dziedziny nauki, gdyż to one są realną szansą na opracowanie skutecznej kuracji wielu chorób, które do tej pory były uważane za nieuleczalne – mówił Jerzy Starak, przewodniczący Rady Nadzorczej Polpharmy SA, w wystąpieniu podczas uroczystości on-line.

Naukowa Fundacja Polpharmy, założona w 2001 r., jest jedną z największych w Polsce organizacji finansujących projekty badawcze realizowane przez polskich naukowców. Środki finansowe w całości pochodzą z budżetu Zakładów Farmaceutycznych Polpharma SA. W sumie do tej pory na granty dla naukowców fundacja przeznaczyła blisko 23 mln zł (w 2002 r. średnia wartość grantu oscylowała wokół 100 tys. zł, obecnie jest to 500 tys. zł).

– Od zawsze byłem przekonany, że tylko nauka oparta na współpracy z przedsiębiorcami, a co za tym idzie – gospodarka zbudowana na wiedzy ma szansę na rozwój. Z tego względu założyłem fundację, której celem jest promowanie i nagradzanie najzdolniejszych polskich badaczy. W obliczu nowych okoliczności tym bardziej jesteśmy zmotywowani do dalszych działań. Z dużą satysfakcją i uznaniem obserwuję rozwój polskiej nauki, czuję dumę i satysfakcję, że udało się dzięki pomocy naszej fundacji zrealizować w kraju wiele znaczących badań dla rozwoju nauk medycznych i farmaceutycznych – mówił Jerzy Starak.

Tematem kolejnej edycji konkursu na finansowanie projektów badawczych ze środków Naukowej Fundacji Polpharmy jest „Modulacja przewlekłych procesów zapalnych indukowanych procesami dysbiozy”. Informacje, w jaki sposób można zgłaszać projekty do konkursu, można znaleźć na stronie internetowej: www.polpharma.pl/fundacja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Monika Długosz

eprasa.pl f9fafe5dc1

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Groźna matka cara Iwana

Jeśli ktoś sądzi, że caryca Katarzyna była jedyną despotyczną kobietą – władczynią Moskwy – to powinien przyjrzeć się losom Heleny Glińskiej, matki księcia Iwana Wasylewicza, zwanego potem Groźnym.

Wielka księżna, córka Wasyla Glińskiego, wywodziła się z rodu litewskich książąt, który na początku XVI stulecia przeniósł się do Moskwy, przyjmując poddaństwo jej władcy. Stało się tak, gdyż Michał, stryj Heleny, w 1508 r. podniósł bunt przeciwko królowi Zygmuntowi Staremu. Ten wygnał braci z kraju, konfiskując ich dobra. Gliński pokłonił się wówczas władcy Moskwy Wasylowi III. Ciekawe, że przeciw nowemu panu zbuntował się też po zdobyciu Smoleńska w 1514 r. i usiłował wrócić na służbę do króla Polski. Jednak został uwięziony i tylko przejście na prawosławie uratowało go przed katem.

W 1526 r. jego brat oddał córkę za żonę Wasylowi III, który z pierwszego związku nie doczekał się potomstwa. Litwinka Helena, piękna i wykształcona, zawładnęła sercem władcy. Jak pisze Władysław A. Serczyk: „Książę zdobył się nawet na krok w państwie moskiewskim prawdziwie rewolucyjny – zgolił sobie brodę", co wielu dworzan poczytywało za zapowiedź reform w stylu zachodnim. W 1530 r. Helena urodziła mu pierwszego syna, późniejszego księcia Iwana Wasylewicza, zwanego Groźnym, jednego z najokrutniejszych władców Moskwy. Dzieje jej panowania pokazują jednak, że skłonności do gwałtu i przemocy wyssał razem z mlekiem matki.

Kiedy Wasyl III zmarł w 1533 r., pozostawiając trzyletniego syna i żonę, na łożu śmierci wyznaczył na pomocnika Heleny 63-letniego księcia Michała Glińskiego. Natychmiast jednak podnieśli głowy inni pretendenci do tronu – stryjowie Jerzy Iwanowicz i Andrzej Staricki,

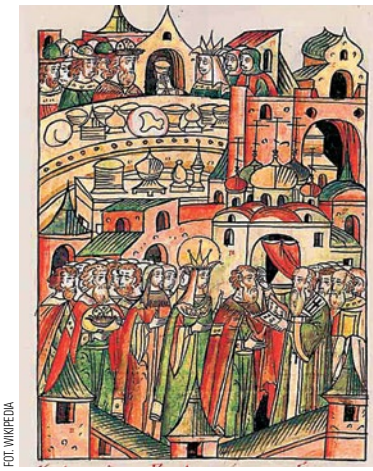

FOT. WIKIPEDIA

a także liczni dalsi krewni dynastii. W dodatku niemal zaraz po pogrzebie potężny ród Szujskich sprzymierzył się z pierwszym z uzurpatorów, uznając jego prawa. O wielkoksiążęcym tytule marzył także sam stary Michał Gliński. Wydawało się zatem, że samotna kobieta, obracająca się we wrogim kręgu brutalnych książąt i bojarów moskiewskich, straci wraz z synem życie i władzę. Tak się jednak nie stało. Najpierw, dzięki pomocy i pozyskaniu Borysa Gorbatego, namiestnika nowogrodzkiego, uwięziono Szujskich. Potem Helena pozbyła się swojego opiekuna – Glińskiego, gdyż znalazła sobie wspólnika i kochanka – Iwana Owczinę-Oboleńskiego, który dość wiernie wspierał ją w rozprawach z opozycją. Brutalnie uderzyła zatem we własnych krewnych – Michał Gliński oskarżony został o spisek i otrucie Wasyla III; szybko znalazł się w turmie, gdzie zmarł. Kolejne represje dotknęły jego wspólników – niektórzy, jak Iwan Lacki i Szymon Bielski, ratowali się ucieczką na Litwę. Z zemsty Helena kazała uwięzić brata tego ostatniego – Iwana Bielskiego, a także księcia Iwana Worotyńskiego. Zwykle owe „czystki" przeprowadzano w prosty sposób – ludzi posądzanych o spiskowanie przeciwko wielkiej księżnej wtrącano do lochów pod pretekstem zdrady, a już po usunięciu sprzed ludzkich oczu najgroźniejszych morzono głodem lub mordowano, często torturując przed śmiercią. Pomniejszych przetrzymywano w zamknięciu całymi latami.

Kolejnym przeciwnikiem, z którym rozprawiła się Helena Groźna, był brat jej męża, książę Andriej Staricki. Wezwała go, aby przybył do Moskwy i wytłumaczył się ze swoich knowań. Wielki książę usiłował wówczas uciec na Litwę, kiedy jednak wojsko odcięło mu drogi odwrotu, ruszył do Nowogrodu, który w tamtych czasach był jednym z najbardziej buntowniczych miast Wielkiego Księstwa. Przewaga sił księżnej była jednak tak duża, że nie zdecydował się na walkę, ale podjął rokowania. Kiedy stojący po stronie regentki bojarzy zaręczyli za życie spiskowców, zdecydował się pojechać do Moskwy. Tam jednak wbrew obietnicom został aresztowany i umieszczony w turmie razem z żoną i synem, gdzie zmarł. Innych z kolei uczestników buntu – 30 nowogródzkich mieszczan – Helena kazała powiesić wzdłuż całej drogi z Moskwy do Nowogrodu Wielkiego.

Helena zmarła nagle w wieku ok. 30 lat, 4 kwietnia 1538 r. Z rekonstrukcji jej głowy wynika, że była piękną kobietą. Współcześni sądzili, że została otruta, brak jednak w źródłach wzmianek o tym. Badanie szczątków wskazuje jako przyczynę zgonu zatrucie rtęcią, jednak pierwiastek ten był w XVI w. składnikiem wielu leków, a nawet kosmetyków. Po jej śmierci mały Iwan IV znalazł się w prawdziwym oku cyklonu walki o władzę ścierających się stronnictw książęcych i bojarskich. Przetrwał go jednak, zyskując z czasem znany dziś przydomek Groźny, gdyż jeszcze bardziej okrutnie niż matka rozprawił się z opozycją. ©℗

eprasa.pl f9fafe5dc1

BIESZCZADZKI PRZYSMAK KAZIMIERZA NÓŻKI

Kazimierz Nóżka jest prawdopodobnie najpopularniejszym leśniczym w Polsce, współprowadzi fanpage Nadleśnictwa Baligród na Facebooku, który obserwuje prawie 200 tys. osób, jest współautorem czterech książek o Bieszczadach FOT. MARCIN SCELINA

Bieszczadzką kuchnię zacząłem odkrywać dość późno, dopiero po ślubie, gdy przeprowadziłem się do Bukowca. Jednym z dań, które wtedy poznałem, są stolniki. Moja żona robi je według przepisu przekazywanego z pokolenia na pokolenie. To danie jednak rzadko gości na naszym stole (nie to co pierogi, które raz, dwa razy w tygodniu są wręcz obowiązkowe). Stolniki jadamy zazwyczaj wtedy, gdy odwiedzają nas nasze dzieci i mamy ochotę wrócić do tradycyjnych bieszczadzkich smaków.

Jest to potrawa bardzo prosta, podobnie jak cała kuchnia wywodząca się z tego kiedyś ubogiego regionu. Stolniki to tak naprawdę ziemniaki w... ziemniakach. Ponoć dawniej piekło się je w chlebowych piecach zawinięte w kapuściane liście, ale my smażymy je nowocześnie na patelni. Podane ze swojską śmietaną i z zeszkloną cebulką smakują obłędnie. Polecam spróbować zrobić samemu lub zamówić, gdy będą państwo w Bieszczadach, bo w wielu miejscowych lokalach podawane są jako potrawa regionalna.

Składniki:

- 2 kg ziemniaków
- cebula
- jajko
- sól
- pieprz
- olej do smażenia

Przygotowanie:

Połowę ziemniaków przygotowujemy podobnie jak na placki ziemniaczane: obieramy je, ścieramy na tarce i odsączamy. Później dodajemy jajko, sól oraz pieprz i mieszamy na jednolitą masę. Drugą połowę ziemniaków gotujemy i podduszamy.

Z ugotowanych ziemniaków formujemy kulki (każda mniej więcej na pół dłoni), otaczamy masą utartych ziemniaków i formujemy. Smażymy na rozgrzanym oleju. Podajemy z omastą ze smażonej cebuli i swojską śmietaną. ©℗ ***oprac. raw***

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Owoc z drzewa...

Kupujesz gładkie jasnożółte banany i kładziesz je do koszyczka na owoce. A one złośliwie już tego samego dnia wieczorem robią się brązowe. Tymczasem maliny, kupione lekko niedojrzałe, zamiast się zaczerwienić, po prostu zaczynają się psuć.

O co tu chodzi? Kto się nie zastanawiał, dlaczego jedne owoce dojrzewają po zerwaniu, a inne nie? Generalnie rzecz biorąc, niewiele owoców jest w stanie zdobyć się na wysiłek dojrzewania po zerwaniu. Większość, szczególnie cytryny, czereśnie, maliny, figi i winogrona, po zerwaniu nie dojrzeją. O tych owocach mówi się, że są nieklimakteryczne. Inne, takie jak awokado, jabłka, kiwi, gruszki, banany, morele, brzoskwinie, melony i pomidory, tzw. klimakteryczne, po zerwaniu nadal mają zdolność dojrzewania.

FOT. ADOBE STOCK

Owoce i warzywa to żywe organizmy. Po oderwaniu od rośliny wciąż oddychają i żyją. To, jak długo będą w dobrej kondycji, zależy w dużej mierze od tego, jak je będziemy traktować. W tym celu dobrze poznać fizjologiczny aspekt dojrzewania owoców i warzyw.

Proces dojrzewania odbywa się dzięki etylenowi, naturalnemu gazowi produkowanemu przez same rośliny. Niektóre gatunki mają zdolność do wytwarzania etylenu w dużej ilości bez potrzeby pobierania go z zewnątrz. Produkcja tego gazu działa u nich na zasadzie perpetuum mobile – gdy tylko w sadzie lub na plantacji otrzymają niewielką dawkę tego gazu, procesu jego produkcji nie da się już zatrzymać. Można go spowolnić, jednak finalnie i tak etylen prędzej czy później doprowadzi do dojrzenia, a później przejrzenia po zbiorze. To właśnie gatunki klimakteryczne.

Gatunki nieklimakteryczne nie mają zdolności do produkcji autokatalitycznego etylenu. Po odcięciu od źródła produkcji tego gazu same także przestają go produkować, a zatem i dojrzewać.

Wniosek? Gruszki, kiwi czy banany możemy kupić lekko niedojrzałe i one same „dojdą" poza lodówką. Etylen przez nie produkowany doprowadzi do ich samoistnego dojrzenia. Banany zielone zrywane są z drzewa i zielone przyjeżdżają do Polski. Gdyby w kraju uprawy pakowano je żółte, do Polski trafiałyby w formie czarnej brei. Można spokojnie kupić zielonkawego, na wpół dojrzałego banana. Następnego dnia będzie już żółty. Ale bez złudzeń: winogrona ani truskawki nie dojrzeją, leżąc na kuchennym blacie.

Niestety, nawet gatunkom klimakterycznym smaku w domu nie przybędzie. Ten wytwarza się w owocu tylko wtedy, gdy wisi on na drzewie. ©℗

eprasa.pl f9fafe5dc1

TEST „DO RZECZY": INTELIGENTNE GNIAZDKA

Poszczególne elementy inteligentnego domu stają się coraz łatwiejsze w obsłudze i o wiele tańsze niż jeszcze kilka lat temu. W tym numerze przetestujemy podstawowy element Smart Home, czyli inteligentne gniazdka trzech firm: TP-Link, Fibaro oraz AVM.

Najtańszym z testowanych gniazdek jest Tapo P100 chińskiej firmy TP-link. Kosztuje ok. 50 zł, jest nieduże i całkiem ładne. Po podłączeniu do Wi-Fi inteligentnym gniazdkiem można sterować za pomocą darmowej aplikacji na smartfony. Można więc zdalnie włączać i wyłączać lampkę nocną, ekspres do kawy, światło w akwarium lub klimatyzator w sypialni (jedyne ograniczenie to maksymalna moc sterowanego urządzenia, wynosząca 2300 W). Bez trudu, będąc na egzotycznych wakacjach, można więc zapalić i zgasić lampę w salonie. Urządzenie może również automatycznie włączać się i wyłączać o różnych porach, symulując obecność domowników. Aplikacja pozwala też tworzyć harmonogramy pracy gniazdka, a także ustawianie programatora czasowego, który np. po trzech minutach pracy wyłączy domowy toster. Tapo P100 umożliwia również sprawdzenie, jak długo urządzenie pobierało prąd. Gniazdko może być też sterowane głosem za pomocą takich asystentów jak Google Home oraz Alexa. Rano możemy więc za pomocą prostego polecenia głosowego włączyć czajnik elektryczny lub ekspres do kawy. Tapo P100 ma też na obudowie przydatny przycisk, dzięki któremu możemy wyłączyć wtyczkę, gdy nie mamy akurat pod ręką smartfona.

Najładniejszy design z trzech testowanych gniazdek ma Fibaro Wall Plug. Gniazdko jest zaskakująco małe i otoczone kolorowym pierścieniem LED. Można nim sterować za pomocą dedykowanej aplikacji lub np. korzystając z HomeKit na iPhonie. Produkowany w Polsce gadżet jest na tyle kompaktowy, że nie utrudnia dostępu do sąsiednich gniazdek. Bez trudu można więc wpiąć dwa obok siebie w podwójne gniazdko. Inteligentne gniazdko dzięki wbudowanemu miernikowi energii

w aplikacji może podać również dokładnie, ile energii zużywają np. czajnik lub żelazko, co pozwala namierzyć najbardziej energochłonne sprzęty w domu i odłączać je automatycznie, gdy nie są już potrzebne. Na aktualny pobór mocy wskazuje też wspomniany pierścień LED, który zmienia kolor w zależności od mocy pobieranej przez podłączone urządzenie (od niebieskiego zaczynając, poprzez zielony, na fioletowym kończąc). Delikatna poświata wokół gniazdka umożliwia łatwe odnalezienie gniazda nawet w nocy. Fibaro Wall Plug umożliwia ustawienie określonego czasu pracy danego urządzenia, a także jego zdalne włączanie/wyłączanie z dowolnego miejsca na świecie. Gniazdko Fibaro może też wysłać powiadomienie na smartfona o każdym włączeniu któregoś z podłączonych urządzeń, a także o ich nietypowej pracy (da więc znać, gdy w wyniku awarii sieci lodówka zaczyna się rozmrażać). Testowany gadżet posiada też zabezpieczenie przeciwobciążeniowe. Na obudowie znajduje się także przycisk do ręcznego sterowania gniazdkiem (i ewentualnego resetu). Cena: 175 zł.

Trzecie testowane gniazdko to Fritz!Dect210 niemieckiej firmy AVM w technologii DECT. Z wyglądu najbardziej toporne, ma jednak nad konkurentami tę przewagę, że może być stosowane poza domem. Klasa odporności IP 44 oznacza, że jest chronione przed wodą bryzgającą ze wszystkich kierunków. Dzięki temu może służyć np. do zdalnego włączania i wyłączania ogrodowego zraszacza. Podobnie jak w przypadku innych inteligentnych gniazdek, jeżeli jest ono używane wewnątrz, to można też zdalnie zyskać pewność, że np. żelazko jest wyłączone. Za pomocą bezpłatnej aplikacji można też tworzyć harmonogram działania urządzeń lub ustawić np. tryb astronomiczny. Gniazdo Fritz!Dect210 potrafi też rejestrować ilość zużywanej energii (odpowiednie raporty gniazdko może wysyłać e-mailem), a także sporządzić prognozę zużycia. Maksymalna moc urządzeń podłączonych do Fritz!Dect210 wynosi 3450 W. Istotnym minusem jest to, że inteligentne gniazdo Fritz! działa tylko z modemami tej firmy. Cena: 229 zł. ©℗

Jacek Przybylski

INTELIGENTNA DONICZKA

Niemal 6,5 mln dol., czyli aż 26 mln (!) zł, zebrali od internautów twórcy inteligentnej doniczki terraplanter. Od tradycyjnych doniczek terraplanter odróżnia to, że rośliny w niej rosnące nie potrzebują ziemi. Projektanci tej nowoczesnej, porowatej doniczki zapewniają, że wystarczy wlać do środka wodę, aby korzystając z zalet hydroponiki, obserwować wzrost naszej rośliny na powierzchni doniczki. Dzięki temu można cieszyć się z domowego ogrodu – w terraplanter posadzić można praktycznie wszystko: od trawy do storczyków z rodzaju tolumnia – bez ryzyka zabrudzenia ziemią mebli, telewizora etc. Za terraplanter trzeba zapłacić 62 dol., czyli 250 zł. Dostawy planowane są na styczeń przyszłego roku. Zamawiać można na Indiegogo oraz Kickstarterze.

PIES ROBOT W MASOWEJ SPRZEDAŻY

Amerykańska firma Boston Dynamics po roku testów, gdy 150 egzemplarzy robota-psa o nazwie Spot trafiło do wybranych przez producenta przedsiębiorstw, zaoferowała możliwość kupna nietypowego gadżetu każdej firmie działającej na terenie USA. Jedyne ograniczenie: sympatyczny Spot, który potrafi poruszać się z prędkością 1,6 m/s, a dzięki kamerkom sprawnie omija przeszkody, nie może być wykorzystywany do robienia krzywdy ludziom. Ważący 25 kg robot-pies sprawdził się już przy tworzeniu map 3D na kanadyjskich budowach, jako inspektor w zakładach produkcyjnych w Norwegii, pomocnik jednego z zespołów NASA, członek oddziału bombowego policji stanu Massachusetts, a nawet jako pies pasterski w Nowej Zelandii. Niestety, cena wynosi aż 74,5 tys. dol. (298 tys. zł). ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f9fafe5dc1

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Troszkę pokory

Żyjemy w dość ciekawym momencie dziejów, w którym coraz powszechniej kwestionuje się obowiązujące dotychczas dogmaty. Nauka, która do niedawna była alfą i omegą, Panem Bogiem i papieżem w jednym, ze zdumieniem stwierdziła, że jej osiągnięcia są wykorzystywane przeciwko niej samej. Wszak sukcesy antyszczepionkowców czy płaskoziemców nie byłyby możliwe, gdyby nie Internet i nowoczesne technologie komunikacyjne.

Oburzenie na ignorancję rozmaitych obskurantów jest oczywiście słuszne. Ale w konsekwencji prowadzi do swego rodzaju krucjaty – by sięgnąć do historycznych metafor – która raz na zawsze chce odzyskać miejsce należne nauce. A ponieważ obskuranci trzymają się mocno, oświeceni tym gorliwiej składają hołdy swemu bożkowi.

Cóż, w walce tych dwóch sił kibicuję raczej nauce. To oczywiste. Ale trochę mnie niepokoi ubóstwienie naszej ludzkiej wiedzy, bo prowadzi ono do zaniku pokory, która ludziom się przydaje. Przeszacowanie naszego geniuszu rodzi frustrację, gdy nauka nie jest sobie w stanie z czymś poradzić. A tak się stało przy okazji koronawirusa. Zgodnie z naszym wyobrażeniem o sobie i nauce powinniśmy sobie z wirusem poradzić w 15 minut, a w miesiąc wynaleźć szczepionkę. Tymczasem miesiącami spieramy się o to, czy noszenie maseczek (czyli płóciennych szmat) jest pomocne czy wręcz przeciwnie.

Przeczytałem ostatnio doskonałą książkę Billa Brysona „Ciało. Instrukcja dla użytkownika", która przy okazji błyskotliwych opisów zakamarków naszego jestestwa opisuje też rewolucję, która dokonała się w medycynie na przestrzeni ostatnich 100–150 lat. Nasi pradziadkowie, czy nawet dziadkowie żyli w czasach bez antybiotyków czy insuliny, a ich dziadkowie, którzy byli lekarzami, wierzyli, iż upuszczanie krwi to doskonałe lekarstwo na wszystko, zaś mycie rąk przed zabiegiem chirurgicznym nie ma żadnego sensu. A mimo tak niebywałego i błyskawicznego postępu najczęściej powtarzającą się frazą w tej wspaniałej książce jest „nie wiadomo". Nie wiemy wielu rzeczy o mózgu, jelitach, odporności, witaminach. Zagadek nadal jest znacznie więcej niż odpowiedzi. I o tym powinniśmy pamiętać.

W roku 1978 chirurdzy wprowadzili elektrycznie podgrzewany drut do odbytu 69-letniego mężczyzny, by rozprawić się z rosnącym tam polipem. W efekcie doszło do wybuchu, który rozerwał nieszczęśnika na strzępy. To nie działo się w XVII w. i nie w równikowej Afryce, tylko niemal współcześnie w Nancy we Francji. I był to tylko „jeden z wielu odnotowanych wybuchów gazu w okrężnicy podczas operacji odbytu".

Nauka to nie jest absolut, który już osiągnęliśmy. To proces, który pewnie nigdy się nie skończy. Ciągle się mylimy, błądzimy, popełniamy błędy. Daleko nam do homo deus. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Good morning, Lenin!

W 2003 r. kinowe triumfy święciła komedia Wolfganga Beckera „Good bye, Lenin!". Film opowiadał o perypetiach chłopaka, którego matka – zaangażowana komunistka z NRD – przeżyła szok po upadku muru berlińskiego. Gdy obudziła się ze śpiączki, lekarze doradzili synowi, aby w trosce o jej zdrowie stopniowo dawkował docierające informacje. Alex – bo takie imię nosił główny bohater – robił więc wszystko, aby ukryć upadek ZSRS, zjednoczenie Niemiec i zwycięstwo kapitalizmu, który agresywnie wdzierał się do wschodniego Berlina. Tworząc coś w rodzaju żywego muzeum komunizmu, podtrzymywał fikcję do momentu, w którym dłużej nie dało się tuszować rzeczywistości.

Dziś nie potrzeba gorzkiej komedii, aby poczuć się jak na planie „Good bye, Lenin!". Jego myśli przeżywają bowiem – w tle lewicowo-anarchistycznej rewolucji przelewającej się przez USA i Europę – swoisty renesans. Dla przykładu: choć w Ameryce obala się pomniki każdego „nieprawomyślnego" przywódcy, od Jerzego Waszyngtona do Krzysztofa Kolumba, dziwnym trafem jednego nikt nie rusza. Chodzi o monument wodza rewolucji bolszewickiej ustawiony w Seattle. Miasto, którego sporą część zdewastowano w trakcie zamieszek, zamieniając na „ludową strefę autonomiczną", oszczędziło wizerunek Włodzimierza Lenina. Dlaczego? Jak twierdzi amerykańska pisarka i działaczka ruchu LGBT Charlotte Clymer, stało się tak, bo pomnik stoi „na prywatnej działce", a sam Lenin „nie był właścicielem niewolników". Rabujący sklepy i podpalający auta tłum uszanował zatem świętą dla komunistów własność prywatną, twórcę systemu sowieckiej pracy przymusowej, uznając za swojego człowieka. Sensowne, prawda?

Idźmy dalej. Ekipy filmowej nie trzeba również, aby obejrzeć relację z odsłaniania pomnika Lenina w Gelsenkirchen, ustawionego kilka dni temu przez skrajnie lewicową partię MLPD. Miasto sądziło się z neomarksistami, ale w końcu przegrało, a ci ku uciesze zwolenników urządzili pod siedzibą ruchu wesołą galę ku czci Włodzimierza Iljicza. „Lenin był wyprzedzającym swoje czasy myślicielem o historycznym znaczeniu, jednym z wczesnych bojowników o wolność i demokrację" – uzasadniali swoją decyzję politycy MLPD. Jeżeli ktoś myśli, że na podobne absurdy jesteśmy ze względu na doświadczenie realnego komunizmu w Polsce uodpornieni, nie mam optymistycznych wiadomości. Również niedawno młoda działaczka SLD stwierdziła bowiem w „Rz", że „PRL nie była taka zła", jak ją malują, a puste półki to propagandowa mistyfikacja. W swoim felietonie lewicowy publicysta „Galopujący Major" uznał zaś, że w sumie Lenin przez przypadek przyczynił się do niepodległości Polski, a jego zbrodnie, czyli ok. 250 tys. ofiar, to „jednak, mimo wszystko, trochę mało jak na zbrodnie Hitlera albo kolonializmu". ©℗

eprasa.pl f9fafe5dc1

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Black and white

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Historia nie jest już szkołą patriotyzmu wpajającą nam cnotę wdzięczności. Historia nie uczy już ciągłości i nie budzi w nas poczucia zakorzenienia czy przynależności do jakiegoś narodu. Historia nie przekazuje już ludziom cennego, kruchego dziedzictwa, którego powinni się czuć spadkobiercami. […] Studiowanie historii to dziś nauka uwalniania się od niej".

Te słowa kanadyjskiego antropologa Mathieu Bock-Côté o „polityce historycznej" współczesnej lewicy forsującej ideologię multikulturalizmu przypominają się, kiedy się ogląda ataki neomarksistowskich bojówek w rodzaju Antify czy BLM (Black Lives Matter) na pomniki Churchilla, generałów Konfederacji oraz innych „białych, martwych mężczyzn", do których grona hurtem zaliczono poczciwego Kościuszkę i Pułaskiego.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

W sensie generacyjnym uczestnikami tej współczesnej fali kulturowego wandalizmu są „millennialsi", czyli pokolenie 20-latków wychowanych w duchu „pokutnej historiografii", która już od kilkudziesięciu lat króluje w murach akademii po obu stronach Atlantyku. Jak zauważa cytowany Kanadyjczyk, nauczanie historii stało się dla „pokolenia 1968 r.", zwycięsko przechodzącego od 40 lat przez instytucje zachodniego świata medialnego i naukowego, „jednym z kluczowych instrumentów publicznego zarządzania pamięcią i multikulturowej rekonstrukcji tożsamości zbiorowej".

Najpierw chodziło o wyrobienie poczucia wstydu za wszystkie „winy zachodniej cywilizacji białych mężczyzn", a „konsekwencją wstydu miało stać się odrodzenie społeczeństwa w duchu celebracji różnicy". Na tej „kryminalizacji tożsamości narodowej" polega „postzachodni syndrom" (post-West syndrome), o którym już w 1997 r. pisał John Fonte.

Jak pisze inny badacz tego zjawiska, owi „bojownicy o historyczne zadośćuczynienie", których kolejne pokolenie obserwujemy dzisiaj na ulicach amerykańskich i zachodnioeuropejskich miast, operują swoistym szantażem: „Jeśli nie chcecie przyjąć naszej wizji historii, to należycie do partii katów gnębiących ofiary, których jesteśmy oczywistymi przedstawicielami" (P.F. Paoli).

Szantaż w połączeniu ze zwykłym oportunizmem lub tchórzostwem szantażowanych skutkuje w aktach autocenzury (zdjęcie przez HBO ze swojej oferty filmu „Przeminęło z wiatrem") i ochoczym wywieszaniem haseł kojarzonych z rewolucyjnym przewrotem (por. akcję niektórych angielskich klubów piłkarskich umieszczania liter BLM na swoich koszulkach).

Hunwejbini współczesnej rewolucji kulturalnej na szantażu nie poprzestają. Wzorem swoich poprzedników z komunistycznych Chin domagają się usuwania z uczelni profesorów oskarżanych przez nich o „rasistowskie poglądy". Ostatnio dotknęło to profesora nauk politycznych Paula Kengora z Grove City College, autora znanej także u nas książki „Prezydent i papież" o współpracy Ronalda Reagana i św. Jana Pawła II w rozmontowywaniu sowieckiego „imperium zła".

Oczywiście w całej twórczości P. Kengora i w jego wykładach nie sposób znaleźć ani krzty rasizmu, ale nowa lewica słowo „rasizm" rozumie w świetle wyznawanej przez siebie „krytycznej teorii rasizmu" vel teorii „systemowego rasizmu". Ideologia ta jest wprost zainspirowana pochodzącą z neomarksistowskiej szkoły frankfurckiej „teorią krytyczną". Chodzi o to, że można być na pierwszy rzut oka osobą o czarnym kolorze skóry, ale pierwsze wrażenie może okazać się bardzo mylące. O tym bowiem, kto jest „czarny" (czyli jest współczesnym proletariatem, wehikułem rewolucji), a kto jest „biały" (czyli jest „klasą reakcyjną"), nie decyduje biologia (z tym już dawno uporała się ideologia gender), ale „wzorce kulturowe".

Innymi słowy, osobami „białymi" w tym ujęciu są np. kardynał Robert Sarah albo sędzia Sądu Najwyższego USA Clarence Thomas, ponieważ jeden i drugi reprezentują „reakcyjne" (tj. „białe") poglądy na prawo naturalne, w tym prawo do życia osób nienarodzonych. W ujęciu „krytycznej teorii rasizmu" są to poglądy z gruntu „rasistowskie" i „faszystowskie". Tym bardziej dotyczy to takiej postaci jak wspomniany P. Kengor, który jest biały pod obydwoma względami (biologicznym i kulturowym). Jego „rasizm" ujawnił się już w fakcie nawrócenia się na katolicyzm, a przed paroma laty po raz kolejny dał o sobie znać poprzez publikację swojej książki „Takedown. Jak lewica sabotuje rodzinę i małżeństwo".

No, dla takiego „rasisty" nie ma miejsca na amerykańskich uczelniach. ©℗

eprasa.pl f9fafe5dc1

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY"
I MIESIĘCZNIK
„HISTORIA DO RZECZY"

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

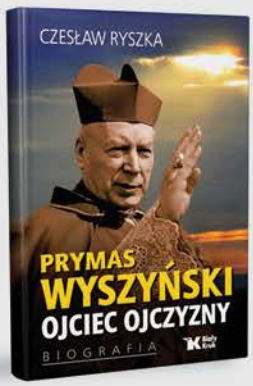

W PREZENCIE KSIĄŻKA:

CZESŁAW RYSZKA „PRYMAS WYSZYŃSKI. OJCIEC OJCZYZNY"

~~756~~ ZŁ > **283,00** ZŁ < OSZCZĘDNOŚĆ 473 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl f9fafe5dc1

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Uciekłem z piekła Korei. Wywiad z ofiarą azjatyckiego bolszewizmu

Jan Sadkiewicz – **W obronie ostatniego króla**
Tymoteusz Pawłowski – **Porwanie Poniatowskiego**
Sławomir Koper – **Romans Stanisława z Katarzyną**
Jakub Ostromęcki – **Pojedynki snajperów w Stalingradzie**
Mikołaj Iwanow – **Polska republika sowiecka**
Sławomir Cenckiewicz – **Powrót Adolfa Bocheńskiego**
Piotr Zychowicz – **Dlaczego Hitler przegrał ze Stalinem**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl f9fafe5dc1

12 **Banki centralne** znowu w akcji

20 **Rewolucja 6G** zmieni cywilizację

32 **Wraca szalony** pomysł aktywistów

Konserwatywny magazyn ekonomiczno-społeczny

Forum Polskiej gospodarki

Nr 1 (1) czerwiec 2020

26 **Wzrost cen** hamuje

16 **Podatki** po nowemu

Felietony:
Gniadek SVD
Palutkiewicz
Goral

20 **Dla polskich przedsiębiorców** nie ma rzeczy niemożliwych

4 **Zacznijmy wreszcie** normalnie żyć
rozmowa z Adamem Abramowiczem, rzecznikiem MŚP

04. ZACZNIJMY WRESZCIE NORMALNIE ŻYĆ
O odmrażaniu gospodarki rozmawiamy z Adamem Abramowiczem, rzecznikiem małych i średnich przedsiębiorców.

12. BANKI CENTRALNE ZNOWU W AKCJI
W obecnych realiach trudno sobie wyobrazić politykę gospodarczą bez aktywnej i często niekonwencjonalnej roli banków centralnych.

16. TRANGRANICZNE MDR TRZEBA SKŁADAĆ PONOWNIE
Co nam zafundowało Ministerstwo Finansów w związku z kolejną odsłoną tarczy antykryzysowej?

20. DLA POLAKÓW NIE MA RZECZY NIEMOŻLIWYCH
Philip Vanherrewege, belgijski architekt działający w naszym kraju od ponad 20 lat, opowiada nam o współpracy z polskimi przedsiębiorcami z sektora MŚP.

24. REWOLUCJA 6G ZMIENI CYWILIZACJĘ
Choć Internet jeszcze nie ochłonął po „rewelacjach" teorii spiskowych wokół 5G, na horyzoncie pojawia się nowy obiekt kontrowersji – sieć 6G.

26. INFLACJA? DROŻYZNY NIE BĘDZIE
Ostatnie dane o inflacji wskazują na hamowanie cen. Tanieć mają owoce, warzywa, mięso i mleko.

28. RYNEK PRACY BIUROWEJ CZEKA REWOLUCJA
Zarządcy budynków biurowych dwoją się więc i troją, by zatrzymać u siebie firmy. W wielu wypadkach ich wysiłki trafiają w próżnię.

32. WRACA SZALONY POMYSŁ AKTYWISTÓW
Finalnie za wołowinę mielibyśmy płacić o 20 zł więcej za kilogram, za wieprzowinę o 15 zł więcej, a drób podrożałby o ok. 7,3 zł.

34. STRATEGICZNE ZNACZENIE SPÓŁEK BIOTECHNOLOGICZNYCH
Czy polskie państwo jest przygotowane na „czas wojny" z patogenami takimi jak koronawirus?

38. STAĆ NAS NA EKSPORTOWANIE NOWOCZESNYCH TECHNOLOGII
Musimy przejść z modelu gospodarki imitacyjnej do modelu gospodarki innowacyjnej - mówi Piotr Hofman, prezes Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa.

Forum Polskiej gospodarki

Wydawca:
Forum Polskiej Gospodarki Sp. z o.o.
ul. Srebrna 16
00-810 Warszawa

Redaktor zarządzający:
Krzysztof Budka

Zespół redakcyjny:
Robert Azembski, Kamil Goral, Janusz Grobicki, Marek Kutarba, Jacek Podgórski (Instytut Gospodarki Rolnej)

Felietoniści:
ks. Jacek Gniadek SVD
Piotr Palutkiewicz (Związek Przedsiębiorców i Pracodawców)
Kamil Goral (Rada Gospodarcza Strefy Wolnego Słowa)

Skład i opracowanie graficzne:
Przemysław Banasiewicz

Korekta:
Anna Zakrzewska

Reklama:
tel. 788-308-608

Partner merytoryczny wydania:
Rada Gospodarcza Strefy Wolnego Słowa

Redakcja Forum Polskiej Gospodarki nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i ogłoszeń.

eprasa.pl f9fafe5dc1

Czas na całkowite otwarcie gospodarki

Coraz więcej osób coraz głośniej zadaje pytanie, czy zatrzymanie światowej gospodarki i całkowita izolacja społeczna miały sens? Czy skutki kwarantanny nie okażą się bardziej zabójcze od samego koronawirusa? I nie chodzi tu o żadnych frustratów czy bankrutów. Pytania te bowiem zadają naukowcy, ekonomiści, etycy, przedsiębiorcy i wielu tzw. zwykłych zjadaczy chleba. Zresztą trudno się temu dziwić, bo tych pytań po prostu nie można nie zadać.

Zadaliśmy je również m.in. rzecznikowi małych i średnich przedsiębiorców Adamowi Abramowiczowi, który – jak na polityka (ale i przedsiębiorcę) przystało – uciekł się do dyplomacji i stwierdził: „Osobiście mam co do tego wątpliwości..." (gorąco zachęcam do przeczytania całego wywiadu z Abramowiczem).

Dociekliwi amerykańscy eksperci (na szczęście wciąż w Stanach można prowadzić tego typu badania i zadawać podobne pytania) z University of California w Berkeley zadali sobie trud i na podstawie różnych nowoczesnych instrumentów naukowych postanowili zbadać wpływ kwarantanny na rozprzestrzenianie się wirusa w USA i przełożyć go na koszt. Nie wdając się w szczegóły, ich odkrycia całkowicie poddają w wątpliwość prawdziwą wartość kwarantanny. „Nie możemy oszacować dokładnego kosztu tych decyzji, ale z całą pewnością przekroczy on bilion dolarów. I to delikatne szacunki, ponieważ nie były brane pod uwagę samobójstwa i inne straty społeczne. Z kolei korzystając z danych dotyczących infekcji i zgonów, można oszacować, że dzięki zatrzymaniu gospodarki i izolacji społecznej uratowano w USA 74 tysięcy osób. Wreszcie, w oparciu o dane demograficzne z VSL, można stwierdzić, że ekonomiczna korzyść z zachowania odległości fizycznej wynosi około 250 mld dolarów" – piszą w podsumowaniu.

250 mld dolarów, czyli zaledwie 25 proc. wspomnianego biliona...

Jasne jest, że ludzkiego życia nie da się przełożyć na pieniądze i nie o to chodzi, byśmy zastanawiali się, ile dolarów „kosztuje" człowiek. Chodzi o coś zupełnie innego. O pokazanie, że zamrożenie gospodarki w imię walki o zdrowie i bezpieczeństwo więcej ludzi tego zdrowia i bezpieczeństwa pozbawiło, niż im go zapewniło. Podobne badania przeprowadzono w Niemczech i Wielkiej Brytanii. I przyniosły one podobne wyniki. Nie jest to więc żaden przypadek.

Cóż, co się stało, to się nie odstanie. Teraz najważniejsza jest konkluzja tych wszystkich badań. Ona w zasadzie prowadzi do tego samego wniosku: wszelkie ograniczenia powinny się jak najszybciej skończyć. Najwyższy czas na ponowne otwarcie gospodarki! Krótko mówiąc, „Zacznijmy wreszcie normalnie żyć" – o co apeluje w naszej rozmowie wspomniany już minister Abramowicz.

Krzysztof Budka

eprasa.pl f9fafe5dc1

Zacznijmy wreszcie normalnie żyć!

Jeżeli racjonalnie od 1 lipca nie uruchomimy całej gospodarki, to za kolejne trzy miesiące nie będzie już ani mamony u przedsiębiorców, ani pieniędzy w budżecie, ani zdrowia - mówi Adam Abramowicz, rzecznik małych i średnich przedsiębiorców.

Rozmawiał **Krzysztof Budka**

eprasa.pl f9fafe5dc1

Czy ktoś z rządu odpowiedział na Pana apel w kwestii całkowitego odmrożenia gospodarki najpóźniej 1 lipca?
Uznajmy, że odpowiedzią jest stopniowe odmrażanie poszczególnych sektorów, które ma miejsce od połowy maja. Bardzo dobrze, że ono następuje. Bardzo dobrze, że kolejne branże zaczynają z powrotem funkcjonować. Oczywiście nie wszystkie na takich warunkach, na jakich by sobie tego życzyły, niemniej przedsiębiorcy w ogromnej większości to ludzie odpowiedzialni, którzy doskonale zdają sobie sprawę z sytuacji, więc byli i są gotowi poddać się reżimowi sanitarnemu. Wiem, bo niemal non stop prowadzę z nimi rozmowy. Oni to rozumieją, wiedzą, że to dla bezpieczeństwa zarówno ich, jak i ich klientów. To oczywiste, że klient musi czuć się bezpiecznie, robiąc zakupy czy korzystając z jakichś usług.

Skąd w ogóle ta data? Czemu uważa Pan, że 1 lipca powinna być odmrożona cała gospodarka?
Proszę zwrócić uwagę, że od kilku miesięcy w postaci tarcz pomocowych wypływają pieniądze z budżetu do firm. Jednocześnie do tego budżetu trafia zdecydowanie mniej niż przed ogłoszeniem epidemii. Utrzymywanie takiego stanu rzeczy musi być ograniczone czasowo. Trudno sobie wyobrazić, by taka sytuacja miała miejsce do czasu np. wynalezienia szczepionki na COVID-19. Zresztą niektórzy naukowcy mówią, że szczepionki w ogóle nie da się na to wynaleźć, bo wirus cały czas mutuje. Tak czy inaczej, żadne państwo na dłuższą metę takiego stanu nie przetrzyma. Również nasze. Nie można w kółko drukować obligacji, bo za chwilę załamie się nam budżet. Musimy wrócić do normalnie funkcjonującej gospodarki. To absolutna konieczność, by ludzie mieli za co żyć, ale również konieczność, by państwo miało pieniądze w budżecie. Za chwilę nie będzie pieniędzy chociażby na służbę zdrowia. Z czego będziemy ją finansować? Wiem, że wiele osób postrzega przedsiębiorców przez pryzmat mamony, nawet kosztem zdrowia. Otóż jest to całkowita nieprawda. Jeżeli racjonalnie od 1 lipca nie uruchomimy całej gospodarki, to za kolejne trzy miesiące nie będzie już ani mamony u przedsiębiorców, ani pieniędzy w budżecie, ani zdrowia. Z wirusem musimy nauczyć się żyć. On nie zniknie z dnia na dzień. Stopniowo powinniśmy też wracać do normalnych warunków, czyli wszystkie obowiązujące obostrzenia powinny być łagodzone.

Jeśli mielibyśmy znów zamrozić gospodarkę na kilka miesięcy, to później mogłoby się okazać, że nie będzie już co zbierać i do czego wracać.

Wydaje się, że wiele osób wciąż się jednak boi, słuchając komunikatów w mediach o tym, że liczba zarażonych wcale w Polsce nie maleje.
Ale przecież utrzymać restaurację czy kino w warunkach ograniczonej liczby osób będzie niezwykle trudno. Dlatego wraz z poprawą warunków pracy służby zdrowia – zresztą był czas na to, by ją odpowiednio zorganizować na wypadek epidemii – nadszedł czas, by przywracać normalność życia społecznego i gospodarczego. Tym bardziej że nie wszystkie firmy mogły skorzystać z pomocy, jaką oferują tarcze antykryzysowa i finansowa. Apelowałem do premiera o jasno określony harmonogram odmrożenia gospodarki i łagodzenia obostrzeń, bo taki harmonogram spowodowałby, że przedsiębiorcy mogliby sobie policzyć, ile muszą mieć pieniędzy, aby utrzymać firmę. Jak tego terminu nie znają, to co robią? Zaczną ciąć koszty, czyli będą zwalniać ludzi. Nie ma innego wyjścia. Mamy w Polsce w większości przypadków wypowiedzenia miesięczne i trzymiesięczne. Rząd tłumaczy, że na razie nie widać efektów bezrobocia, jak np. w USA, gdzie pojawiło się ono błyskawicznie, bo tam nie ma tak długich wypowiedzeń. Ale to bezrobocie i u nas się niestety ujawni. By ten negatywny efekt był jak najmniejszy, konkretny termin odmrożenia gospodarki i wyjścia z obostrzeń powinien być jak najszybciej określony.

Wspomniał Pan o tym, że z tym wirusem musimy nauczyć się żyć, wszyscy zdajemy już sobie z tego do-

eprasa.pl f9fafe5dc1

skonale sprawę. Rodzi się wobec tego pytanie, czy był sens zatrzymania gospodarki i narażenia się na tak ogromne koszty finansowe, społeczne i mentalne. Jak Pan to ocenia?

Długo jeszcze toczyć się będzie na ten temat dyskusja, co do tego nie mam wątpliwości. Zwłaszcza że jest kraj niedaleko Polski, który wobec koronawirusa zastosował zupełnie inny wariant. W Szwecji nie było blokady gospodarki, były tylko sugestie rządu i resortu zdrowia związane z zachowaniem reguł bezpieczeństwa. I co? I wszystko tam funkcjonuje, wskaźniki zachorowalności i umieralności na COVID-19 wcale nie były wyższe od wskaźników w innych europejskich państwach, więc jak najbardziej zasadne jest pytanie, czy wprowadzenie blokady gospodarki i izolacji społecznej to były słuszne rozwiązania. Osobiście mam co do tego wątpliwości. Ale cóż, trzeba było być mądrym, gdy zaczynało się to wszystko we Włoszech, potem w Hiszpanii... Na pewno nie były to decyzje łatwe i polski rząd musiał je podejmować, nie wiedząc tego, co teraz wiemy. Zresztą podobne decyzje podjęła większość krajów UE. Nie zmienia to faktu, że patrząc teraz na Szwecję czy Czechy, powinniśmy iść drogą jak najszybszego odmrażania całej gospodarki, zdejmowania ogólnokrajowych obostrzeń i stosowania raczej perswazyjnych metod walczenia z tym wirusem. Tym bardziej że ze strony Ministerstwa Zdrowia płyną komunikaty świadczące o tym, że bardzo duża część populacji przechodzi zarażenie bezobjawowo. Zacznijmy wreszcie normalnie żyć. W ciągu kilku najbliższych miesięcy okaże się, czy rzeczywiście nie powinniśmy zrobić tak jak Szwecja.

Adam Abramowicz
rzecznik małych i średnich przedsiębiorców

Niektórzy już teraz straszą nas, że jesienią wróci epidemia, na co powinniśmy się przygotować.

To akurat nic niezwykłego, bo jesienią zazwyczaj różne wirusy, w tym wirus grypy, się aktywizują, więc niewykluczone, że znów zwiększy się liczba zarażonych. Jeśli natomiast z tego powodu mielibyśmy znów zamrozić gospodarkę na

eprasa.pl f9fafe5dc1

Nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego rząd nie korzysta z pomocy Rzecznika MŚP, którego sam powołał!

kilka miesięcy, to później mogłoby się okazać, że nie będzie już co zbierać i do czego wracać. A przecież polska gospodarka w ostatnim czasie była naprawdę w bardzo dobrej kondycji. Ludzie czuli pieniądze w kieszeni, firmy dynamicznie się rozwijały, bezrobocie praktycznie spadło do zera. I co? I mielibyśmy to wszystko teraz zaprzepaścić? Myślę, że Polacy absolutnie się na to nie zgodzą.

Jak Pan ocenia pomysł z bonem turystycznym?
Branża turystyczna poniosła ogromne straty i szybko ich nie odrobi. Dlatego każdy pomysł na pomoc tej branży jest cenny. Jednak na początku zaproponowano jakiś dziwaczny sposób, który bardziej przypominał działania socjalne, a nie oparte na wiedzy o rynku. Bon dla pracujących na etatach i zarabiających mniej niż średnia nie byłby maksymalnie skuteczny. Poza tym niesprawiedliwy, bo przedsiębiorcy bonu by nie dostali. Zaproponowałem powszechność bonu, mieliby go otrzymać wszyscy płacący w Polsce podatki. Nawet jeśli skutkowałoby to zmniejszeniem jego nominału, to i tak na turystykę Polacy wydaliby więcej, ponieważ większa ich liczba dołożyłaby też sporo swoich pieniędzy. Eliminowanie bogatszych z tej akcji było całkowicie bez sensu. Skuteczny marketing najczęściej jest kierowany właśnie do tej grupy. Skończyło się na bonie dla dzieci, co będzie mniej skutecznym rozwiązaniem niż to, które ja zaproponowałem, ale i tak dużo lepszym niż pierwotna wersja.

Ani razu rząd nie zaprosił Rzecznika MŚP do udziału w konsultacjach dotyczących tworzenia rozwiązań pomocowych dla przedsiębiorców w ramach tzw. tarcz antykryzysowych. Jest Pan tym faktem zaskoczony?
Ogromnie. Nie wiem, dlaczego rząd nie korzysta z pomocy Rzecznika MŚP, którego sam powołał! Przecież to obecna władza zaproponowała Konstytucję Biznesu i urząd Rzecznika MŚP, czyli naturalnego łącznika między przedsiębiorcami a rządem. Zwłaszcza że ci przedsiębiorcy się zorganizowali – w skład Rady Przedsiębiorców przy Rzeczniku MŚP wchodzi 210 organizacji! Wydaje się, że powinien być to naturalny pomost, szczególnie w takim momencie jak kryzys spowodowany pandemią. Nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego to środowisko jest pomijane przy konsultacjach, a rząd konsultuje się tylko z dużymi organizacjami wchodzącymi w skład Rady Dialogu Społecznego, którą nota bene „wymyślił" przecież poprzedni prezydent i w skład której wchodzi 5 organizacji przedsiębiorców. 5 a 210 to chyba różnica, prawda? Konsultacje z pięcioma organizacjami to nie są konsultacje z całym środowiskiem. Gdyby posłuchano naszych propozycji, formułowanych przez organizacje skupione w Radzie Przedsiębiorców przy Rzeczniku MŚP,

Z wirusem musimy **nauczyć się żyć.**

eprasa.pl f9fafe5dc1

byłoby dużo mniej błędów w tarczy antykryzysowej i nie trzeba byłoby tworzyć jej kolejnych wersji. A jak się patrzy na te wersje, to widać, jak każda następna poprawia błędy poprzedniej.

Mijają dwa lata od wejścia w życie Konstytucji Biznesu. To czas, w którym już spokojnie da się pewne rzeczy podsumować i wyciągnąć wnioski. Czy zdaniem Rzecznika MŚP ten pakiet ustaw wymaga zmian?

Przede wszystkim czekamy na realizację publicznie złożonej obietnicy przez obecny rząd o wyposażeniu Rzecznika MŚP w prawo występowania przed sądami cywilnymi w sprawach ZUS kontra przedsiębiorcy. W tej chwili mogę występować na prawach prokuratora wyłącznie przed sądami administracyjnymi. Tworząc Konstytucję Biznesu, przeoczono oczywisty fakt, że sprawy ZUS-owskie toczą się w sądach cywilnych. Dzisiaj wniosków do Biura Rzecznika MŚP o pomoc w sprawach ZUS jest więcej niż w sprawach podatkowych. Konstytucja Biznesu wyposażyła Rzecznika MŚP w prawo występowania z wnioskami dyscyplinarnymi o ukaranie urzędników łamiących prawo. Niestety, jest to uprawnienie martwe, ponieważ o tym, czy wniosek ma dalszy ciąg, decydują ciała powołane przez samych zainteresowanych, a mówiąc ściślej, występuje tu solidarność korporacyjna. Trzeba tak zmienić prawo, aby nieuczciwi urzędnicy realnie odpowiadali zarówno dyscyplinarnie, jak i materialnie za decyzje, które są sprzeczne z literą prawa, ale także z duchem Konstytucji Biznesu. Powinny być zmienione terminy odpowiedzi, jakie mają urzędy na pisma Rzecznika MSP. W tej chwili jest to miesiąc, proponujemy dwa tygodnie wzorem czasu, jaki obowiązuje urzędy na odpowiedzi dla posłów. Ministerstwo Finansów odmawia udzielania objaśnień prawnych. Ta instytucja jest niezwykle ważna, co wielokrotnie podkreślał premier Mateusz Morawiecki. Przedsiębiorca w przypadku niejasnych przepisów ma prawo do ich doprecyzowywania, ponieważ nie może być karany za naruszenie przepisu, który może być interpretowany na różne sposoby. Konstytucja Biznesu sprawdziła się w praktyce. Wielu przedsiębiorców, którzy kiedyś nie mieliby szans w starciu z machiną biurokratyczną, ma w tej chwili realną pomoc Biura Rzecznika MŚP. Wygrywamy w imieniu przedsiębiorców sporo spraw w sądach, a bardzo często korzystne dla przedsiębiorców decyzje zapadają już po wejściu Rzecznika MSP do postepowania we wstępnej jego fazie.

Tworząc Konstytucję Biznesu, przeoczono oczywisty fakt, że sprawy ZUS-owskie toczą się w sądach cywilnych.

eprasa.pl f9fafe5dc1

polskiekupujeto.pl

PGE

Polskie – kupuję to!

Przyłącz się do akcji Pracowników PGE.

Jeśli kupimy towar wyprodukowany w naszym kraju przez polską firmę, to z każdej wydanej złotówki 79 groszy zostaje w Polsce*. Te pieniądze mogą być ponownie wydane na rodzime produkty i usługi, co napędza krajowy wzrost ekonomiczny. Patriotyzm gospodarczy jest obecnie szczególnie ważny. Wybierając polskie produkty i lokalne usługi, wspieramy tych, którzy tego najbardziej potrzebują i pomagamy rozwijać polską gospodarkę.

* Według analiz firmy Grant Thornton przedstawionych na Kongresie 590 w 2019 r.

#MAPdlaPolaków

eprasa.pl f9fafe5dc1

Niemiecki rząd obniża stawki podatku VAT! A kiedy polski?

Niemiecki rząd federalny zdecydował się na obniżenie stawek podatku VAT. To jeden z elementów wartego 130 mld euro pakietu wspierającego gospodarkę w czasie koronakryzysu. Obniżka VAT ma pobudzić Niemców do konsumpcji. Stawki zmniejszają się z 19 na 16 proc. oraz z 7 na 5 proc. Zmiany wejdą w życie 1 lipca i będą obowiązywać do końca 2020 roku. Wszystkie największe sieci handlowe w Niemczech zapowiedziały już obniżenie cen detalicznych w taki sposób, by beneficjentami tych obniżek stali się w całości konsumenci.

Ta ustawa ma ściągnąć firmy z powrotem do USA

Administracja Donalda Trumpa pracuje nad projektem ustawy, która ma na celu ściągnięcie firm z Chin z powrotem do potrzebujących regionów USA. Wśród proponowanych środków znajdują się zachęty podatkowe dla firm produkujących leki lub przyrządy farmakologiczne, jeśli przeniosą się do „stref objętych niepokojem" w USA i Puerto Rico. Rozważa się też zwolnienie z podatku dóbr i usług oferowanych w tych strefach. Ulgi i zachęty będą większe dla linii produkcyjnych, które sprowadzą się zza granicy.

Sprzyjające prognozy dla Polski

W polskich mediach ekonomicznych głośnym echem odbiła się opinia wyrażona przez starszą ekonomistkę Banku Światowego na Polskę. Cristina Savescu, bo o niej mowa, powiedziała w wywiadzie dla ISBnews, że odbicie gospodarcze nad Wisłą może nastąpić już w przyszłym roku. Wtedy, według prognoz Banku Światowego, wzrost PKB wyniesie u nas 2,8 proc.

240 mld euro

– według wyliczeń minister funduszy i polityki regionalnej Małgorzaty Jarosińskiej-Jedynak wynosi wartość inwestycji potrzebnych do osiągnięcia neutralności klimatycznej do 2030 roku przez Polskę. Nasz kraj będzie musiał ponieść dwa razy wyższe koszty w drodze do „zielonej gospodarki" niż wynosi średnia w Unii Europejskiej.

Tesco żegna się z Polską

Biznes w Polsce, czyli sklepy, centra dystrybucji i główną siedzibę, Tesco sprzedaje firmie Salling Group (sieć sklepów Netto). Wpływy netto z tej operacji wyniosą 819 mln zł. Transakcja, która podlega zatwierdzeniu przez organy antymonopolowe, obejmuje 301 sklepów, centra dystrybucji i główną siedzibę.

21 mln zł

– o tyle mają wzrosnąć wydatki na budowę dróg w ramach Programu Budowy Dróg Krajowych według zapowiedzi Mateusza Morawieckiego. Jak podkreślił premier, inwestycje drogowe to element „planu Dudy".

eprasa.pl f9fafe5dc1

Dziękujemy, że jesteśmy RAZEM!

Olimpiady Specjalne Polska

Fot. Adam Nurkiewicz

Z dumą wspieramy rozwój wielkiej rodziny Olimpiad Specjalnych w Polsce. Uczciwa rywalizacja, integracja osób z niepełnosprawnościami, szacunek, akceptacja oraz poczucie wspólnoty – są bardzo bliskie wartościom Huawei. Jesteśmy obecni w Polsce od 15 lat i angażujemy się w inicjatywy wspierające integrację społeczną, pomoc potrzebującym i rozwój kompetencji cyfrowych.

#GrajmyRazem

HUAWEI

eprasa.pl f9fafe5dc1

Banki centralne znowu w akcji

Bankowość centralna po 2008 roku mocno zmieniła swoją rolę. Patrząc na sprawę książkowo, głównym zadaniem banków centralnych jest dbanie o stabilność cen, mają działać tak, aby inflacja nie odbiegała zbytnio od obranego celu, najczęściej wynoszącego około 2 proc. Pierwsza dekada XXI wieku to jednak zupełnie nowa odsłona, jeśli chodzi o rolę tych instytucji.

Kamil **Goral**

Od kryzysu finansowego sprzed dwunastu lat takie podmioty jak amerykański Bank Rezerwy Federalnej czy Europejski Bank Centralny, zresztą nie tylko one, uruchamiały programy luzowania ilościowego. Poprzez skup aktywów na rynku wtórnym zwiększały zdolności banków komercyjnych do prowadzenia bardziej ekspansywnej polityki kredytowej. Wśród papierów, jakie nabywały największe banki centralne, były obligacje korporacyjne oraz dłużne skarbowe papiery wartościowe. U wielu ekonomistów taka praktyka nie wywołuje najlepszych skojarzeń. Znowu, pod-

eprasa.pl f9fafe5dc1

chodząc do tematu akademicko, opisane działanie spełnia kryterium monetyzowania długu publicznego, czyli finansowania potrzeb pożyczkowych państwa przez bank centralny.

W normalnych warunkach podobne postępowanie uznać trzeba za bardzo niebezpieczne dla wiarygodności na rynkach finansowych. Oznacza ono bowiem, że dochodzi do zwiększenia bazy monetarnej i w konsekwencji pojawienia się presji inflacyjnej. Większej ilości pieniądza nie odpowiada większa ilość produktu w danej gospodarce, stąd nazwa „puste pieniądze". Sama idea powoływania banków centralnych sprowadza się w swojej istocie do tego, że nie mogą one wspierać państwa w finansowaniu jego zadłużenia. W związku z tym te instytucje powinny być wyposażone w niezależność oraz odrębność od innych podmiotów władzy publicznej, szczególnie zaś o charakterze politycznym.

Szczególny przypadek

Jak wiadomo, strefa euro ma jeden ośrodek odpowiedzialny za emisję pieniądza oraz politykę pieniężną obszaru wspólnej waluty. Jest nim Europejski Bank Centralny. Położony we Frankfurcie nad Menem EBC ustala główne parametry monetarne, w tym szczególnie stopę procentową, oraz inicjuje interwencyjne skupy aktywów mające wspierać gospodarkę Eurozony w trudniejszych czasach. Jego głównym zadaniem jest trzymanie w ryzach wzrostu cen, niemniej może on także podejmować działania związane ze wspieraniem ogólnych polityk gospodarczych. Warunek jest jeden. Nie mogą one stać w sprzeczności z ochroną wartości wspólnej waluty. Określona aktywność EBC nie może spowodować wzrostu inflacji ponad ustalony cel. Obecnie w średnim okresie został on zdefiniowany na poziomie lekko poniżej 2 procent.

Unijne prawo traktatowe mówi także wprost, że EBC nie może finansować państwowego długu publicznego. Nie powinien zatem skupować bezpośrednio od emitentów obligacji lub innych skarbowych papierów wartościowych. Zakazuje tego art. 123 Traktatu o Funkcjonowaniu Unii Europejskiej. Pytanie, jakie powstaje w tym kontekście, brzmi: czy skup tych samych aktywów na rynku wtórnym także nie jest objęty tym zakazem?

Już w 2012 roku ówczesny szef tej instytucji Mario Draghi zadeklarował podczas jednego ze swoich publicznych wystąpień, że EBC zrobi wszystko, co trzeba, aby ratować zagrożoną wówczas strefę euro. Rynki zrozumiały ten komunikat jako gotowość banku do skupu taniejących obligacji najbardziej zadłużonych państw obszaru wspólnej waluty.

Od 2015 roku to właśnie się dzieje. Instytucja położona we Frankfurcie nad Menem skupuje na rynku wtórnym dług państw strefy. Warte setki miliardów euro programy miały zapewnić dostęp do taniego kredytu przedsiębiorstwom, ale także być gwarancją niskich rentowności obligacji pogrążonych w stagnacji państw Eurozony. Działania EBC od dawna wywołują ostry

eprasa.pl f9fafe5dc1

sprzeciw w Niemczech. Nie brakowało głosów, że Europejski Bank Centralny stwarza sztuczny popyt na papiery zadłużonych po uszy krajów południa Europy i w ten sposób zaburza działanie normalnych mechanizmów makroekonomicznych. Gdyby bowiem nie decyzje władz we Frankfurcie, być może południowcy mieliby większą motywację do oddłużania swoich gospodarek. Tymczasem dostęp do bardzo taniego finansowania takiego impulsu nie stwarzał.

W maju Federalny Trybunał Konstytucyjny uznał nawet, że jeden z pakietów stymulacyjnych EBC, znany pod angielską nazwą Public Sector Purchase Programme (PSPP), jest niezgodny zarówno z federalną ustawą zasadniczą, a także z prawem UE. Podważył w ten sposób odpowiedź na pytanie prejudycjalne, jakiej udzielił Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Wyrok zapadł w bardzo niekorzystnej dla unijnej gospodarki sytuacji związanej z lockdownem i pandemią koronawirusa. Niedługo przed tym orzeczeniem EBC uruchomił kolejny program, bliźniaczo podobny do tego, który zanegował FTK. Jego wartość to, bagatela, 1,35 biliona euro! Powstał niezły prawny galimatias, jeśli bowiem Rada Prezesów EBC nie uzasadni lepiej swoich działań, które były przedmiotem wyroku trybunału z Karlshrue, Bundesbank nie powinien brać udziału w kolejnej odsłonie luzowania ilościowego w Unii.

Inni też luzują

Podobnych problemów nie mają w Stanach Zjednoczonych. Bank Rezerwy Federalnej w marcu uruchomił antykryzysowy program skupu aktywów. Początkowo Fed określił jego wartość na 700 mld dolarów, by w drugiej połowie marca poinformować, że będzie kupował obligacje skarbowe rządu USA oraz papiery korporacyjne zabezpieczone hipotecznie bez limitu.

Dodatkowo Rezerwa Federalna uruchomiła adresowany do małych i średnich firm program kredytów bankowych z niskim oprocentowaniem. O środki te przedsiębiorstwa mogą ubiegać się za pośrednictwem banków komercyjnych. Dla kierownictwa Fed kluczowe znaczenia ma poprawa najważniejszych wskaźników gospodarczych, w tym szczególnie dramatycznie wzrastającego w Stanach Zjednoczonych bezrobocia. Wbrew najgorszym scenariuszom nie przekroczyło ono 20 proc., obecnie około 13 proc. Amerykanów nie ma pracy. Nie oznacza to, że amerykańskie władze monetarne uważają problem za rozwiązany, a szef Fed wskazuje, że nad gospodarką wciąż wisi ryzyko nawrotu epidemii. Ekonomiści Rezerwy Federalnej prognozują, że PKB Stanów Zjednoczonych skurczy się w tym roku o 6,5 proc. a bezrobocie wyniesie 9,3 proc.

Zdecydowane działania podjęły także inne czołowe banki centralne świata. Bank of Japan uruchomił wart 700 miliardów dolarów program skupu aktywów, zdecydował także o utrzymaniu stopy procentowej na poziomie - 0,1 proc. BoJ jest także aktywny na tamtejszym ryn-

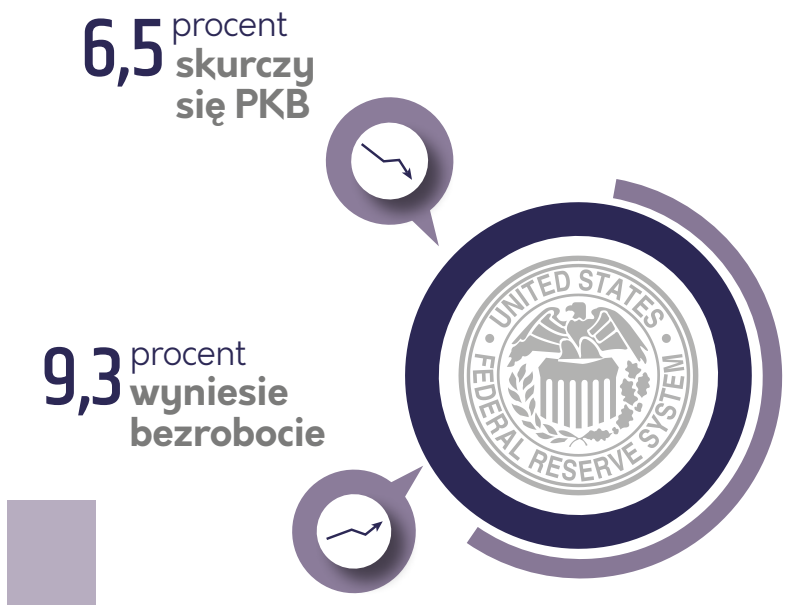

Prognozy **FED** dla Stanów Zjednoczonych

eprasa.pl f9fafe5dc1

ku kapitałowym, gdzie skupuje akcje firm notowanych na japońskiej giełdzie.

W ratowanie gospodarki mocno zaangażował się także Bank Anglii, jego pakiet stymulacyjny wart jest 650 miliardów funtów. Oprócz tego BoE obniżył główną stopę procentową do 0,1 proc., nie jest także wykluczona jej obniżka poniżej zera. Jest bowiem co ratować. W kwietniu brytyjska gospodarka skurczyła się o 20 proc.

NBP nie zostaje z tyłu

O ile w trakcie kryzysu 2008+ NBP nie uruchomił własnej wersji luzowania ilościowego, o tyle teraz swoją aktywnością zaskoczył niektórych analityków. Po pierwsze, zredukował stopę procentową z 1,5 proc. do 0,1 proc. co oznacza, że koszt pieniądza w naszym kraju jest jednym z najniższych na świecie. Taka decyzja naraziła władze monetarne na niemałą krytykę, część ekonomistów wskazywała na ryzyko dla sektora bankowego. Ich zdaniem taki ruch osłabi przede wszystkim mniejsze banki. Inni wskazywali, że obniżanie stopy procentowej odbije się negatywnie na kursie złotego, co uderzy w posiadaczy kredytów walutowych. Jak dotąd złoty ma się jednak całkiem nieźle.

Po drugie, zdecydował się na zwiększenie udziału aktywów krajowych w swoim bilansie poprzez skupowanie na rynku wtórym wartych 100 mld zł obligacji wyemitowanych przez Polski Fundusz Rozwoju. Z tych środków PFR finansuje swój program wsparcia dla przedsiębiorstw, które ucierpiały w związku z lockdownem. I chociaż także to działanie Narodowego Banku Polskiego tu i ówdzie spotkało się z krytyką, to nie ulega wątpliwości, że dzięki zaangażowaniu NBP udało się uruchomić bardzo dobrze oceniany pakiet wsparcia, który uratował wiele firm przed upadkiem.

W obecnych realiach trudno sobie wyobrazić politykę gospodarczą bez aktywnej i często niekonwencjonalnej roli banków centralnych. W myśl zasady, że w razie kryzysu wszystkie ręce na pokład!

reklama

Polskie - kupuję to!

PGE Polska Grupa Energetyczna w kampanii społecznej „Polskie – kupuję to!" zachęca Polaków do kupowania krajowych produktów i usług. Akcję zainicjowali pracownicy PGE, a Grupa zdecydowała się ją wesprzeć i nadać jej ogólnopolski wymiar.

To, jak duże znaczenie ma wybór krajowych produktów, pokazały badania firmy audytorsko-doradczej Grant Thornton. Z jej szacunków wynika, że kupując wyprodukowane w naszym kraju towary, z każdej wydanej złotówki zostaje w Polsce aż 79 groszy. Tymczasem po zakupie towaru importowanego, w naszym budżecie zostają tylko 24 grosze. Z wyliczeń firmy Grant Thornton wynika także, że gdyby Polacy zwiększyli zaledwie o 1 proc. zakupy krajowych towarów, w polskiej gospodarce zostawałoby rocznie dodatkowo 6,6 mld zł.

W Grupie PGE pracuje 42 tysiące pracowników. O ich ogromnym potencjale przekonaliśmy się w czasie pandemii. Pracownicy wspierali Infolinię NFZ, otaczali opieką seniorów oraz oddawali krew. Teraz angażują się w działanie, które ma dać energię polskiej gospodarce, która potrzebuje takich pozytywnych bodźców. Nasi pracownicy polecają i wymieniają się opiniami na temat rodzimych marek i towarów, zachęcając tym samym do sięgania po polskie produkty i usługi. Jako odpowiedzialny pracodawca zdecydowaliśmy się wesprzeć tę akcję i rozwinąć ją w ogólnopolską kampanię społeczną. Patriotyzm konsumencki to przejaw odpowiedzialnej postawy, godnej promowania i naśladowania, tym bardziej że korzysta na tym cała polska gospodarka. Zapraszam do włączenia się w tę inicjatywę, którą patronatem honorowym objął Minister Aktywów Państwowych – mówi **Wojciech Dąbrowski, Prezes Zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej**.

Grupa PGE na potrzeby kampanii społecznej przygotowała stronę internetową polskiekupujeto.pl, na której pracownicy PGE umieszczają informacje o polskich produktach, usługach i ciekawych zakątkach Polski.

eprasa.pl f9fafe5dc1

Transgraniczne MDR trzeba składać ponownie

Minister finansów chce sobie ułatwić zbieranie informacji, które musi przekazać w ramach unijnej współpracy. Dlatego trzeba będzie ponownie zaraportować transgraniczne schematy podatkowe.

Marek **Kutarba**

4 czerwca Sejm uchwalił ustawę o dopłatach do oprocentowania kredytów bankowych udzielanych na zapewnienie płynności finansowej przedsiębiorcom dotkniętym skutkami COVID-19 (w alercie „Ustawa o tarczy Antykryzysowej 4.0" lub „Tarcza 4.0"). To już czwarta ustawa poświęcona walce ze skutkami epidemii. Tak jak uchwalone wcześniej pierwsze trzy tarcze antykryzysowe, nowa ustawa zawiera cały szereg nowych, ważnych z punktu widzenia funkcjonowania firm przepisów, w tym również zmian do przepisów podatkowych. Dotyczą one m.in. zasad odliczania darowizn, kosztów podatkowych, czy ulgi na złe długi.

Nowe przepisy po raz kolejny zmieniają przepisy dotyczące raportowania schematów podatkowych (tzw. MDR).

Przepisy o schematach podatkowych (MDR – czyli Mandatory Disclosure Rules) obowiązują w Polsce od niedawna, zaledwie od 2019 roku. Sama definicja schematu podatkowego jest dość skomplikowana. W dużym skrócie chodzi jednak o system informowania fiskusa o rozwiązaniach, które przynoszą podatnikom korzyści podatkowe powodując obniżenie jego zobowiązań. Chodzi przy tym o zupełnie legalne sposoby obniżania podatku.

Istotnym elementem tego systemu jest obowiązek raportowania o schematach podat-

eprasa.pl f9fafe5dc1

kowych do szefa Krajowej Administracji Skarbowej (KAS).

Informacja albo kara

Sam obowiązek informowania o MDR spoczywa na trzech kategoriach osób. Przede wszystkim na promotorze (w dużym uproszczeniu twórcy promującym określone rozwiązanie), a w niektórych przypadkach na wspomagających i na korzystających (tym ostatnim jest z reguły przedsiębiorstwo/podatnik).

Co do zasady, zgodnie z przepisami o MDR dla promotorów i korzystających termin raportowania schematu podatkowego upływa 30 dni od dnia pierwszej czynności związanej ze schematem. Za nieprzekazanie schematu w terminie grozi kara nawet 21 mln zł.

W okresie epidemii COVID-19 przekazywanie schematów podatkowych we właściwych terminach stało się jednak mocno problematyczne. I Ministerstwo Finansów szybko zdało sobie z tego sprawę. Dlatego już w poprzednich odsłonach tarczy antykryzysowej zawiesiło na pewien czas bieg terminów na złożenie informacji o schematach podatkowych. Teraz w ramach Tarczy 4.0 ponownie powrócono od tego zagadnienia. Głównym powodem zmian są jednak schematy transgraniczne, z którymi minister finansów zaczął mieć problem.

MDR – Mandatory Disclosure Rules

Wstrzymane terminy

Ze zmian dotyczących MDR w przepisach o Tarczy 4.0 wynika, że terminy związane z raportowaniem schematów nie rozpoczynają się, a rozpoczęte podlegają zawieszeniu w okresie od 31 marca 2020 roku. do 30. dnia następującego po dniu odwołania stanu zagrożenia epidemicznego i stanu epidemii ogłoszonego w związku z COVID-19. Od zasady tej wprowadzono jednak wyjątek dotyczący schematu podatkowego transgranicznego.

W przypadku schematu transgranicznego zwieszenie terminu trwa nie dłużej niż do 30 czerwca 2020 roku Zmiana związana jest z terminem, w jakim minister finansów musi przekazać informację o schematach transgranicznych do UE.

Jest też skorelowana ze zmianami wyprowadzonymi przez ustawę z 28 maja 2020 roku o zmianie ustawy o podatku dochodowym od osób prawnych, ustawy o podatku od towarów i usług, ustawy o wymianie informacji podatkowych z innymi państwami oraz niektórych innych

eprasa.pl f9fafe5dc1

ustaw. A zatem zmianami uchwalonymi niemal równolegle z przepisami Tarczy 4.0.

Ustawa majowa zobowiązała do ponownego złożenia informacji o schematach transgranicznych: do 31 lipca 2020 roku– przez promotora, jeśli pierwszej czynności związanej z jego wdrażaniem dokonano w okresie od 26 czerwca 2018 roku do 30 czerwca 2020 roku; do 16 sierpnia 2020 roku – przez korzystającego, jeśli pierwszej czynności związanej z jego wdrażaniem dokonano w okresie od 26 czerwca 2018 roku do 30 czerwca 2020 roku oraz dała czas do 31 sierpnia 2020 roku na dopełnienie obowiązków informacyjnych w zakresie schematów podatkowych transgranicznych przez wspomagającego.

Warte podkreślenia jest, że dla większości podatników nowe przepisy oznaczają obowiązek ponownego złożenia informacji o schematach transgranicznych, które raz już wcześniej, przed okresem epidemii COVID-19, raportowali. Co więcej, przepisy wyraźnie przewidują, że unieważnione zostaną dotychczasowe numery schematów transgranicznych. Złożone wcześniej schematy transgraniczne zostaną tym samym unieważnione.

Cena za błąd ministra

Obydwie nowe ustawy mają w zakresie MDR pozwolić ministrowi finansów na wywiązanie się z obowiązku przekazania informacji o schematach w ramach Unii. Obowiązek taki nakłada dyrektywa Rady UE 2018/822 z 25 maja 2018 roku (tzw. DAC6). To ta właśnie dyrektywa zobowiązała państwa członkowskie do wprowadzenia raportowania o schematach transgranicznych (Polska wdrażając dyrektywę rozszerzyła ją także na schematy krajowe). Nałożyła też obowiązek wymiany tych informacji między krajami UE.

Kłopot w tym, że aby wymiana informacji pomiędzy państwami członkowskimi była skuteczna, informacje te musza być przekazywane w określonym schemacie. O czym Ministerstwo Finansów najwyraźniej zapomniało, wdrażając polski system raportowania o schematach. Polskie raporty odbiegają bowiem od schematu unijnego. I właśnie aby z powstałego problemu wybrnąć, zmieniono przepisy, zmuszając jednocześnie do ponownego składania informacji o schematach transgranicznych, tym razem w formacie zgodnym ze schematem unijnym.

Biorąc pod uwagę, że pierwsze przekazania informacji ma odbyć się do 31 października 2020 roku, zrozumiałe stają się przyjęte w nowych przepisach terminy na dopełnienie obowiązków w zakresie MDR.

eprasa.pl f9fafe5dc1

Jacek **Gniadek SVD**

Nie wszyscy muszą czytać te same lektury

Kilkanaście dni temu prezydent Donald Trump przypomniał, że prawo wyboru szkoły przez rodziców jest prawem człowieka. Jest to właściwe rozwinięcie pierwszej generacji praw człowieka. W Polsce na przeszkodzie stoi Ministerstwo Edukacji. Są co prawda szkoły prywatne i edukacja domowa, ale jest narzucona jedna wspólna podstawa programowa i wszyscy płacą podatek na szkoły państwowe, więc ci, którzy nie posyłają dzieci do szkół państwowych, płacą podwójnie.

Następnego dnia w Kościele czytana była Ewangelia według św. Mateusza o powołaniu 12 apostołów (Mt 9,36–10,8). Jezus wybrał uczniów o skrajnie różnych charakterach i różnej przeszłości. Nie wszyscy byli rybakami. Był wśród nich były partyzant, byli celnik, sceptyk i mistyk. Jeden okazał się być oszustem. Jedność w Kościele nie jest jednością w jednolitości, ale w różnorodności.

Opłaca się być odmiennym. Wybitny angielski ekonomista David Ricardo wykazał, że różnice są źródłem okazji prowadzenia wzajemnie korzystnego handlu nawet wtedy, jeżeli jedna ze stron jest w każdej dziedzinie lepsza. Chirurg bez pielęgniarek i anestezjologa nie przeprowadziłby operacji. Jego komparatywna przewaga dotyczy diagnozy i zabiegu, ale pozostaje jeszcze jeden istotny element. Wszystkie te czynności muszą być przeprowadzone w tym samym czasie.

Jesteśmy z natury różni. Tak świat został stworzony przez Boga. Życie zbiorowe wymaga różnych uzdolnień i talentów. Te różnice skłaniają ludzi do współpracy. Dzięki niej ludzie są w stanie osiągnąć nie tylko to, czego nie potrafiliby zrobić sami, ale taka praca staje się również bardziej opłacalna. Podział daje też możliwości dalszego rozwoju indywidualnych talentów.

Istnieje odwieczna pokusa, by zacierać różnice między ludźmi. To dlatego mundurek Mao stał się strojem powszechnie noszonym przez Chińczyków w okresie rewolucji kulturalnej. Dzisiaj podobne cele realizuję się za pomocą państwa opiekuńczego i polityki wyrównywania nierówności społecznych. Istotnym narzędziem w realizowaniu tego projektu jest państwowa edukacja.

Zwolennicy katechezy twierdzą, że w naszej kulturze miejsce religii jest w szkole. Według nich wyrzucanie religii ze szkoły byłoby powrotem do czasów z PRL-u. Jeżeli taka jest wola rodziców, to religia powinna być w szkole, ale szkoły nie muszą być finansowane przez państwo. Powinny być raczej prywatne, a dla chętnych może być także nauczanie domowe. Katecheza w szkole państwowej to poparcie dla istniejącego modelu państwa opiekuńczego. W Polsce brakuje nam odwoływania się do wątku wolnościowego. Nie wszyscy muszą przecież czytać takie same lektury.

Skutkiem obecnej polityki państwa jest brak u nas wiary w to, że ludzie sami mogą budować szkoły i zatrudniać nauczycieli. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Kryzys wywołany koronawirusem może być szansą. Edukacja domowa okazuje się być lepszą od państwowej i przymusowej szkoły. Rodzice, którzy uczą dzieci w domu, nawet nie zauważyli, że na czas koronawirusa szkoły zostały zamknięte.

eprasa.pl f9fafe5dc1

Dla polskich przedsiębiorców nie ma rzeczy niemożliwych

Czapki z głów przed polskimi przedsiębiorcami i rzemieślnikami. Nie ma dla nich rzeczy niemożliwych do wykonania – opowiada nam Philip Vanherrewege, belgijski architekt działający w naszym kraju już ponad 20 lat.

Krzysztof **Budka**

Vanherrewege wraz z kilkudziesięcioma polskimi podwykonawcami z sektora MŚP przez ostatnie trzy lata brał udział w odrestaurowaniu budynku Ambasady Azerbejdżanu w Brukseli. Budynku zakupionego od polskiego rządu, który był gospodarzem misji dyplomatycznej w latach 1998–2014. To było wyjątkowo trudne wyzwanie, którego nie chciał podjąć się nikt inny. Dlaczego? O tym za chwilę...

Spotykamy się z Philipem Vanherrewegem w warszawskim biurze jego firmy.

– Co belgijski architekt przez ponad 20 lat robi w Polsce? – pytamy.

– Pracuje na sukces swój i swojej firmy.

– Czyli da się w Polsce osiągnąć sukces i może go osiągnąć nawet obcokrajowiec?

– Oczywiście, że się da – uśmiecha się Belg. Rozmawiamy po polsku. Z naszym językiem radzi sobie bez problemu.

Z Emiratów do Polski

No tak, by osiągnąć sukces, wystarczą – jego zdaniem – umiejętności, pomysł na biznes, wytrwałość, pracowitość i otwartość na ludzi i świat. No i oczywiście odpowiednie warunki do prowadzenia działalności gospodarczej. Reszta z czasem sama przyjdzie.

– Nie od razu trafiłem do Polski. W ogóle moje życie to nietypowa historia – opowiada. – Moja międzynarodowa kariera architekta rozpoczęła się

eprasa.pl f9fafe5dc1

w Maroku. Pracowałem tam 13 lat, z czego pięć dla byłego marokańskiego króla Hassana II. Potem jeszcze dwa lata w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Tam akurat współpracowałem z jedną z firm, która była zaangażowana w budowę m.in. Burdż Chalifa, czyli najwyższego budynku świata. Z Emiratów trafiłem do Polski.

BESIX, firma, o której wspomina Vanherrewege w kontekście swojego pobytu w Emiratach, poprosiła go o pomoc przy budowie Centrum Finansowego Puławska w Warszawie. Pomógł. A po trzech latach zdecydował się w Warszawie zostać i tutaj prowadzić swój biznes.

Poufny deal w Baku

– Pierwsze bardzo poważne wyzwanie, i przy okazji pierwszy krok milowy w mojej współpracy z polskimi wykonawcami, związane było z jedną z inwestycji w Baku. Gdzie konkretnie, to muszę pominąć, bo sprawa jest poufna. Chodziło o zapytanie: „Mamy do wykonania okrągłe szkło o wysokości 3,5 metra. Ze złotym wzorem na środku". Każda firma, do której BESIX zwracał się o wycenę tego projektu, odpowiadała, że się nie da. „To niemożliwe". Zwrócili się więc do mnie z prośbą, bym w Polsce spróbował znaleźć firmę, która to wykona – opowiada Vanherrewege.

I znalazł. Pod Krakowem. – Odbyliśmy kilka spotkań, po których od właściciela usłyszałem: „Nie ma problemu, wyprodukujemy". Wciąż pamiętam pierwszy telefon od niego. Zadzwonił i mówi: „Mam dobrą i złą wiadomość. Od której zacząć?". „Od złej". „Szkło pękło". „A ta dobra?".

„Zrobiliśmy drugie i tym razem wszystko się trzyma" - wspomina architekt..

Kolejny „challenge" – jak mówi Vanherrewege – też był związany z Baku, a konkretnie z siedzibą Państwowego Funduszu Naftowego. Firma Belga zaprojektowała monumentalne drzwi wejściowe do budynku. Całe w tytanie. Tylko taki materiał gwarantował, że wytrzymają erozję. Siedziba funduszu mieści się bowiem w bardzo bliskim sąsiedztwie Morza Kaspijskiego. Generalny wykonawca z Belgii poprosił o pomoc w znalezieniu podwykonawcy gotowego wykonać i zainstalować takie drzwi. Sytuacja się powtórzyła. Belgijskie, niemieckie i holenderskie firmy, do których zostało skierowane zapytanie i prośba o wycenę, odmówiły. Zbyt skomplikowane, za trudne itp. Vanherrewege znalazł więc firmę w Warszawie. – „Bez problemu, zrobimy", usłyszałem. I zrobili. Rzeczywiście, bez najmniejszego kłopotu – podkreśla.

Wyjątkowa więź

O kolejnych wspólnych inwestycjach z Polakami może opowiadać godzinami. O remoncie hoteliku w wysokich włoskich Alpach czy o konstrukcji metalowej w Oslo. Te projek-

eprasa.pl f9fafe5dc1

ty również przyniosły sukces i uznanie firmie Vanherrewege'a głównie dzięki – jak mówi – poświęceniu i profesjonalizmowi polskich firm.

– Polska to kraj doskonałych rzemieślników w branży budowlanej. Stolarze, montażyści, hydraulicy, elektrycy, kamieniarze... Wszyscy zapewniają wysoką jakość i silne zaangażowanie. Nie ma dla nich rzeczy niemożliwych do wykonania. Przez lata nabraliśmy do siebie szacunku, zbudowaliśmy relacje i rozwinęliśmy wyjątkową więź, która nas łączy – przyznaje Belg.

Nie mniejszy splendor i ogromne uznanie związane są z najnowszym (choć pewnie nie ostatnim) wspólnym projektem firmy Vanherrewege'a i polskich podwykonawców. W 2016 roku Ambasada Azerbejdżanu w Brukseli poprosiła o zaprojektowanie remontu budynku zakupionego od polskiego rządu, który był gospodarzem misji dyplomatycznej w latach 1998–2014, zanim przeprowadził się do nowej ambasady. Przetarg na remont generalnego wykonawcy spowodował, że koszty przekroczyły dwukrotnie dostępny budżet. W rezultacie Vanherrewege postanowił podzielić prace między małe firmy budowlane. Remont zakończył się udziałem aż 57 wykonawców, w większości pochodzących z Polski.

Czapki z głów

– Znalezienie kontrahentów w Belgii okazało się bardzo trudne. Jedna z tamtejszych firm podliczyła koszty i wyszło jej za całość minimum 10 mln euro. Dla strony azerskiej taka kwota to był szok. Nie do przyjęcia. Inna firma z Brukseli podała cenę 7 mln euro. Azerowie powiedzieli, że to też za dużo, bo nie dysponują takim budżetem. Powiedziałem wtedy, że w takim razie jest tylko jedna metoda: podzielić wszystkie prace i zlecić podwykonawcom, których znajdę w Polsce. I znalazłem. Wyzwanie logistyczne przy 57 różnych firmach było ogromne, ale ostatecznie opłaciło się – opowiada Vanherrewege.

Bez polskich firm, bez ich profesjonalizmu i zaangażowania, nie byłoby to możliwe. Cieszę się, że kolejna inwestycja potwierdziła, że z Polakami warto współpracować.

I dodaje: – Czapki z głów przed niektórymi polskimi wykonawcami. Dekoracyjne drzwi z azerskimi wzorami zostały wyprodukowane przez stolarza, który nalegał, aby przywieźć prototyp do Brukseli. Przejechał 1300 kilometrów, zainstalował prototyp natychmiast po przyjeździe, co zajęło mu kolejne 4 godziny, 6 godzin odpoczynku, po czym ruszył w drogę powrotną do Warszawy.

– Wszystkie złożone balustrady szklane w równym stopniu były produkowane w Polsce. Firma, która to robiła, postanowiła zamknąć siedzibę na cały tydzień w Warszawie, aby pozwolić siedmiu swoim pracownikom na dostarczenie i instalację prac w ciągu jednego tygodnia. Można wymienić wiele innych tego typu przykładów. Wszyscy zasługują na szacunek. Prawie żadna z tych firm, które współpracowały ze mną przy remoncie tej ambasady, nie zatrudnia więcej niż 10 pracowników. Właściciele każdej z nich byli bezpośrednio zaangażowani w prace i byli obecni na miejscu. Te skomplikowane prace

eprasa.pl f9fafe5dc1

remontowe są stresujące, ale gdy wykonawcy wykazują takie zaangażowanie, to nie ma rzeczy niemożliwych do zrobienia – uśmiecha się Vanherrewege.

Medal od prezydenta

Zapytaliśmy ambasadora Azerbejdżanu w Belgii o to, czy podczas prac były jakieś problemy, z którymi nie udało się poradzić i jak ocenia końcowy efekt prac firmy Philipa Vanherrewege.

– Podczas całej renowacji nie spotkaliśmy się z problemem, który byłby nie do rozwiązania dla Philipa i polskich podwykonawców. Nie pomyliliśmy się, wybierając właśnie jego do wykonania renowacji budynku ambasady. To bardzo dobry menedżer i architekt. W pełni zaufaliśmy jego doświadczeniu i teraz możemy powiedzieć, że to była bardzo dobra decyzja. Dzięki temu prace zostały wykonane z najwyższą starannością, a dzięki zatrudnieniu podwykonawców z Polski, których charakteryzuje wysoka jakość wykonania, cena była znacznie niższa od cen proponowanych przez inne firmy. Z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że udało się wykonać zdecydowanie więcej w tym samym budżecie, nie rezygnując z jakości wykonania – przyznaje ambasador.

Prace w Ambasadzie Azerbejdżanu w Brukseli zostały ukończone wiosną 2019 roku W maju ubiegłego roku wyremontowaną siedzibę swoją wizytą zaszczycił prezydent tego kraju Ilham Alijew. Reportaż z wizyty relacjonowany był przez największą azerską telewizję, a Philip Vanherrewege otrzymał od rządu Azerbejdżanu medal za – jak mówi – „ten wyjątkowo skomplikowany challenge". – Bez polskich firm, bez ich profesjonalizmu i zaangażowania, nie byłoby to możliwe. Cieszę się, że kolejna inwestycja potwierdziła, że z Polakami warto współpracować – zaznacza.

Teraz Grenlandia

Co dalej? Bo firma Belga na pewno nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. – Czas na kolejne wyzwanie. Jesteśmy w trakcie opracowywanie wysokiej jakości prefabrykowanych lóż drewnianych dla sektora hotelarskiego na Grenlandii. Jestem przekonany, że i tutaj Polacy odegrają wiodącą rolę, ponieważ mają wiele atutów w swoich rękach. Wyzwanie jest ogromne, to przecież Grenlandia. Ale dzięki temu niezwykle motywujące – przyznaje.

budynek Ambasady Azerbejdżanu w Brukseli

eprasa.pl f9fafe5dc1

Rewolucja 6G zmieni cywilizację

Choć Internet jeszcze nie ochłonął po „rewelacjach" teorii spiskowych, które co i rusz wywołują burzę emocji wokół 5G, to już na horyzoncie pojawia się nowy obiekt przyszłych kontrowersji – sieć 6G.

Janusz **Grobicki**

Na początku pandemii w fińskiej Laponii odbył się wirtualny szczyt sieci bezprzewodowej – „6G Wireless Summit 2020". Uczestnicy podzielili się swoimi przemyśleniami na temat poszukiwania sposobów prowadzących do stworzenia 6G. Dyskutowano także o tym, jakie badania są potrzebne, aby wprowadzić podstawowe technologie związane z tym nowym standardem.

Rok temu, podczas „Mobile World Congress 2019" – Team Finland wprowadził program 6G (wtedy nazywany 6Genesis). Wówczas 6G było jeszcze całkowicie otwartą ideą, która dopiero wymagała doprecyzowania. Temat podjęli branżowi eksperci oraz przedstawiciele środowisk akademickich. W ciągu 12 miesięcy dzielących nas od tamtego wydarzenia naukowcy i praktycy starali się skonkretyzować powstającą wizję 6G. Powstało ponad 800 recenzowanych artykułów naukowych.

Dialog z maszyną

Konferencja doprowadziła do ujednolicenia opinii na temat oczekiwanych, przyszłych funkcjonalności 6G. Uczestnicy określili również kierunki niezbędnych badań, które powinny towarzyszyć rozwojowi tej technologii. Warto podkreślić, że wszyscy przewidywali znacznie zwiększoną interakcję między człowiekiem a inteligentną maszyną. Prognozowana, zacieśniająca się współpraca ludzkiego mózgu z „myślą-

eprasa.pl f9fafe5dc1

cą maszyną", zyskała nazwę „Internetu zmysłów".

Przedstawiciel Nokia Bell Lab rozszerzył nawet to pojęcie na interakcję: mózg – komputer – „monitorowanie w ciele". Tego typu rozwiązania zaczynają być już stosowane w medycynie. Wiele mikroprocesorów nadzoruje i steruje procesami, od których zależy życie pacjentów. Ostatnio granicę ciała i ludzkiej pamięci są przekraczane przez stosunkowo mało skomplikowane aplikacje, które wykorzystuje się do śledzenia kontaktów społecznych. Służą one identyfikacji okoliczności ewentualnego zarażenia się wirusem COVID–19.

W 2017 roku ruch w Internecie wyniósł 1,5 ZB (Zeta to tryliard). Raport „Cisco Visual Networking Indeks: Forecast and Trends, 2017–2022" przewiduje, że do 2022 roku w sieci będzie pracować 28 mld urządzeń, które wygenerują ruch ok. 4,5 ZB rocznie.

Aby zapewnić możliwość przesyłu tak potężnej ilości danych, konieczna jest odpowiednia infrastruktura. Bez względu na to, czy jesteśmy zwolennikami wzrostu możliwości przesyłowych sieci, czy nie – i tak musimy pogodzić się z permanentnym trendem rozwoju zdolności transferu rosnących zbiorów danych. Ludzkość nauczyła się korzystać z cyfrowej transformacji. Życie w świecie analogowym, bez dostępu do Internetu i smartfona, powoli staje się trudnodostępnym luksusem.

Oczekiwania i możliwości

Sieci 5G i 6G otwierają nowe możliwości. To już nie tylko komfortowe oglądanie najwyższej jakości filmów na ekranie komputera. Dzięki tym technologiom nastąpi rozwój telemedycyny. Pojawi się prawdziwy Internet rzeczy, a urządzenia autonomiczne staną się powszechnie dostępne. Wraz z rozwojem możliwości szybkiej transmisji wielkich ilości danych zmieniły się priorytety. Nie chodzi już tylko o wzrost liczby użytkowników. Oczekujemy od technologii komórkowej nowych zastosowań. Wirtualna rzeczywistość i minimalne opóźnienia w odbiorze danych pozwolą na przykład zdalnie przeprowadzać skomplikowane operacje chirurgiczne. Zmieni się system edukacji, produkcji, zarządzania. Z pewnością spowoduje to również głęboką redefinicję globalizmu oraz sposobu funkcjonowania jednostek i społeczeństw.

Przeniesienie transmisji w wyższe pasma częstotliwości niż 5G pozwoli sieciom 6G wykorzystać jeszcze krótsze długości fali. Umożliwi to dokładniejszą lokalizację i zmniejszenie opóźnienia transmisji danych do zaledwie 0,1 ms. Być może standardem okaże się pozycjonowanie z dokładnością poniżej centymetra. Jednym z rezultatów takiej precyzji będą w pełni cyfrowe reprezentacje świata fizycznego, czyli powstanie „cyfrowych klonów". „Cyber – klonowanie" nastąpi poprzez połączenie danych z wielu rozproszonych źródeł, w tym także danych sieciowych.

Pandemia koronawirusa pokazała, że nadchodzi starcie dwóch nurtów przedsiębiorczości.

Komercjalizacja 6G

Pandemia koronawirusa pokazuje, że nadchodzi starcie dwóch nurtów przedsiębiorczości. Pierwszy – przywiązany jest do tradycyjnego, analogicznego pojmowania świata. Opiera się na osobistych interakcjach, intuicji oraz powiązaniu efektywności z wysiłkiem umysłowym i fizycznym pracowników. Drugi nurt wykorzystuje wszystkie doświadczenia wynikające z dorobku historycznego, ale rozwój opiera na wsparciu decyzyjnym, będącym wynikiem analizy wielkich zbiorów danych. W dalszej przyszłości przedsiębiorcy będą mieli do dyspozycji sieci neuronowe i komputery kwantowe. Ten kierunek postępu stanie się nową podstawą cywilizacyjną rozwoju ludzkości.

Przed przedsiębiorstwami stają dziś kluczowe wyzwania. Ich szybkie rozstrzygnięcie nada kształt przyszłemu modelowi gospodarki. Wraz z rozwojem i konkretyzacją idei 6G, konieczne są zmiany paradygmatu polskiej przedsiębiorczości. Opieranie rozwoju na talencie do „robienia biznesu" oraz sprycie połączonym z gotowością pracy ponad siły, już nie wystarczy. Musimy sprostać konkurencji nadchodzącej cywilizacji algorytmów – „Internetowi sztucznej inteligencji", „Internetowi rzeczy", „myślącym maszynom" oraz „Internetowi zmysłów".

eprasa.pl f9fafe5dc1

Inflacja?

Wszystko wskazuje na to, że nie będzie drożyzny

Jeśli ktoś wpisuje się w przedwyborcze oczekiwania i głosi, że ceny żywności zmasakrują kieszenie Polaków, może się rozczarować. Ostatnie dane o inflacji wskazują na hamowanie cen. Tanieć mają owoce, warzywa, mięso i mleko.

Robert **Azembski**

Szacunki opublikowane przez GUS za maj 2020 roku wskazują, że ceny towarów i usług konsumpcyjnych, w porównaniu z analogicznym miesiącem ubiegłego roku, wzrosły o 2,9 proc., a w stosunku do poprzedniego miesiąca spadły o 0,2 proc. Wzrost cen liczony rok do roku był mniejszy niż w kwietniu br., gdy wynosił 3,4 proc. oraz niższy niż w marcu br., kiedy sięgnął 4,6 proc. Inflacja zaczyna więc hamować. I jeśli nie zachwieją nią nadzwyczajne wydarzenia, będzie tak dalej.

Co wpłynęło na wzrosty cen i czy dalej będziemy musieli trzymać się za kieszenie?

Drożej za usługi

Wielu ekspertów uważa, że inflację w Polsce w dół ścią-

eprasa.pl f9fafe5dc1

gały głównie spadające ceny paliw oraz gazu i opału. Było to w oczywisty sposób związane z zamrożeniem gospodarki oraz z kwarantanną. Nałożyły się na to taniejące jak zawsze o tej porze roku gaz i opał. Inflacja w Polsce, w ujęciu rocznym, spada. Następuje to jednak powoli. W warunkach recesji, gdy popyt na towary i usługi jest zawsze niższy, hamowanie inflacji na pewno mogłoby następować szybciej. Jednak tzw. inflacja bazowa, po wykluczeniu cen żywności, paliw i nośników energii, cały czas pnie się w górę.

Odczuliśmy to sami, a także potwierdzają to odczyty GUS, że tuż po odmrożeniu gospodarki więcej płacimy za usługi zdrowotne, przede wszystkim stomatologiczne, ale także za usługi pielęgnacyjne i fryzjerskie. Wcale jednak nie muszą one dalej drożeć, bo mógł to być jedynie efekt „odbicia sobie" przydługiej kwarantanny w tych sektorach.

O ile ceny towarów w maju wzrosły tylko o 1,4 proc. rok do roku, o tyle ceny usług rok do roku wzrosły aż o 7,1 proc.

„W majowej inflacji widać materializację anegdot o wyższych cenach usług fryzjerskich. W czerwcu inflacja powinna być już blisko celu NBP (2,5 proc.). Zagrożeniem jest materializacja anegdot o wyższych cenach nad Bałtykiem". – tak w „lekki" sposób komentują sytuację analitycy Banku Pekao SA.

Chociaż ceny owoców i warzyw są, niezależnie od czynników sezonowych, wyraźnie wyższe niż w zeszłym roku, wydaje się, że właśnie już osiągnęliśmy ich szczyt. Teraz może być tylko taniej. Owoce i warzywa są jeszcze drogie, bo zeszłoroczne zbiory były dosyć słabe, ale widać, że ceny spadają. Jak na razie, dzięki ostatnim opadom, nie ma klęski suszy, zaś półki sklepowe i targowiska stopniowo wypełniają się krajowymi owocami i warzywami – ich zwiększona podaż wywołuje presję na spadek cen. Po odmrożeniu transportu zwiększył się także import z zagranicy. Zagraniczna konkurencja, chociaż może nie podobać się naszym rolnikom, dla konsumentów, szczególnie w sytuacji pandemicznego kryzysu, jest korzystna, bo blokuje windowanie cen.

Taniej za mięso i mleko

W wynikach inflacji widać też już presję na spadki cen mięsa, szczególnie wołowego, drobiu, mleka oraz wyrobów cukierniczych. Co tu dużo mówić, wpływ na niższe ceny mięsa mają nie tylko stopniowo następujące zmiany w nawykach żywieniowych części Polaków, ale i większa w okresie rynkowej niepewności powściągliwość w zakupach – nazwijmy to – „niekoniecznych". Na niższe ceny mięsa, ale i mleka i cukru, wpływały także kryzysowe spadki oleju napędowego.

Tempo wzrostu cen żywności słabnie i w maju wynosiło już 6,2 proc. rok do roku, podczas gdy jeszcze w marcu było to 8 proc. rok do roku.

Co dalej? Analitycy i rynkowi eksperci zgodnie spodziewają się, że kolejne miesiące przyniosą dalszy spadek cen żywności. Producenci nie będą mogli ich windować także dlatego, że popyt konsumpcyjny będzie słaby i zadziała efekt konkurencyjnej walki o klienta z odchudzonymi przez pandemię portfelami.

Procentowe zmiany wskaźnika inflacji w maju w ujęciu rok do roku

Ogółem	2,9
Żywność i napoje bezalkoholowe	6,2
Napoje alkoholowe i wyroby tytoniowe	4,5
Odzież i obuwie	-4,2
Użytkowanie mieszkania lub domu i nośniki energii	7,5
Wyposażenie mieszkania i prowadzenie gospodarstwa domowego	0,5
Zdrowie	5,5
Transport	-2,8
Łączność	3,2
Rekreacja i kultura	2
Edukacja	4,8
Restauracje i hotele	6
Inne towary i usługi	3,6

eprasa.pl f9fafe5dc1

Rynek pracy biurowej czeka rewolucja

Powracający po przymusowej izolacji pracownicy, szczególnie małych i średniej wielkości firm, mogą się mocno zdziwić, że czeka ich na przykład szybka przeprowadzka. Szefowie niemal od wejścia proponują nie tylko nowe zasady, ale i formy współpracy. Rynek pracy biurowej czeka rewolucja, jakiej jeszcze nie doświadczył.

Robert **Azembski**

Zarządcy biur, szczególnie zlokalizowanych w dużych obiektach, przygotowali się na powrót pracowników tak skrupulatnie, jak tylko się dało. Chodzi głównie o spełnienie wymagań epidemiologicznych wynikających z rekomendacji Ministerstwa Zdrowia. Teraz muszą jeszcze więcej uwagi zwracać na kwestię czystości powierzchni i ich dezynfekcji. Części wspólne budynku muszą być regularnie czyszczone, a podajniki na płyn dezynfekujący mają wisieć przy wejściu do każde-

eprasa.pl f9fafe5dc1

go budynku. Na wspólnej powierzchni biurowej muszą być zachowane zasady dystansu społecznego.

Mamy więc i jednokierunkowe korytarze, żeby unikać zatłoczenia, nie wolno też gromadzić się w kuchniach na wspólne posiłki. Bezpieczeństwo pracowników w firmach ma też zapewniać praca zmianowa. Szefostwo będzie mogło zdecydować, które zespoły pracują w które dni, by uniknąć komasowania ludzi na stosunkowo niewielkiej przestrzeni. Firmy wydłużą też godziny pracy w taki sposób, aby wszyscy pracownicy nie zaczynali i nie kończyli dnia o tej samej porze. Słowem – moc niewątpliwych, chociaż, jak się wydaje, racjonalnych utrudnień.

Rynek wynajmujących

– Dzisiaj jest dobra okazja, żeby podpisywać kontrakty na wynajem ze względu na lepsze warunki niż jeszcze kilka miesięcy temu – zachęca w rozmowie z Newseria Sebastian Świstak, dyrektor ds. komercjalizacji w warszawskim oddziale Cavatina Holding.

Rzeczywiście, okazja jest świetna. Rynek już się zmieniał w zeszłym roku i na początku bieżącego, a pandemia tylko przyspieszyła zmiany. Zmiany na korzyść najemców. Z raportu Knight Frank „Rynek biurowy w Warszawie w I kwartale 2020 r." wynika, że od stycznia do marca na warszawskim rynku biurowym podpisano umowy najmu na niemal 140 tys. m kw. – o blisko 20 proc. mniej, niż na to wskazuje średni popyt z pierwszych kwartałów w ostatnich pięciu latach. Tak było jeszcze przed wybuchem epidemii. W jednym z nieupublicznionych raportów z kwietnia autorstwa Instytut Debaty Eksperckiej i Analiz QUANT TANK, któremu szefuje dr Stanisław Kluza, można przeczytać m.in., że „zmiany społeczno-gospodarcze wywołane kryzysem ewidentnie wpłyną na nowe modele na rynku pracy i oraz w stylu życia (...) na szczególne wysokie ryzyko narażony jest segment budownictwa powierzchni biurowych oraz dużych centrów handlowo-usługowych".

Dwoją się i troją

Zarządcy budynków biurowych dwoją się więc i troją, by zatrzymać u siebie firmy. Oferują np. dopłaty do kosztów nowych, „epidemiologicznych" aranżacji wnętrz i okresy abolicji z płacenia czynszu. W wielu wypadkach ich wysiłki trafiają w próżnię.

Według analityków REDD Real Estate, stoi już ponad 4 tys. wolnych biur – o 18 proc. więcej w porównaniu z końcem marca 2020 roku. Biura zwalniają szczególnie małe i średnie firmy, które przeważnie są najemcami powierzchni poniżej 500 mkw. Trudno się temu dziwić, bo – jak wynika z prognozy Europejskiego Funduszu Leasingowego (EFL) – nawet 2-3 lata będzie potrzebowała branża MŚP, by wrócić do pełnej kondycji eko-

eprasa.pl f9fafe5dc1

nomicznej sprzed epidemii koronawirusa. Tak zapewne będzie i to pomimo odradzającego się optymizmu pośród części przedsiębiorców.

– Po prawie trzech miesiącach epidemii widzimy uspokojenie nastrojów wśród mikro, małych i średnich firm – ocenia sytuację Radosław Woźniak, prezes EFL.

Dobre perspektywy dla MŚP rysują się też w raporcie Krajowego Rejestru Długów (KRD). – Przedsiębiorcy odczuwają już pozytywne skutki odmrażania gospodarki. Ich bieżące oceny sytuacji ekonomicznej są bardziej optymistyczne niż miesiąc temu. Z większą nadzieją patrzą także w przyszłość – tak komentuje wyniki ogólnopolskiego badania „Korona Bilansu MŚP" Adam Łącki, prezes KRD. Optymizmem napawa szczególnie fakt, że coraz mniej MIŚ-ów twierdzi, że ich sytuacja ekonomiczna jest zła.

Przeprowadzka, a może coworking?

To, że coraz więcej właścicieli małych i średnich firm z większym optymizmem patrzy w przyszłość, nie oznacza tym samym, że nie szukają oszczędności. W wielu sytuacjach nie da się już więcej zaoszczędzić na ludziach – na płacach czy na wielkości zatrudnienia. Co więc robić? Oczywiście oszczędności szuka się także w czynszu i innych opłatach za lokal. Tak jak w przypadku mikroprzedsiębiorstw praca całkowicie zdalna jest czymś naturalnym i „załatwia" prawie wszystko, tak inne firmy szukają tańszych lokalizacji na stałe siedziby, np. na peryferiach miast, tam gdzie jest dobry dojazd z centrum.

Innym sposobem na znalezienie oszczędności jest tzw. coworking. Coworking oznacza z języka angielskiego „pracować razem". Wbrew może utartej opinii nie jest to tylko propozycja dla freelancerów, ale także dla mikro, małych i średnich przedsiębiorstw. Właściciel firmy może podnająć nie tylko salkę dla większego zespołu ludzi, ale także oddzielne pokoje lub nawet zażyczyć sobie pojedynczych biurek. Oczywiście wraz z gotowym do pracy sprzętem. Także czas wynajmu może dopasować do swoich potrzeb, bo takie miejsce pracy można wynająć na godziny, dni czy tygodnie. Właściciel firmy negocjuje umowę z właścicielem biurowca czy innej przestrzeni, która została przystosowana do pracy. Koszty wynajmu dużej sali, oddzielnego pomieszczenia czy biurka zależą od tego, jak często i jak długo będzie się z nich korzystać. Firma udostępniająca pracę w systemie coworkingu bierze przy tym na siebie formalności związane z prowadzeniem i utrzymaniem biura, zapewniając w ramach ustalonego, miesięcznego abonamentu dostęp do sieci elektrycznej i Internetu, do zaplecza sanitarnego oraz kuchni, a niekiedy umożliwia najemcy zarejestrowanie swojej firmy na adres coworku. Wadą dla części pracowników bywa to, że najchętniej wynajmowane są duże powierzchnie. Nie wszyscy lubią tak pracować, a niektórzy nawet nie potrafią pracować na wielkich salach z wydzielonymi miejscami na biurka, w tzw. openspace. Niemniej coraz więcej startupów i mikroprzedsiębiorstw korzysta z coworkingowego modelu pracy.

Żadna decyzja o wyborze nowego miejsca i modelu pracy nie powinna być podejmowana za plecami pracowników. Optymalnie jest tak przygotowywać i komunikować działania, by czuli się oni współautorami zmiany.

eprasa.pl f9fafe5dc1

Piotr **Palutkiewicz**

Potrzebujemy wizji nowej Polski

Wszystko wskazuje na to, że po pandemii będziemy funkcjonować w nowej globalnej rzeczywistości. Jesteśmy świadkami przemian gospodarczych, powstawania nowych modeli funkcjonowania w społeczeństwie, kulturze czy wykorzystania technologii. Z nowymi wyzwaniami zmierzyć się będą musieli politycy. Zapewne wiele z rządów sprawujących władzę w ciężkich latach koronakryzysu nie dostanie demokratycznego mandatu na kolejne kadencje. Trwający kryzys jest i będzie czasem rewizji dotychczasowych, znanych nam do tej pory, modeli funkcjonowania każdego obszaru życia.

Gospodarki, które najszybciej dostosują się do nowych realiów, mają szansę uzyskać szybsze tempo wzrostu, stać się bardziej konkurencyjnymi. Okres gwałtownych zmian i przetasowań zawsze był czasem, w którym można dynamicznie poprawić swoją pozycje. Wiele z gospodarek gwałtownie straci. Te państwa, które przegapią ten okres, mogą pozostać w tyle na długie lata, jeśli nie dekady.

Kluczowym zatem jest, by Polska wykorzystała kryzys epidemiologiczny do awansu na kolejne miejsca w rankingu poziomu życia, rozwoju gospodarczego, wolności osobistej oraz bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego.

Niestety, w mijającej kampanii prezydenckiej kandydaci skupieni byli wokół haseł polityki doraźnej. Żaden z pretendentów do stanowiska głowy państwa nie zarysował zaktualizowanej wizji Polski w nowych czasach. Podobnie rząd. Zajęty doraźnymi kwestiami, nie przedstawił do tej pory nowej strategii rozwoju gospodarczego. A trzeba się spieszyć. Państwa tzw. starej Unii dzięki poluzowaniu zasad pomocy publicznej udzieliły znacznie bardziej hojnych subsydiów lub kredytów pomocowych dla przedsiębiorców aniżeli Polska. Na horyzoncie są także środki z Europejskiego Instrumentu Odbudowy.

Bodźcem do przyjęcia planu odbudowy po kryzysie COVID-19 będzie Krajowy Plan Odbudowy i Odporności opracowywany przez rząd w odpowiedzi na pakiet nowych unijnych instrumentów. Plan ten skupiać się będzie głównie na zielonej i cyfrowej transformacji. Dla Polski to zbyt mało. Ekologia i cyfryzacja to jedynie wycinek obszarów, w jakich należy podjąć działania. Wsparcie finansowe to też nie wszystko.

Rolą państwa powinno być zapewnienie rodzimym przedsiębiorcom jak najbardziej sprzyjających warunków do rozwoju, poprzez bezzwłoczne wyeliminowanie barier, które ten rozwój hamują. Tkwienie w dotychczasowym systemie będzie osłabiać potencjał do wyjścia z kryzysu i nadgonienia państw tzw. Zachodu.

Należy wykorzystać dzisiejsze zjawiska na przeprowadzenie gruntownych reform prawa gospodarczego, systemu podatkowego, emerytalnego, sądownictwa, rynku pracy, zapewnienie infrastruktury niezbędnej do rozwoju społeczeństwa informatycznego i do zmierzenia się z problemami demograficznymi.

Jeśli Polska nie zajmie się tymi kwestiami na poważnie, nie wyjdziemy przez kolejne dekady z grupy państw przeciętnych.

eprasa.pl f9fafe5dc1

Wraca szalony pomysł aktywistów

Aktywiści ekologiczni z krajów UE znów próbują przepchnąć podatek od mięsa. 32 mld euro rocznie z tego tytułu miałyby zostać przeznaczone na walkę ze „zmianami klimatycznymi" i wsparcie „bioróżnorodności biologicznej" Europy.

Jacek **Podgórski**

Plan aktywistów zakłada obłożenie wołowiny, wieprzowiny i drobiu znacznymi podatkami, które przełożą się na ceny mięsa. Finalnie zatem konsumenci za wołowinę zapłacić musieliby o 20 zł więcej za kilogram, za wieprzowinę o 15 zł więcej, a drób podrożałby o ok. 7,3 zł. Temat nie należy do nowych, ale w ostatnich dniach nabrał sporego rozpędu.

„Truciciele" planety

Minister rolnictwa Królestwa Niderlandów odebrała bowiem od aktywistów ponad 50 tys. podpisów pod petycją, która finalnie trafić ma do Komisji Europejskiej, a ta najpewniej w niedalekiej przyszłości ponownie zajmie się inicjatywą koalicji TAPP.

eprasa.pl f9fafe5dc1

Dawna Holandia znana jest z popierania podobnych lewicowych koalicji, które doprowadziły do fali protestów rolników, które przetoczyły się przez Niderlandy, Niemcy, Francję oraz inne europejskie kraje. Lewicowi „ekolodzy" obarczają bowiem rolników winą za zmiany klimatyczne, wskazują ich wprost jako głównych „trucicieli" planety. Efektem tych oskarżeń w samym tylko Królestwie Niderlandów była próba obłożenia rolników specjalną opłatą klimatyczną. Podobnych obostrzeń aktywiści domagali się także w innych krajach Unii Europejskiej – w tym w Polsce.

Niestety, poparcie dla podobnych inicjatyw wyrażali także eurodeputowani z naszego kraju – na czele z europoseł Sylwią Spurek. To o tyle nielogiczne, że Polska – podobnie zresztą do Holandii – należy do grona państw będących swoistymi czempionami europejskiego rolnictwa – w tym produkcji zwierzęcej.

Oszczędność? Na pewno?

Aktywiści swój plan wprowadzenia podatku od mięsa argumentują rzekomym zwiększeniem wpływów do unijnego budżetu o 32 mld euro. Nietrudno wyobrazić sobie, jakie następstwa mogłoby mieć wprowadzenie nowej opłaty.

> *Drastycznie spadłaby produkcja mięsa, co przełożyłoby się na zubożenie milionów europejskich rolników. Spadłby, co naturalne, także eksport.*

Na mięso stać byłoby tylko najzamożniejszych mieszkańców Europy – najczęściej z jej zachodniej części. Drastycznie spadłaby produkcja mięsa, co przełożyłoby się na zubożenie milionów europejskich rolników. Spadłby, co naturalne, także eksport – zarówno w granicach UE jak i poza jej granice, ponieważ Europa stałaby się niekonkurencyjna cenowo. Spadek produkcji należałoby powetować wzrostem importu.

Kierunki, z których napływałoby mięso, także nie są trudne do przewidzenia. Trafiłoby ono na sklepowe półki z USA, krajów Mercosur, Chin, kilku innych azjatyckich gigantów i Ukrainy. Większość tych krajów nie spełniałoby unijnych wymogów dotyczących bezpieczeństwa żywności i dobrostanu zwierząt, ale UE niejednokrotnie udowadniała już, że potrafi przymknąć oko względem zagrożeń związanych z importem znacznego wolumenu żywności.

Spadek pogłowia zwierząt hodowlanych w Europie znacznie by się zmniejszył, co z kolei uderzyłoby w sektor upraw. Aktywiści nie wiedzą przecież, że większość zbóż, a także znaczna część warzyw i owoców produkowanych w Unii Europejskiej, stanowią surowiec paszowy. Upadłyby rzesze gospodarstw rolnych, a unijne rolnictwo straciłoby na znaczeniu, oddając bez walki najpierw rynek wewnętrzny, potem natomiast rynki globalne. Straty sięgnęłyby setek miliardów euro, co stanowi wartość o wiele wyższą niż potencjalne zyski, które nakreślają aktywiści w oparciu o niepoparte istotnymi źródłami wyliczenia.

Wszystko dla zwierząt

Kryzys rolnictwa odbiłby się na całej unijnej gospodarce, która przecież ściśle kooperuje z sektorem rolnym. Europa stałaby się biedniejsza. Ucierpiałoby bezpieczeństwo żywnościowe Starego Kontynentu – i tak nadszarpnięte przez trudny czas pandemii koronawirusa. To wszystko jest jednak dla aktywistów nieistotne, ponieważ – w ich mniemaniu – zwierzęta traktowane są „niesprawiedliwie". I basta!

*autor jest dyrektorem Instytutu Gospodarki Rolnej

eprasa.pl f9fafe5dc1

Spółki biotechnologiczne mają strategiczne znaczenie

Jak to jest ze sprawnością kraju na wypadek obecnej „wojny" z koronawirusem? Czy mamy zasoby i infrastrukturę, którą można od razu wykorzystać do walki z patogenem? Rzeczywistość pokazała, że nie. A przecież najskuteczniejszą bronią i zasobami na wypadek takiego „konfliktu" są leki – głównie szczepionki, immunoglobuliny czy leki farmakologiczne, które można zastosować, by zapobiegać lub zwalczać masowe infekcje – w tym przypadku wirusem SARS-CoV-2.

Robert **Azembski**

Zarówno u nas, jak i w innych krajach, w czasie pokoju nieustannie mówi się o utrzymywaniu sprawności armii na wypadek konfliktu zbrojnego, o dbaniu o zdolności obronne kraju poprzez inwestycje w sprawne i nowoczesne systemy obronne, w odpowiednią ilość dobrze wyposażonego i wyćwiczonego wojska.

Rozważania nad tym można prowadzić na kilku poziomach. Weźmy jednak jeden przykład i posłużmy się nim, żeby prześledzić, jak można by wykorzystywać w Polsce zasoby, które mogą skutecznie wzmocnić bezpieczeństwo biologiczne kraju na wypadek epidemii. Przykładem niech będzie Biomed Lublin, polska firma biotechnologiczna, która w ostat-

eprasa.pl f9fafe5dc1

nim czasie zwróciła na siebie bodaj największą uwagę choćby z tego powodu, że w swoim portfelu posiada szczepionkę przeciwgruźliczą BCG, o której naukowcy z całego świata mówią, że może podnosić odporność na koronawirusa, czy technologię do produkcji leku zawierającego przeciwciała przeciwko koronawirusowi – Immunoglobulinę anty-SARS-CoV-2. Agencja Badań Medycznych właśnie przyznała granty na badania kliniczne z tymi lekami.

Gotowi do pomocy

Od początku swojego istnienia, czyli od 1944 roku, Biomed Lublin opracowywał i produkował leki na choroby zakaźne, które pojawiały się z różnym nasileniem w Polsce, takie jak błonica, tężec, choroba Heinego-Medina, dur plamisty, czerwonka, krztusiec, płonica czy grypa. Wiele z tych chorób uznane jest dziś za wygasłe, a firma zaprzestała wytwarzania leków na wiele z tych chorób. Wiedza i technologia jednak pozostały.

Jak to określa Piotr Fic, członek zarządu ds. operacyjnych Biomed Lublin, firma od początku istnienia zajmowała się tematyką „wokół bakterii, wirusów i tzw. preparatów krwiopochodnych". Te ostatnie to leki wytwarzane w oparciu o osocze krwi ludzkiej, od wielu lat będące podstawą programów wykorzystywanych w leczeniu m.in. chorób zakaźnych, metabolicznych itp. Przy ich produkcji wykorzystywana jest jedyna w Polsce technologia frakcjonowania osocza w celu np. uzyskania przeciwciał skutecznie zwalczających choroby zakaźne.

Marcin Piróg, prezes Biomed Lublin, jest przekonany, że immunoglobulina, którą firma mogłaby dziś wytworzyć z osocza ozdrowieńców, jest skutecznym lekiem na koronawirusa i szybką, realną alternatywą wobec nieopracowanej jeszcze szczepionki dla chorych na COVID-19. – Nasze leki, jak immunoglobulina anty-SARS-CoV-2 czy szczepionka przeciwgruźlicza BCG, mogą leczyć chorych, ale także chronić osoby zdrowe przed zarażeniem na zasadzie wspomagania naturalnych mechanizmów obronnych organizmu. Muszą to potwierdzić badania, ale wydaje się, że nadają się do szerokiego zastosowania – mówi prezes Piróg.

Dziś firma jest jedynym krajowym producentem strategicznych leków, takich jak: deficytowa na rynku światowym szczepionka przeciw gruźlicy i równie deficytowy lek onkologiczny na raka pęcherza moczowego Onko BCG, produkowany na bazie będącego wyłączną własnością spółki szczepu bakterii BCG – Moreau. Stosowane w produkcji tych leków przez firmę unikalne technologie to owoc przeszło 75 lat współpracy z wieloma polskimi jednostkami naukowymi.

Szczepionka przeciwgruźlicza BCG czy immunoglobulina anty-SARS-CoV-2, mogą leczyć chorych, ale także chronić osoby zdrowe przed zarażeniem.

Giełdowy Biomed Lublin należy do sektora zaawansowanych technologii. Wytwarza i komercjalizuje w różnych segmentach rynkowych produkty o dużym potencjale rynkowym. Produkty bazują na know-how spółki jak i instytucji z nią współpracujących. Od lat stanowi filar zabezpieczenia kraju w leki do zwalczania chorób zakaźnych.

Ogromne doświadczenie

Powstała pod koniec II wojny światowej firma wkroczyła od razu z impetem na „front walki" z będącymi powojenną plagą chorobami zakaźnymi. Od tamtego czasu jej misją jest wspieranie zdrowia i ratowanie życia ludzi poprzez szybkie reagowanie i opracowywanie innowacyjnych produktów. W 1955 roku., gdy w Polsce wprowadzono obowiązkowe szczepienia ochronne przeciw gruźlicy u dzieci i młodzieży, firma zaczęła produkcję przeciwgruźliczej szczepionki liofilizowanej BCG. Wprowadziła też nowy asortyment takich leków jak: surowica końska przeciwko tężcowi oraz szczepionka przeciwko grypie.

Śledząc historię epidemii powstrzymanych lekami produkowanymi przez polskie firmy, można odnieść mylne wrażenie, że pewne choroby znikają w odmętach historii. Dziś dur brzuszny czy gruźlicę uważa się niesłusznie za przeszłość. Tymczasem te choroby potrafią powracać i to na groźną skalę. Nie tylko zresztą one. Jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku, gdy nasiliła się migracja

eprasa.pl f9fafe5dc1

do Polski ludności zza wschodniej granicy, wróciły choroby, o których myśleliśmy, że na zawsze odeszły. Zaatakowała błonica i tężec. Pomimo że wówczas już od niemal 15 lat nie produkowano w Polsce antytoksyn, ich wytwarzanie szybko zostało wznowione.

Pseudocholinoesterazę produkowano na potrzeby bezpieczeństwa kraju, by zakończyć ją w połowie lat 90. Jednak atak w tokijskim metrze z 20 marca 1995 roku, w którym terroryści użyli gazu bojowego Sarin, na skutek czego zginęło lub zostało poranionych wielu ludzi, przypomniał o zagrożeniu bronią chemiczną i o pseudocholinoesterazie. Szybko trzeba było wznowić jej produkcję dla wojska również w Polsce. I tak się stało.

Strategiczny zasób

Takie firmy jak Biomed Lublin, postrzegane przez pryzmat historii, doświadczeń oraz potencjału do podjęcia szybkiej produkcji leków nie tylko na COVID-19, ale także inne choroby rozprzestrzeniające się w nagłych epidemiach, stanowią medyczny zasób strategiczny dla kraju. Bardzo ważne jest więc utrzymanie ich w stałej gotowości do produkcji i do szybkiego odtwarzania leków ratujących życie. Nie chodzi tu tylko o zapewnienie bezpieczeństwa zdrowotnego obywateli. Chodzi też o bezpieczeństwo istotnych struktur państwa, przede wszystkim wojska i różnego rodzaju służb, w tym obrony terytorialnej kraju. Sytuacja na Śląsku pokazała, że profilaktyczne zabezpieczenie w leki może być kluczowe nie tylko dla kopalń czy innych zakładów pracy, gdzie zachowanie dystansu społecznego jest trudne, ale też dla tak ważnych instytucji jak szpitale, wojsko czy policja.

Firmy rodzime, dzięki którym możemy być samowystarczalni w sytuacjach zagrożenia epidemicznego, powinny być objęte przez władze szczególną troską, traktowane jako strategiczny zasób kraju w obszarach takich jak leki, szczepionki, immunoglobuliny, testy medyczne. Wystarczy skonstatować, że gdy pojawił się pierwszy przypadek koronawirusa, na gwałt potrzebna była duża liczba testów, maseczek, lekarstw i trzeba było wszystko dopiero ściągać od zagranicznych dostawców. Dlatego tak ważna jest polityka państwa związana z tworzeniem rezerw leków, testów i materiałów sanitarnych.

– Jestem zdania, że należy szczególnie dbać i wspierać polski przemysł, bo w sytuacjach trudnych i kryzysowych jest to niezbędne państwu. Warto pomyśleć o stworzeniu polskiego zaplecza potrzebnego do frakcjonowania osocza na większa skalę – mówi poseł Tomasz Latos, szef sejmowej komisji zdrowia.

Podobnego zdania jest Bolesław Piecha, były wiceminister zdrowia, który podkreśla dodatkowo fakt, że biotechnologiczne firmy stanowią istotne ogniwo współpracy z instytutami badawczymi i uczelniami. – Uważam, że tam można i należy kierować środki publiczne, inwestując w ten sposób także w przyszłość opartą na innowacjach – mówi Bolesław Piecha.

Jesteśmy gotowi?

Czy polskie państwo jest przygotowane na „czas wojny" z patogenami takimi jak koronawirus? Czy dostatecznie dba też o zasoby w czasie „pokoju", kiedy nie ma epidemii i zagrożeń, ale powinno mieć się zabezpieczone zasoby i rezerwy strategicznych leków i materiałów, by nie zależeć tylko od zagranicznych dostawców? Te pytania mogą, a nawet powinny być przyczynkiem do co najmniej poważnej dyskusji.

eprasa.pl f9fafe5dc1

Kamil **Goral**

Spółki Skarbu Państwa z ważnym zadaniem

Polska gospodarka wchodzi w trudny okres w związku z pandemią koronawirusa. Aby wróciła na tory szybkiego rozwoju z jeszcze większą mocą, będą musiały zadziałać dotychczasowe silniki, które dotąd stanowiły o jej sile. Kluczowa będzie rola inwestycji, w tym tych inicjowanych przez państwo i zależne od niego podmioty.

I tu bardzo ważne zadanie stoi przed spółkami z udziałem Skarbu Państwa. Dzięki swojej skali i potencjałowi to z tych podmiotów wyjść może silny, prorozwojowy impuls. Dostrzega to ewidentnie kierownictwo Ministerstwa Aktywów Państwowych. To dobrze, że ten resort widzi dla nadzorowanych przez siebie firm takie właśnie zadanie.

Zdają się je uwzględniać także zarządy tych spółek. Wyrazem tego kierunku jest m.in. powoływanie coraz większej liczby funduszy typu CVC. Dzięki nim innowacyjne i atrakcyjne biznesowo projekty mają szansę na komercjalizację. To ważne, aby wytwarzane w Polsce i przez polskich przedsiębiorców nowatorskie produkty trafiały na rynek pod polskimi markami. I aby były sprzedawane także za granicę, tak aby bez cienia ironii można było powiedzieć: Polak potrafi. Realizacja tego wyzwania wymaga jednak zaangażowania państwa. Tak to już jest na całym świecie.

> *Strumień takich zamówień skierować trzeba do polskich firm, z polskim kapitałem.*

Państwowe spółki zgłaszać powinny popyt na nowatorskie rozwiązania, tak aby za jego zaspokojenie odpowiadał sektor prywatny. Strumień takich zamówień skierować trzeba do polskich firm, z polskim kapitałem. Spółki Skarbu Państwa mogą być dla rodzimych przedsiębiorstw partnerem stabilnym i pewnym, na współpracy z którym budować mogą one swoją wartość oraz realizować strategiczne cele.

To gra typu win – win, korzystają SSP, bo uruchamiają potencjał, który jest na zewnątrz nich i wykorzystują go dla swoich potrzeb. Korzystają mniejsze podmioty, bo zyskują wiarygodnego i wypłacalnego klienta. Korzysta polska gospodarka, bo powstają nowe miejsca pracy i generowana jest duża wartość dodana. To zaś skutkuje wyższymi płacami i lepszymi perspektywami dla całego społeczeństwa.

Tak, trochę to wszystko upraszczam. Taka jest specyfika krótkiego felietonu, aby wyrazić wiele, niekoniecznie rozwodząc się nad szczegółami. To uproszczenie nie jest jednak z uszczerbkiem dla wartości przekazu. Chodzi o to, aby zrozumieć, że bez współpracy czynnika państwowego z prywatnym Polsce ciężko będzie pokonać liczne bariery rozwojowe, które przed nami. Te dwa światy, państwowy i prywatny, nie powinny się od siebie izolować, tylko szukać pól współpracy. A ewidentnie jest ich bardzo wiele. Im szybciej zostaną one zagospodarowane, tym lepiej. Zatem do dzieła!

eprasa.pl f9fafe5dc1

Polskie firmy stać

na eksportowanie nowoczesnych technologii

Musimy przejść z modelu gospodarki imitacyjnej do modelu gospodarki innowacyjnej. Potrzebujemy patentów, które przełożą się na konkret. Aby do tego doszło, polskie państwo musi włączyć się do gry na poważnie i z odwagą - mówi Piotr Hofman, przedsiębiorca i prezes Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa.

Rozmawiał **Kamil Goral**

Przed nami trudny czas dla gospodarki. Czy Pańskim zdaniem Polska jest przygotowana na nadchodzące turbulencje?
Zgadza się, przed polską gospodarką niełatwy okres. Chyba jeszcze nie do końca zdajemy sobie sprawę ze skali zagrożeń, z jakimi trzeba się będzie zmierzyć. Patrząc na obecne wskaźniki makroekonomiczne, możemy popaść w poczucie nieuzasadnionego spokoju, że wszystko jest już dobrze, że kryzys mamy za sobą. To niebezpieczne poczucie, bo usypia czujność i pozbawia gotowości do działania. Na to ani rządzący, ani przedsiębiorcy nie mogą sobie pozwolić. Od dawna powtarzam, że potrzebujemy planu dla gospodarki, który będzie odpowiadał na wyzwania postpandemicznej rzeczywistości. Jego opracowanie, to znaczy dostosowanie gospodarki do wyzwań świata na kolejne dekady po 2020 roku, to zadanie dla władzy, a my przedsiębiorcy powinniśmy w tym zadaniu pomóc.

Ma Pan na myśli jakieś konkretne działania?
Nie wymyślajmy prochu. Historia magistra vitae est. Wielkie załamania gospodarcze towarzyszą ludzkości od dawna i są pewne dobrze znane sposoby, jak sobie z nimi radzić. Tym sposobem są inwestycje publiczne, takie jakie miały miejsce w reakcji na wielką recesję 1929 roku. Teraz też potrzebny jest nam program na miarę ówczesnego New Deal'u. Nie musimy przy tym generować sztucznych potrzeb. Wciąż mamy bowiem istotne braki, jeśli chodzi o rozbudowę infrastruktury komunikacyjnej, mieszkaniowej i energetycznej. Potrzebujemy nowoczesnych dróg, mostów, połączeń kolejowych oraz nowych lotnisk. Brakuje nam także kilku milionów mieszkań, to nasza pięta achillesowa. Jesteśmy całkowicie w ogonie Europy, jeśli chodzi o wszelkie wskaźniki w tym obszarze. Nie ma piskląt bez gniazda – młodym Polakom potrzeba nowych, ogólnodostępnych mieszkań. Inwestycji wymaga też przecież energetyka. Polska powinna również skorzystać ze swojego znakomitego położenia geograficznego. Szansę, aby zdyskontować ten potencjał, daje Trójmorze. Mamy w naszym kraju jeszcze wiele do zrobienia. Trzeba te wyzwania umiejętnie wpisać w walkę z kryzysem gospodarczym i rozwijanie potencjału polskiej gospodarki.

Chyba jeszcze nie do końca zdajemy sobie sprawę ze skali zagrożeń, z jakimi trzeba się będzie zmierzyć.

Nie popada Pan w zbytni patos?
Absolutnie nie. Za tymi postulatami stoi ekonomiczna kalkulacja. Mamy w Polsce wiele firm, które nie miały okazji, aby w pełni pokazać swoje możliwości. Teraz jest moment, aby dać im na to szanse. Spójrzmy na rynek

eprasa.pl f9fafe5dc1

zamówień publicznych, wart setki miliardów złotych. Jaka część z tych pieniędzy trafia do polskich firm, polskiego kapitału? Podpowiem, że nie wygląda to u nas zbyt dobrze. Musimy brać przykład z innych i umiejętnie kierować ten strumień do sektora MŚP, bo to tam akumulowany jest wspominany polski kapitał. Te przedsiębiorstwa stoją przed wyzwaniem: zachować status quo czy iść naprzód, rozwijać się i konkurować nie tylko na krajowym rynku. Najpierw jednak muszą dojrzeć, zbudować bazę finansową, rozwinąć kompetencje. Jestem przekonany, że jeśli stworzy się im po temu warunki, wiele z nich nie zmarnuje tej szansy.

Od przyszłego roku wchodzi nowe prawo zamówień publicznych, może to jest okazja, o której Pan mówi?
Znam tę ustawę, bo Rada Gospodarcza Strefy Wolnego Słowa, czyli organizacja, której jestem prezesem, przedstawiała swoje postulaty, jeszcze kiedy jej projekt był konsultowany. Zgłosiliśmy wówczas propozycje odnoszące się szczególnie do przedpłat i zaliczek dla firm realizujących przetargi. Nowe przepisy wychodzą naprzeciw tym oczekiwaniom. Niemniej nie o samo prawo tutaj chodzi. Widzimy, że obecnie jest okazja, aby wprowadzić do przyjętych rozwiązań kilka poprawek. Warto wrócić do dyskusji o puli zamówień adresowanych do firm z sektora MŚP. Były takie pomysły, ale ostatecznie nie znalazły one odzwierciedlenia w tekście ustawy. Może teraz, w tych okolicznościach, jakie mamy, należałoby do tego wrócić.

Niemniej prawo to jedno. Inna sprawa to strategia gospodarcza, która pozwoli wykorzystać przepisy do realizacji najważniejszych celów polityki ekonomicznej.

Jakie to cele?
Przede wszystkim wspieranie kapitału narodowego. Potrzebujemy silnych polskich firm, zdolnych do generowania produktów o wysokiej wartości dodanej. Firm proeksportowych, sprzedających zagranicę towary pod własnymi markami. Takich, które będą twórcze, a nie odtwórcze. Musimy przejść z modelu gospodarki imitacyjnej do modelu gospodarki innowacyjnej. Potrzebujemy patentów, myśli, która przełoży się na konkret, jaki trafi na sklepowe półki albo będzie formą nowoczesnej usługi. Aby do tego doszło, polskie państwo musi włączyć się do gry na poważnie i z odwagą. Planowane inwestycje to nie może być eldorado dla przedsiębiorstw spoza Polski. Musimy stworzyć warunki, aby była to szansa dla naszych przedsiębiorstw, firm stąd, które w Polsce zapłacą podatki i tu zainwestują zarobione pieniądze.

Spójrzmy na rynek zamówień publicznych, wart setki miliardów złotych. Jaka część z tych pieniędzy trafia do polskich firm?

eprasa.pl f9fafe5dc1

Brzmi świetnie, ale jak to zrobić?
Państwo powinno zgłaszać popyt, a firmy są od tego, żeby go zaspokoić. Tylko, tak jak mówię, niech to będą polskie firmy. Państwo i związane z nim podmioty powinny generować popyt na produkty zaawansowane. Spójrzmy, jak to się robi za Wielką Wodą. NASA wysyła w kosmos rakietę, którą produkuje prywatna firma. Bardzo ciekawy przykład współpracy państwa i biznesu, który warto naśladować. Przy czym nie musimy od razu wysyłać rakiety na Marsa. Może to być coś znacznie prostszego, ale jednocześnie popychającego polską gospodarkę naprzód. Warto angażować biznes, zmuszać go do wysiłku, ale jednocześnie dawać szansę na sukces.

Nie obawia się Pan, że poprzeczka została zawieszona zbyt wysoko? Mówi Pan o NASA, wskazuje na amerykański przykład, czy to – przynajmniej na dziś – nie za wiele?
Tego właśnie należy unikać! Minimalizmu. Innym się uda, ale w Polsce to niemożliwe, bo jesteśmy za słabi, nie potrafimy realizować ambitnych projektów itd. Tymczasem właśnie o to chodzi, aby przestać się bać wyzwań. Tak jak mówiłem, nie musi to być lot na Marsa, ale niech będzie to np. polska marka samochodu elektrycznego. Czy to przekracza nasze możliwości? Absolutnie nie, takie wyzwania są zupełnie w naszym zasięgu. Trzeba tylko dać odpowiedni impuls. Nie mówię z drugiej strony, że to jest coś prostego. Wskazuję jednak, że podejście na zasadzie zostawmy wielkie projekty, bo one nie są dla nas, to pułapka. Wpadając w nią, nigdy nie uciekniemy z innej pułapki, znanej jako pułapka średniego rozwoju. Mamy przed sobą możliwości, jakie daje Trójmorze, to szereg projektów wartych setki miliardów euro. Do 2030 roku wartość wszystkich związanych z tą geopolityczną inicjatywą inwestycji szacowana jest na ponad bilion euro. Gdzie mają trafić te pieniądze? Ja chcę, aby budowały one innowacyjną polską gospodarkę, z wiodącą pozycją rodzimego kapitału. Nie niemiecką, francuską czy koreańską, ale polską właśnie! To się nazywa patriotyzm gospodarczy. Stać nas na coś więcej niż eksport jabłek, możemy eksportować nowoczesne technologie. Innym się udało. Nam też może.

> *Potrzebujemy więcej wolności gospodarczej. Państwo nie musi nas cały czas sprawdzać i kontrolować.*

Jakie bariery stoją zatem na przeszkodzie?
Po pierwsze, mentalność. Wciąż dominuje przekonanie, że zagraniczne znaczy lepsze. Również państwo musi walczyć z taką mentalnością. Kolejna sprawa to wspomniana przeze mnie pułapka minimalizmu. Cały czas problemem są także regulacje, potrzebujemy więcej wolności gospodarczej. Państwo nie musi nas cały czas sprawdzać i kontrolować. Powinniśmy także, mówię tu o przedsiębiorcach, zacząć ufać jeden drugiemu. Traktować jak partnerów, z szacunkiem. Biznes może być grą typu win – win. Nie musimy ciągle próbować się wzajemnie ogrywać, możemy odnosić sukcesy wspólnie. Oczywiście taka relacja musi być również na poziomie państwo – przedsiębiorca. Tu tym bardziej potrzeba zaufania i partnerstwa. Nie my kontra oni, ale wspólnota interesów oparta na zaufaniu. Takim bardzo ważnym elementem budującym wzajemne zaufanie jest wymiar sprawiedliwości. Tu, niestety, mamy sytuację dramatyczną. Oczekiwanie na rozstrzygnięcia procesowe czy najprostsze decyzje administracyjne to koszmar. Taki stan niszczy aktywność i otwartość przedsiębiorców na nowe wyzwania w biznesie.

Wrócę jeszcze do roli państwa. Nie obawia się Pan, że to, o czym tu mówi, doprowadzi do wzrostu etatyzmu?
Wręcz przeciwnie, państwo ma pewien katalog potrzeb, który musi zaspokoić. To m.in. infrastruktura, baza mieszkaniowa etc. Jeśli zaspokajając te potrzeby, jednocześnie zrealizuje dodatkowy cel, jakim jest rozwój przedsiębiorstw i budowanie narodowego kapitału, to tym lepiej. Taki mechanizm realizowany jest na całym świecie, a wzorem są tu kraje, którym naprawdę trudno zarzucić etatyzm.

eprasa.pl f9fafe5dc1

#WolęPiwo

ponieważ jest w butelce zwrotnej

Fakt, że piwo można kupić w butelce zwrotnej, jest dla wszystkich oczywisty. Mało kto zdaje sobie jednak sprawę, że utrzymanie systemu opakowań wielokrotnego użytku przez browary zrzeszone w ZPPP Browary Polskie jest ich dobrowolną inicjatywą, którą w całości finansują. O tym, dlaczego piwowarzy stawiają na OWU (opakowania wielokrotnego użytku), opowiada Bartłomiej Morzycki, dyrektor generalny Związku Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego – Browary Polskie.

Jak dużo piwa warzonego przez członków ZPPP Browary Polskie jest sprzedawane w butelkach zwrotnych?
Roczna sprzedaż piwa w Polsce to ponad 38 mln hektolitrów. Prawie połowa (46 proc.) trafia do klientów w opakowaniach wielokrotnego użytku. Podobna ilość jest sprzedawana w puszkach. Jedynie 5 proc. uwarzonego piwa sprzedajemy w butelkach bezzwrotnych. Opakowania KEG, które trafiają do barów i restauracji, to kolejne 5 proc. naszej sprzedaży

Co by się stało, gdyby butelki zwrotne zniknęły z rynku?
Z naszych szacunków wynika, że gdybyśmy chcieli zastąpić opakowania zwrotne bezzwrotnymi, oznaczałoby to wprowadzenie na rynek ponad 1 mln ton odpadów szklanych rocznie, które powinny zostać poddane recyklingowi. To niewyobrażalna wręcz skala. I choćby na tym przykładzie doskonale widać efektywność zbudowanego przez nas systemu.

Zarządzanie nim w skali kraju wydaje się być niełatwym zadaniem. Jak radzą sobie z tym zadaniem firmy?
Rzeczywiście, wykorzystywanie butelek wielokrotnego użytku to proces bardzo wymagający i generujący spore koszty. Poza tymi oczywistymi, które wynikają z produkcji oraz napełnienia butelki, dochodzą także opłaty związane z ich zbiórką, transportem do browarów, segregacją otrzymanych opakowań, a także zakupem sprzętów do ich czyszczenia. Nie można także pominąć kosztów wody, energii, środków do mycia butelek oraz skrzynek, jak i przestrzeni do składowania nadwyżek opakowań zwrotnych poza sezonem piwnym. Jednak na opakowania wielokrotnego użytku nie możemy patrzeć tylko przez pryzmat kosztów. Powinniśmy pamiętać o tym, że są one jednym z najbardziej ekologicznych rozwiązań z punktu widzenia zmniejszenia ilości odpadów.

A ile butelek zwrotnych wraca do browarów?
System, który stosujemy, jest bardzo efektywny. Analizy pokazują, że aż ponad 90 proc. butelek zwrotnych wraca do browarów do ponownego napełnienia.

Dlaczego w takim razie w ostatnim czasie widzimy, że firmy piwowarskie namawiają klientów do zwrotu butelek?

eprasa.pl f9fafe5dc1

Jak wspominałem, mamy bardzo dobre statystyki zwrotu opakowań wielokrotnego użytku, ale staramy się je jeszcze poprawić. Inna kwestia to handel. Pamiętajmy, że stosowanie i upowszechnianie opakowań zwrotnych nie może się odbywać bez jego udziału. A z tym, niestety, bywa różnie. Obecnie jednym z głównych problemów, które ograniczają zwrotność butelek, jest wymaganie sprzedawców, aby klienci okazywali paragony potwierdzające nabycie piwa w tych opakowaniach. Nie jest to wymóg prawny, lecz praktyka rynkowa o wieloletniej już historii, którą warto w końcu zmienić. Z punktu widzenia poszerzania stosowania opakowań zwrotnych, przyznanie konsumentom prawa do oddawania butelek za zwrotem kaucji, bez konieczności pokazywania paragonu, miałoby ogromne znaczenie. Obecnie około połowa klientów kupujących piwo w butelkach zwrotnych wskazuje na konieczność posiadania paragonu, gdy chce oddać butelki. To samo dotyczy ograniczonej w chwili obecnej dostępności innych niż piwo produktów w opakowaniach zwrotnych – jeśli nie będzie ich w handlu, to klienci nie będą ich kupować.

Ministerstwo Klimatu pracuje obecnie nad projektem Rozszerzonej Odpowiedzialności Producenta za opakowania, w których wprowadza produkty. Jak ustawa może wpłynąć na branżę piwowarską?
Opakowania wielokrotnego użytku, czyli w naszym przypadku butelki zwrotne, są jednym z najbardziej ekologicznych rozwiązań z punktu widzenia zmniejszenia ilości odpadów. Dla przedsiębiorstw, które obecnie posiadają systemy zwrotnych opakowań, wprowadzane zmiany mogą być impulsem do ich dalszego rozwoju oraz modernizacji. Z kolei wsparcie otrzymane od państwa może również w długofalowej perspektywie zachęcić innych producentów oraz branże do korzystania w ekologicznych rozwiązań, jakimi są opakowania wielokrotnego użytku.

Czyli myśli Pan, że systemy opakowań zwrotnych mają szansą zostać zaimplementowane także w innych branżach?
Oczywiście, że jest to możliwe. Jednak aby tak się stało, państwo musi stworzyć korzystne warunki, które będą zachęcać przedsiębiorców do ich implementacji i rozwoju. Przykładem takiej zachęty będzie zwolnienie przedsiębiorców korzystających z opakowań zwrotnych z opłat z tytułu selektywnej zbiórki odpadów, ich transportu oraz przetwarzania. Warto zastosować takie kroki z trzech podstawowych powodów: aby zwiększyć zainteresowanie korzystaniem z opakowań zwrotnych, ograniczyć ilość odpadów, które powinny być poddane recyklingowi, a także by praktyczne zastosowanie miała hierarchia sposobów postępowania z odpadami. Najpierw powinniśmy zapobiegać powstawaniu odpadów oraz przygotowywać je do ponownego użytkowania, a dopiero w dalszej kolejności poddawać je recyklingowi oraz innym procesom odzysku.

MATERIAŁ PRZYGOTOWANY WE WSPÓŁPRACY Z RADĄ GOSPODARCZĄ STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl f9fafe5dc1

FPG24.PL

Zawsze w stronę **przedsiębiorcy...**

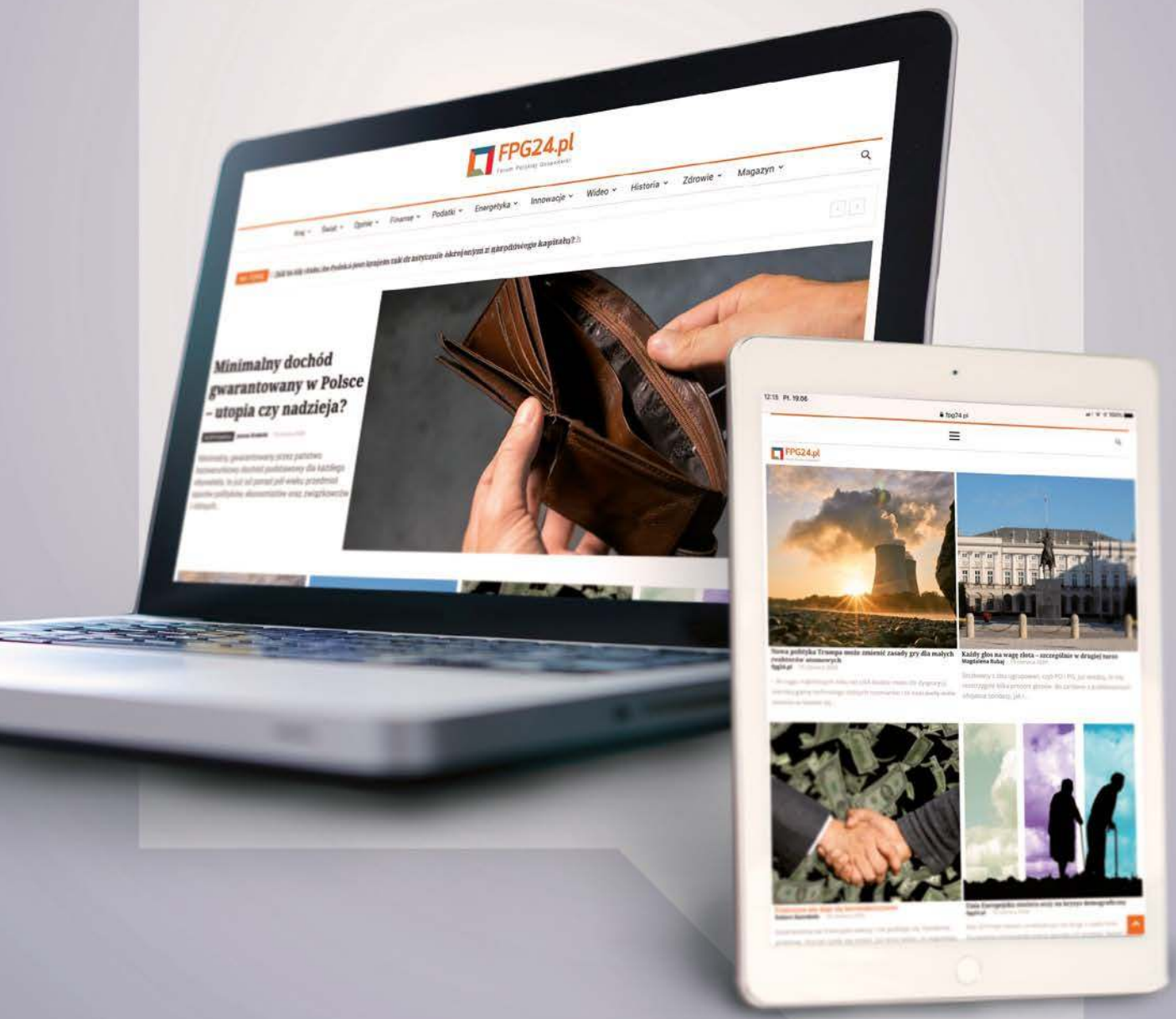

Konserwatywny serwis ekonomiczno-społeczny

eprasa.pl f9fafe5dc1